

4 października 1957 roku z kosmodromu Bajkonur w Kazachstanie Związek Radziecki wysłał w kosmos pierwszego wykonanego przez człowieka satelitę, Sputnik. Miał 58 centymetrów średnicy, ważył 83,6 kilograma; okrążył Ziemię w 96 minut i 12 sekund.

3 listopada tego samego roku z powodzeniem wysłano w kosmos Sputnik II, na którego pokładzie znajdował się pies Łajka. Było to pierwsze żywe stworzenie, które opuściło atmosferę ziemską. Satelity nigdy nie odzyskano, a Łajka została poświęcona w imię badań biologicznych w kosmosie.

Z Wielkiej kroniki historii Mata

Sumire zakochała się po raz pierwszy w życiu wiosną tego roku, kiedy ukończyła dwadzieścia dwa lata. Była to miłość intensywna, prawdziwe tornado przetaczające się przez równiny - zmiatające wszystko, co napotkało na swej drodze, porywające przedmioty w powietrze, rozrywające je na części i miażdżące w drobny pył. Gwałtowność tego tornado nie osłabła ani na chwilę, gdy gnało przez ocean, pustosząc Angkor Wat, spopielając indyjską dżunglę, tygrysy i całą resztę, przemieniając się w perską burzę piaskową, która pogrzebała egzotyczną fortecę w morzu piachu. Krótko mówiąc, była to miłość prawdziwie monumentalnych rozmiarów. Tak się złożyło, że osoba, w której Sumire się zakochała, była od niej o siedemnaście lat starsza i miała małżonka. Powinienem też dodać, iż była kobietą. Tu się wszystko zaczęło i tu się skończy. Prawie.

W tym okresie Sumire - po japońsku „fiołek” - usiłowała zostać pisarką. Życie umożliwiło jej dokonanie rozmaitych wyborów, ona jednak mówiła: pisarstwo

albo nic. Jej postanowienie było równie niezachwiane jak Skala Gibraltarska. Nic nie mogło stanąć pomiędzy nią a literaturą.

Po ukończeniu liceum publicznego w prefekturze Kana-gawa dostała się na wydział humanistyczny w przytulnym, małym prywatnym college'u w Tokio. Miejsce to wydało jej się zupełnie obce, bez wyrazu i pozbawione ducha.

Nienawidziła go, a swych kolegów studentów (niestety, dotyczyło to również mnie) uważała za beznadziejnie tępe jednostki drugiej kategorii. Nic więc dziwnego, że tuż przed rozpoczęciem przedostatniego roku po prostu odeszła.

Widocznie uznała, że pozostawanie w tym college'u to zwykła strata czasu. Myślę, że było to właściwe posunięcie, jeśli jednak wolno mi uczynić niewielkie uogólnienie, to czyż na tym świecie, któremu daleko do doskonałości, nie ma miejsca i na rzeczy bezsensowne? Usuń z niedoskonałego życia wszystko, co nie ma sensu, a utraci ono nawet swą niedoskonałość.

Sumire była niepoprawną romantyczką, niezależną i, delikatnie mówiąc, dość niewinną. Jeśli pozwoliło jej się mówić, mogła trajkotać bez przerwy, lecz jeśli przebywała w towarzystwie kogoś, z kim nie miała wspólnego języka - innymi słowy, z większością mieszkańców Ziemi - ledwo otwierała usta. Za dużo paliła i za każdym razem, kiedy jechała pociągiem, gubiła bilet. Niekiedy tak się pogrążyła w rozmyślaniach, że zapominała o jedzeniu, była więc chuda jak te wojenne sierotki ze starych włoskich filmów

- niczym patyk. Bardzo chciałbym pokazać wam jej zdjęcie, ale nie mam ani jednego. Nie cierpiała się fotografować - nie życzyła sobie zostawiać następnym pokoleniom swego *Portretu artysty (artystki) z czasów młodości*. Gdyby istniały zdjęcia Surnire z tamtego okresu, z pewnością stanowiłyby cenny dowód na to, jak niezwykli bywają niektórzy ludzie.

Trochę jednak zakłócam chronologię wydarzeń. Kobieta, w której Sumire się zakochała, miała na imię Miu. Przynajmniej tak się wszyscy do niej zwracali. Nie znam jej prawdziwego imienia, co później spowodowało pewne problemy; ale znowu wyprzedzam fakty. Miu była z pochodzenia Kореanką, lecz dopóki nie postanowiła uczyć się koreańskiego, co nastąpiło dopiero po dwudziestce, nie znała ani słowa w tym języku. Urodziła się i wychowała w Japonii, studiowała zaś na akademii muzycznej we Francji, więc poza japońskim biegle władała zarówno francuskim, jak i angielskim. Zawsze dobrze ubrana, w wyrafinowanym stylu, nosiła drogie, choć skromne dodatki i jeździła dwunastocylindrowym granatowym jaguarem.

Kiedy Sumire poznała Miu, rozmawiały o powieściach Jacka Kerouaca. Sumire miała świra na punkcie Kerouaca. Zawsze miała swojego Idola Miesiąca, a tak się złożyło, że wtedy był nim niemodny Kerouac. W kieszeni płaszcza nosiła wystrzępiony egzemplarz *W drodze* lub *Lonesome Traveler*, który kartkowała, kiedy tylko mogła.

Za każdym razem, gdy natrafiała na zdanie, które jej się spodobało, zaznaczała je długopisem i uczyła się go na pamięć niczym słów z Pisma Świętego. Jej ulubione fragmenty dotyczyły wieży obserwacyjnej z *Lonesome Traveler*. Kerouac spędził samotnie trzy miesiące w domku na szczycie wysokiej góry, jako strażnik sprawdzający, czy w okolicy nie wybuchł pożar. Sumire lubiła zwłaszcza następujący fragment:

„Żaden człowiek nie powinien przejść przez życie, choć raz nie zaznawszy zdrowej, a nawet nudnej samotności na całkowitym odludziu. Choć raz powinien być zdany na samego siebie i poznać swą prawdziwą i ukrytą siłę”.

- Prawda, że świetne? - pytała. - Codziennie stajesz na szczycie góry, zataczasz wzrokiem pełny krąg, sprawdzając, czy gdzieś nie wybuchł pożar. I to wszystko. Na ten dzień skończyłeś robotę. Przez resztę czasu możesz czytać, pisać, co tylko chcesz. Nocami pod domek podchodzą niedźwiedzie o skołtunionej sierści. Co za życie! W porównaniu z nim studiowanie literatury w college'u jest nudne jak flaki z olejem.

- No dobrze - odparłem - ale któregoś dnia będziesz musiała zejść z tej góry. - Moje praktyczne, banalne uwagi jak zwykle nie zrobiły na niej żadnego wrażenia. Sumire chciała być jak postać z powieści Kerouaca - dzika, szalona, rozwiązała. Stała z rękoma wciśniętymi głęboko w kieszenie płaszcza, rozczochranymi włosami, patrząc pustym wzrokiem na niebo przez ciemne okulary

a la Dizzy Gillespie w plastikowych oprawkach, które nosiła pomimo doskonałego wzroku. Była wystrojona jak zawsze - za duży płaszcz w jodełkę ze sklepu z używaną odzieżą i ciężkie robocze buty. Gdyby mogła zapuścić brodę, z pewnością by to uczyniła.

Sumire nie była żadną piękną. Miała zapadnięte policzki i nieco zbyt szerokie usta, nos mały i zadarty, pełną ekspresji twarz i wielkie poczucie humoru, chociaż rzadko śmiała się na głos. Niewysoka, nawet będąc w dobrym nastroju mówiła tak, jakby niewiele jej brakowało do wywołania awantury. Nigdy nie widziałem, by użyła szminki czy ołówka do brwi, wątpię też, czy wiedziała, że biustonosze są w różnych rozmiarach. Mimo wszystko było w niej coś niezwykłego, coś co przyciągało ludzi. Zdefiniowanie „tego czegoś” nie jest łatwe, kiedy jednak spoglądała jej się w oczy, zawsze było to widać, odbite w ich głębi.

Równie dobrze mogę powiedzieć to już teraz. Byłem zakochany w Sumire. Ciągnęło mnie do niej od naszej pierwszej rozmowy i wkrótce nie było już odwrotu. Przez długi czas nie mogłem myśleć o niczym innym. Próbowałem powiedzieć, co do niej czuję, lecz z jakiegoś powodu nie potrafiłem połączyć uczuć z właściwymi słowami. Może to i lepiej. Gdybym umiał wyznać jej swoje uczucia, po prostu by mnie wyśmiała.

W tym czasie, kiedy się przyjaźniliśmy, umawiałem się z dwiema czy trzema innymi dziewczynami. Nie jest tak, że nie mogę sobie przypomnieć dokładnej liczby.

Dwie, trzy - zależy, jak się liczy. Gdyby dodać do tego dziewczyny, z którymi przespałem się raz czy dwa, ta lista stałaby się nieco dłuższa. W każdym razie, kochając się z nimi, myślałem o Sumire. A przynajmniej myśli o niej błąkały się gdzieś na obrzeżach mojej świadomości. Wyobrażałem sobie, że to ją trzymam w ramionach. Dostyc nieeleganckie zachowanie, nic jednak nie mogłem na to poradzić. Chciałbym jednak wrócić do tego, jak Sumire i Miu się poznały.

Miu coś tam słyszała o Jacku Kerouacu i miała niejasne wrażenie, że jest on pisarzem. Ale jakim, tego sobie nie przypominała.

- Kerouac... Hmm... Czy on nie był sputnikiem?

Sumire nie mogła zrozumieć, co Miu ma na myśli.

Nieruchomiejąc z nożem i widelcem w dłoniach, zastanawiała się przez chwilę.

- Sputnikiem? To znaczy pierwszym satelitą, którego Sowieci wysłali w kosmos w latach pięćdziesiątych? Jack Kerouac był amerykańskim pisarzem. Chociaż chyba rzeczywiście żył mniej więcej w tym samym czasie...

- Czy nie tak nazywało się ówczesnych pisarzy?

- spytała Miu. Palcem zatoczyła krąg na blacie stołu, jakby grzebała w słoiku pełnym wspomnień.

- Sputnik...?

- Nazwa ruchu literackiego. Wiesz - tak jak się klasyfikuje pisarzy z różnych szkół literackich. Tak jak Shiga Naoya należał do Szkoły Białej Brzozy.

Sumire w końcu olśniło.

- Bitnik!

Miu delikatnie otarła chusteczką kąciki ust.

- Bitnik, sputnik. Nigdy nie potrafię spamiętać takich określeń. Zupełnie jak restytucja Kenmun albo traktat w Rapallo. Starożytna historia.

Zapanowała łagodna cisza przypominająca o upływie czasu.

- Traktat w Rapallo? - powtórzyła Sumire.

Miu się uśmiechnęła. Był to nostalgiczny, intymny uśmiech przypominający cenny, stary przedmiot wyciągnięty z czeluści szuflady. Z niewysłowionym wdziękiem zmrużyła oczy. Wyciągnęła rękę i długimi, smukłymi palcami delikatnie zmierzwiła już i tak rozczochrane włosy Sumire. Na ten nagły, lecz naturalny gest Sumire mogła odpowiedzieć jedynie uśmiechem.

Od tamtego dnia imię, jakie Sumire wymyśliła dla Miu, brzmiało Sputnik Sweetheart. Sumire uwielbiała jego brzmienie. Przypominało jej o Łajce. O wykonanym przez człowieka satelicie mknącym bezszelestnie w mroku przestrzeni kosmicznej. O ciemnych, lśniących oczach psa wyglądającego przez maleńkie okienko. Na co mógł ten pies patrzeć w bezmiernej samotności kosmosu?

Ta rozmowa o sputniku miała miejsce na weselu kuzynki Sumire, które odbyło się w eleganckim hotelu w Akasaka. Sumire nie była szczególnie związana z tą kuzynką; właściwie w ogóle nie mogły znaleźć wspólnego

języka. Już wolałaby poddać się torturom, niż pójść na takie przyjęcie, nie mogła jednak odmówić. Posadzono ją koło Miu przy jednym ze stolików. Miu nie wdawała się w szczegóły, ale zdaje się, że kiedyś udzielała kuzynce Sumire lekcji gry na pianinie czy innym instrumencie, gdy ta zdawała na wydział muzyczny na uniwersytecie. Ich znajomość nie była ani długa, ani zażyła, lecz Miu czuła się w obowiązku przyjść na wesele swej uczennicy. W chwili gdy Miu dotknęła jej włosów, Sumire się zakochała, jakby przechodziła przez pole i nagle - trach! - piorun trafił ją prosto w głowę. Uczucie pokrewne artystycznemu olśnieniu. Właśnie dlatego w tamtej chwili fakt, że osoba, w której się zakochała, przypadkowo jest kobietą, nie miał dla Sumire żadnego znaczenia. Nie sądzę, by Sumire kiedykolwiek miała kochanka. W liceum umawiała się z paroma chłopcami, chodziła z nimi do kina i na basen. Nie wyobrażam sobie jednak, by któryś z tych związków był czymś poważniejszym. Sumire, zbyt skupiona na tym, by zostać pisarką, nie mogła się zakochać. Jeżeli w liceum zaznała seksu - lub czegoś zbliżonego - to z pewnością uczyniła to nie tyle z pożądania, ile z pisarskiej ciekawości.

- Szczerze mówiąc, zupełnie nie rozumiem całego tego pożądania - powiedziała mi kiedyś, usiłując sprawić wrażenie trzeźwej. Zdaje się, że było to tuż przed jej odejściem z college'u; wychyliła pięć bananowych daiquiri i była już nieźle wstawiona. - No wiesz - jak to się dzieje. Jak ty to widzisz?

— Pożądanie nie jest czymś, co się rozumie - odparłem, wyrażając swe jak zwykle wyważone zdanie. - Ono po prostu jest.

Przez chwilę przyglądała mi się bacznie, jakbym był maszyną napędzaną przez nieznane do tej pory źródło mocy. Nagle straciła zainteresowanie mną, wbiła wzrok w sufit i nasza rozmowa się urwała. Pewnie Sumire doszła do wniosku, że ze mną nie warto o tym rozmawiać. Sumire urodziła się w Chigasaki. Jej dom stał niedaleko wybrzeża, więc wychowała się przy dźwiękach suchego wiatru dmącego piaskiem w jej okna. Jej ojciec prowadził klinikę dentystryczną w Yokohamie. Był wyjątkowo przystojny, jego zgrabny nos przywodził na myśl Gregory Pecka w *Urzeczonej*. Sumire nie odziedziczyła tego ładnego nosa, według niej nie odziedziczył go również jej brat. Uważała to za zdumiewające, iż geny, które stworzyły ten nos, zniknęły. Jeżeli rzeczywiście zostały na zawsze pogrzebane na samym dnie zbiornika genów, świat stał się przez to smutniejszym miejscem. Tak piękny był ten nos.

Ojciec Sumire był postacią niemalże mityczną dla kobiet w Yokohamie, które potrzebowały leczenia dentystrycznego. W swoim gabinecie nosił zawsze czepkę chirurgiczną i ogromną maskę, więc pacjent widział tylko oczy i uszy. Mimo to jego uroda była niewątpliwa. Piękny, męski nos sterczał sugestywnie pod maską, pacjentki aż się rumieniły na ten widok. I w jednej chwili - bez względu na koszt leczenia - się zakochiwały.

Matka Sumire zmarła z powodu wrodzonej wady serca, mając zaledwie trzydzieści jeden lat. Sumire nie skończyła wtedy nawet trzech lat. Jedyne wspomnienie matki, jakie zachowała, było niejasne i dotyczyło zapachu jej skóry. Po matce zostało tylko kilka zdjęć - upozowana fotografia z wesela i fotka zrobiona tuż po narodzinach Sumire. Sumire czasami wyjmowała album i oglądała zdjęcia. Jej matka była - łagodnie mówiąc - zupełnie przeciętną osobą. Niska, z nieciekawą fryzurą, ubrana zupełnie bez smaku, z pełnym skrępowania uśmiechem. Gdyby zrobiła krok do tyłu, wtopiłaby się w ścianę. Sumire postanowiła wryć sobie w pamięć twarz matki. Może dzięki temu kiedyś spotkają w snach. Uściskną sobie ręce i utną miłą pogawędkę. Ale nie było to takie proste. Choć Sumire bardzo się starała zapamiętać twarz matki, obraz ten wkrótce zniknął. Gdyby minęła ją na ulicy w biały dzień - a co dopiero we śnie - nie rozpoznałaby jej. Ojciec Sumire prawie nie mówił o swej zmarłej żonie. Nie był rozmownym człowiekiem, a już nigdy -jak gdyby to było zapalenie dziąseł, którego nie chciał się nabawić - nie mówił o swoich uczuciach. Sumire nie przypominała sobie, by kiedykolwiek zadawała mu pytania o zmarłą matkę. Zdarzyło się to tylko raz, kiedy była jeszcze malutka; z jakiegoś powodu spytała go: „Jaka była moja mama?”. Bardzo dobrze pamiętała tę rozmowę. Ojciec odwrócił wzrok i zastanawiał się przez chwilę, zanim odpowiedział:

- Miała dobrą pamięć. I ładny charakter pisma.

Dziwny sposób opisywania człowieka. Sumire czekała w napięciu, z zeszytem otwartym na pierwszej, śnieżnobiałej stronie, na ożywcze słowa, które mogłyby się stać źródłem ciepła i ukojenia - kolumną, osią, na której wsparłaby swe niepewne życie tutaj, na trzeciej planecie od Słońca. Ojciec powinien był powiedzieć coś, na czym jego córka mogłaby się oprzeć. Lecz przystojny ojciec Sumire nie zamierzał wypowiedzieć tych słów, tych słów, których potrzebowała najbardziej.

Ojciec ponownie się ożenił, gdy Sumire miała sześć lat, a dwa lata później urodził się jej młodszy brat. Nowa matka również nie była ładna. Do tego jeszcze nie miała dobrej pamięci, a i jej charakter pisma nie rzucał na kolana. Była jednak miłą i uczciwą kobietą. Pod tym względem Sumire, - świeżo upieczona pasierbica, miała szczęście. Nie, „szczęście” to nieodpowiednie słowo. W końcu jej ojciec celowo wybrał tę kobietę. Może nie był idealnym ojcem, lecz jeśli przyszło do wyboru towarzyszki życia, wiedział, co robi. Miłość macochy do Sumire była niezachwiana przez cały długi i trudny okres dojrzewania dziewczyny, a kiedy Sumire oznajmiła, że zamierza porzucić college i poświęcić się pisaniu powieści, macocha - chociaż miała własne zdanie na ten temat - uszanowała tę decyzję. Zawsze się cieszyła, że Sumire tak dużo czyta, i wspierała jej literackie zapędy.

Macocha w końcu przekonała męża i postanowiono, że do dwudziestego ósmego roku życia Sumire będzie

17



dostawać od nich niewielkie stypendium. Jeżeli do tej pory nie zaczęła zarabiać na życie pisaniem, będzie musiała radzić sobie sama jakoś inaczej. Gdyby macocha się za nią nie wstawiła, Sumire prawdopodobnie znalazłaby się - bez pieniędzy, bez umiejętności życia w społeczeństwie - w dziczy cokolwiek niewesołej rzeczywistości. Bo Ziemia nie po to z takim trudem krąży wokół Słońca, by ludzie beztrudnie się na niej bawili.)

Sumire poznała swoją ukochaną Sweetheart nieco ponad dwa lata od dnia odejścia z college'u.

Mieszkała w kawalerce w Kichijoji, w otoczeniu minimalnej liczby mebli i maksymalnej liczby książek.

Wstawała w południe, a po południu, z entuzjazmem pielgrzymka, udawała się na wędrowkę przez święte wzgórza lub spacerowała po parku Inogashira. W słoneczne dni siadała na ławce w parku, żuła chleb, kociła jednego papierosa za drugim i czytała. W dni deszczowe lub chłodne wchodziła do staroświeckiej kawiarni, gdzie na cały regulator puszczano muzykę poważną, opadała na zniszczoną kanapę i z poważnym wyrazem twarzy czytała swe książki, słuchając symfonii Schuberta, kantat Bacha. Wieczorem wypijała jedno piwo i kupowała w supermarkecie gotowe danie na kolację.

Około jedenastej zasiadała do biurka. Zawsze stał na nim termos gorącej kawy, kubek (ten, który dałem jej na urodziny, ze Snafkinem), paczka marlboro i szklana popielniczka. Oczywiście miała też komputer. Każdy klawisz z własną literą.

Zapadała głęboka cisza. Jej umysł był jasny jak zimowe nocne niebo, gdzie Wielka Niedźwiedzica i Gwiazda Polarna jasno migoczą na swoim miejscu. Miała tyle do napisania, tyle historii do opowiedzenia. Gdyby tylko potrafiła znaleźć odpowiednie ujęcie, gorące myśli i pomysły buchnęłyby jak lawa, gęstniejąc w silny strumień oryginalnych dzieł, jakich świat jeszcze nie widział. Ludzie wytrzeszczaliby oczy na widok niespodziewanego debiutu tej Obiecującej Młodej Pisarki o Rzadkim Talencie. Jej zdjęcie, uśmiechniętej nonszalancko, pojawiałoby się w działach sztuki w prasie, a wydawcy wydeptaliby ścieżkę do jej drzwi. Tak się jednak nie stało. Sumire napisała parę prac mających początek. I kilka z zakończeniem. Lecz ani jednej, która miałaby i początek, i zakończenie. Nie chodzi o to, że cierpiała na blokadę pisarską. Była od tego daleka - pisała nieustannie, wszystko, co jej przyszło do głowy. Problem polegał na tym, że pisała za dużo. Można by pomyśleć, że powinna tylko wyciąć niepotrzebne fragmenty, a osiągnęłaby swój cel, ale nie było to takie proste. Nigdy nie mogła się zdecydować na ogólny obraz - nie wiedziała, co jest niezbędne, a z czego może zrezygnować. Kiedy następnego dnia czytała wydruk tego, co napisała, każde zdanie wydawało jej się absolutnie niezbędne. Inaczej równie dobrze mogłaby wyrzucić całość. Niekiedy, w rozpaczy, darła maszynopis i ciskała go do kosza. Gdyby noc była zimowa, a w pokoju znajdował się kominek, scena ta miałaby w sobie pewne ciepło - tak jak

w *La Boheme* - lecz w mieszkaniu Sumire nie było nie tylko kominka, ale i telefonu. Nie wspominając już o porządnym lustrze.

W weekendy Sumire przychodziła do mnie ze szkicami powieści wysypującymi się z rąk - z tymi maszynopisami, które szczęśliwie uniknęły masakry. Mimo wszystko była ich niezła sterta. Sumire pokazywała je tylko jednej osobie na całym świecie. Mnie.

W college'u byłem dwa lata wyżej niż ona, mieliśmy też różne specjalizacje, więc istniała niewielka szansa na to, że się kiedykolwiek poznamy. Doszło do tego dzięki czystemu przypadkowi. Był maj, poniedziałek, dzień po świętach, stałem na przystanku autobusowym przed główną bramą college'u, czytając powieść Paula Nizana, którą znalazłem w antykwariacie. Jakaś niska dziewczyna koło mnie pochyliła się w moją stronę, zerknęła na książkę i spytała: „Dlaczego właśnie Nizan?”. Powiedziała to tak, jakby chciała wywołać awanturę. Jakby chciała coś kopnąć, lecz nie znajdując nic odpowiedniego w pobliżu, zaatakowała mój wybór lektury.

Sumire i ja byliśmy do siebie bardzo podobni. Pożeranie książek przychodziło nam z równą łatwością, co oddychanie. W każdej wolnej chwili zaszywaliśmy się gdzieś w kącie i bez końca przewracaliśmy stronę po stronie.

Powieści japońskie, zagraniczne, klasyka, od awangardy aż po bestsellery - jeżeli tylko w książce było coś intelektualnie stymulującego, braliśmy się do czytania. Przesia-

dywaliśmy w bibliotekach, całe dnie spędzaliśmy w Kandydzie, mekce wszystkich antykwariatów w Tokio. Nigdy przedtem nie spotkałem osoby, która czytałaby tak zachłannie - tak intensywnie i dużo - jak Sumire, i jestem pewien, że ona miała takie samo zdanie o mnie.

Uzyskałem dyplom mniej więcej w tym czasie, kiedy Sumire porzuciła college. Wpadała wtedy do mnie dwa, trzy razy w miesiącu. Niekiedy to ja ją odwiedzałem, lecz w jej kawalerce ledwo mieściły się dwie osoby, więc przeważnie Sumire lądowała u mnie. Rozmawialiśmy o powieściach, które przeczytaliśmy, i wymienialiśmy się książkami. Często gotowałem. Nie miałem nic przeciwko temu, a Sumire należała do osób, które wolą chodzić głodne, niż samemu coś sobie przyrządzić. W podziękowaniu przynosiła mi prezenty z miejsca, gdzie akurat pracowała. Raz, gdy zatrudniła się w magazynie firmy farmaceutycznej, podarowała mi sześć tuzinów prezerwatyw. Pewnie nadal leżą gdzieś w czeluściach szuflady.

Powieści - czy też właściwie ich fragmenty - które tworzyła Sumire, nie były aż tak beznadziejne, jak jej się wydawało. To prawda, jej styl miejscami przypominał koldrę zszywaną z kawałków przez grupkę upartych starszych pań - a każda z własnym wyczuciem smaku i własnymi pretensjami - pracujących w ponurej ciszy. Jeśli dodać do tego maniakalno-depresyjną osobowość Sumire, to rzeczy niekiedy wymykały się spod kontroli. Na domiar złego Sumire była zdecydowana stworzyć

opasłą Powieść Totalną w dziewiętnastowiecznym stylu, coś w rodzaju kufra naładowanego wszelkimi możliwymi zjawiskami mającymi oddać stan duszy człowieka i jego los. Jak już wspomniałem, piarstwo Sumire odznaczało się nadzwyczajną świeżością, stanowiło próbę szczerego opisu tego, co było dla niej ważne. Trzeba przyznać, że nie usiłowała naśladować stylu innych pisarzy i nie próbowała tworzyć uroczych, błyskotliwych utworów. I to najbardziej mi się podobało w jej twórczości. Nie byłoby w porządku, gdyby zrezygnowała ze swej bezpośredniej mocy na rzecz stworzenia przyjemnych, zgrabnych form. Nie było potrzeby przyśpieszać biegu wydażeń. Sumire miała jeszcze mnóstwo czasu na eksperymenty. Jak głosi przysłowie: „Co nagle, to po diable”.

- Moja głowa jest niczym absurdalna stodoła zapchana aż po strop rzeczami, które chcę opisać - powiedziała Sumire. - Obrazy, sceny, strzępki słów... w moim umyśle lśnią, są żywe. Pisz! - krzyczą do mnie. Niedługo narodzi się nowa historia, czuję to. Przeniesie mnie w zupełnie nowe miejsce. Problem polega na tym, że kiedy już usiądę za biurkiem i przeleję wszystko na papier, uświadamiam sobie, że brakuje tu czegoś istotnego. To się nie chce skryształizować - żadnych kryształów, sam żwir. I donikąd się nie przenoszę. Sumire ze zmarszczonym^ czołem po raz dwieście pięćdziesiąty podniosła kamyk i cisnęła go do stawu.

- Może czegoś mi brakuje. Czegoś, co absolutnie trzeba mieć, by stać się pisarzem.

Zapadła głęboka cisza. Wyglądało na to, że Sumire czeka na moją banalną opinię.

Po jakimś czasie się odezwałem:

- Dawno temu w Chinach istniały miasta otoczone wysokimi murami, w których znajdowały się ogromne wspaniałe bramy. Nie służyły jedynie do wpuszczania lub wypuszczania ludzi, lecz miały większe znaczenie. Ludzie wierzyli, że zamieszkuje w nich duch miasta. A przynajmniej że powinien tam przebywać. Podobnie jak w średniowiecznej Europie ludzie uważali, że serce miasta znajduje się w katedrze i na rynku głównym. Dlatego nawet teraz w Chinach wciąż jeszcze spotyka się mnóstwo przepięknych bram. Wiesz, w jaki sposób Chińczycy je budowali?

- Nie mam pojęcia - odparła Sumire.

- Ludzie jechali wozami na stare pola bitew i zbierali zbieleńsze kości pochowane tam lub rozrzucone dokoła. Chiny to bardzo stary kraj - pełno tam pól bitw - więc mieszkańcy nie musieli szukać daleko. Przy wejściu do miasta budowali ogromną bramę i wmurowywali w nią kości. Mieli nadzieję, że oddawszy w ten sposób honor poległym żołnierzom, zasłużą sobie na ich opiekę. Ale to nie wszystko. Kiedy brama była już ukończona, przynosili pod nią Miki psów, podrzynali im gardła i ich krwią spryskiwali bramę. Dopiero po połączeniu świeżej krwi z wyschniętymi kośćmi pradawne dusze zmarłych w magiczny sposób mogły ożyć. Tak przynajmniej wierzono. Sumire w milczeniu czekała na dalszy ciąg.

- Pisanie powieści jest bardzo podobne. Zbierasz kości i budujesz swoją bramę, ale choćby była przepiękna, samo to nie czyni z niej żywej, oddychającej powieści. Opowieść to coś nie z tego świata. Prawdziwa historia wymaga magicznego chrztu, który połączy świat po tej stronie ze światem po tamtej.

- Chcesz więc powiedzieć, że powinnam iść poszukać własnego psa?

Pokiwałem głową.

- I przelać świeżą krew?

Sumire przygryzła wargę i przez chwilę się zastanawiała. Wrzuciła do stawu kolejny nieszczęsny kamyczek.

- Naprawdę wolałabym nie zabijać zwierząt, jeśli nie muszę.

- To metafora - powiedziałem. - Tak naprawdę nie musisz niczego zabijać.

Jak zwykle siedzieliśmy w parku Inogashira, na jej ulubionej ławce. Przed nami rozpościerał się staw. Bezwietrzny dzień. Liście leżały tam, gdzie spadły, przyklejone do powierzchni wody. Wyczuwałem zapach ogniska rozpalonego gdzieś w oddali. Powietrze przepełniał aromat końca jesieni, a odległe dźwięki były boleśnie wyraźne.

- Potrzebujesz czasu i doświadczenia - powiedziałem.

- Czasu i doświadczenia - zadumała się Sumire, spoglądając w niebo. - Z czasem niewiele da się zrobić - po prostu płynie. Ale doświadczenie? Tylko nie to. Nie jestem z tego dumna, ale nie mam żadnych potrzeb seksualnych.

A jakie doświadczenie może mieć pisarz, jeżeli nie czuje namiętności?! Jest jak szef kuchni bez apetytu. \

- Nie wiem, gdzie się podziały twoje potrzeby seksualne - powiedziałem. - Może gdzieś się ukrywają. Albo pojechały na wycieczkę i zapomniały wrócić do domu. Ale zakochanie się to istne wariactwo. Może przyjść ni z tego, ni z owego i po prostu cię dopaść. Kto wie - może już jutro. Sumire przeniosła wzrok z nieba na moją twarz.

- Jak tornado?

- Można tak to ująć.

Zastanowiła się.

- Widziałeś kiedyś tornado?

- Nie - odparłem. Na szczęście w Tokio tornada zdarzały się dość rzadko.

Jakieś pół roku później, tak jak to przewidziałem, nagle i absurdalnie Sumire dopadła miłość przypominająca tornado. Miłość do kobiety o siedemnaście lat starszej. Do jej własnej Sputnik Sweetheart.

Kiedy Sumire i Miu usiadły obok siebie przy stole na weselu, zrobiły to, co wszyscy na całym świecie robią w takiej sytuacji, a mianowicie przedstawiły się sobie. Sumire nie cierpiała swojego imienia i kiedy tylko mogła, starała się je ukryć. Ale gdy ktoś cię pyta o imię, jedyną uprzejmą odpowiedzią jest podanie go.

Według jej ojca to matka wybrała imię dla Sumire.

Uwielbiała pieśń Mozarta pod tym tytułem i dużo wcześniej postanowiła, że jeżeli kiedyś urodzi córeczkę,

nada jej takie imię. Na półce w ich salonie stała płyta z pieśniami Mozarta, niewątpliwie ta, której słuchała matka, i Sumire w dzieciństwie często kładła ostrożnie ów ciężki longplay na talerzu adapteru i na okrągło słuchała tej pieśni. Sopranem śpiewała Elisabeth Schwarzkopf, na pianinie grał Walter Gieseking. Sumire nie rozumiała słów, lecz sądząc po pełnym wdzięku motywie przewodnim, miała pewność, że jest to pean na cześć pięknych fiołków kwitnących na łące. Obraz ten bardzo jej się podobał. W bibliotece gimnazjum natknęła się jednak na japońskie tłumaczenie tej pieśni i przeżyła wstrząs. Słowa mówiły o prostej córce pasterza deptającej na łące nieszczęsny fiołek. Dziewczyna nawet nie zauważyła, że zdeptała kwiat. Pieśń ta była oparta na wierszu Goethego i Sumire nie znalazła w niej nic pocieszającego, żadnej nauki na przyszłość.

- Jak matka mogła nadać mi imię po tak okropnej pieśni? - powiedziała nachmurzona Sumire.

Miu poprawiła rogi serwetki na kolanach, uśmiechnęła się obojętnie i spojrzała na Sumire. Miała bardzo ciemne oczy. W oczach tych łączyło się wiele kolorów, były jednak czyste i bezchmurne.

- Jak myślisz, czy ta pieśń jest piękna?

- Tak, sama muzyka jest śliczna.

- Skoro muzyka jest śliczna, to myślę, że to powinno wystarczyć. W końcu nie wszystko na tym świecie może być piękne, prawda? Twoja matka musiała tak bardzo kochać tę pieśń, że słowa jej nie przeszkadzały. A poza

tym, jeśli będziesz ciągle robić takie miny, to te zmarszczki zostaną ci już na stałe.

Sumire rozluźniła twarz.

- Może i masz rację, ale czuję się taka zawiedziona.

No bo jedyną namacalną rzeczą, jaką mi zostawiła matka, jest to imię. Oczywiście oprócz mnie samej.

- A ja myślę, że Sumire to piękne imię. Bardzo mi się podoba - powiedziała Miu, lekko przechylając głowę, jakby chciała spojrzeć na tę sytuację pod innym kątem.

- A tak przy okazji, czy twój ojciec jest tutaj, na weselu? Sumire się rozejrzała. Sala weselna była ogromna, lecz jej ojciec należał do wysokich ludzi i szybko go wypatrzyła. Siedział dwa stoliki dalej, rozmawiając z niskim, starszym mężczyzną w żakiecie. Uśmiech miał tak ufny i ciepły, że mógłby stopić lodowiec. W blasku świec wspaniały nos wznosił się łagodnym łukiem niczym rokokowa kamea i nawet Sumire, przyzwyczajona do jego wyglądu, była poruszona urodą ojca. Idealnie pasował do tego rodzaju oficjalnych spotkań. Sama jego obecność dodawała splendoru temu miejscu. Jak kwiaty w ogromnym wazonie lub czarna limuzyna.

Kiedy Miu dojrzała ojca Sumire, aż jej odebrało mowę. Sumire usłyszała, jak Miu wstrzymuje oddech. Przypominało to odgłos, jaki wydaje aksamitna zasłona, gdy się ją odsuwa w spokojny poranek, by wpuścić promienie słońca i obudzić ukochaną osobę. Może powinnam była wziąć ze sobą lornetkę teatralną, zadumała się Sumire. Była

jednak przyzwyczajona do gwałtownej reakcji, jaką wywoływał u ludzi wygląd jej ojca - zwłaszcza u kobiet w średnim wieku. Czym jest uroda? Jaką ma wartość? Sumire zawsze wydawało się to dziwne. Ale nikt nigdy jej nie odpowiedział.

Wrażenie nieodmiennie pozostawało takie samo.

- Jak to jest, gdy się ma tak przystojnego ojca?

- spytała Miu. - Pytam z czystej ciekawości.

Sumire westchnęła - ludzie bywają tak przewidywalni.

- Nie mogę powiedzieć, żeby mi się to podobało.

Wszyscy myślą to samo: Jaki przystojny mężczyzna.

Naprawdę wyjątkowy. Ale jego córka - no cóż, nie jest

zbyt atrakcyjna, prawda? W ich mniemaniu to atawizm.

Miu odwróciła się do Sumire, leciutko spuściła głowę i spojrzała na jej twarz. Zupełnie jakby podziwiała obraz w galerii sztuki.

- Jeżeli zawsze tak sądziłaś, to byłaś w błędzie

- powiedziała. - Jesteś piękna. Tak samo jak twój ojciec.

- Wyciągnęła rękę i całkowicie naturalnym gestem lekko dotknęła dłoni Sumire spoczywającej na stole. - Nawet sobie nie uświadamiasz, jak bardzo jesteś piękna.

Sumire poczuła gorąco na twarzy. Serce galopowało jej tak głośno, jak oszalały koń na drewnianym moście.

Potem Sumire i Miu pogрузyły się w prywatnej rozmowie. Wesele było huczne, nastąpiło kilka zwyczajowych poobiednich mów (w tym oczywiście również mowa ojca Sumire), a sam obiad był nie najgorszy. Ale nic z tego nie pozostało w pamięci Sumire. Czy na przystawkę podano mięso? Czy też rybę? Czy używała

noża i widelca i pamiętała o dobrych manierach? Czy też jadła rękoma i oblizwała talerz? Nie miała pojęcia. Rozmawiały o muzyce. Sumire była wielką fanką muzyki poważnej i od dzieciństwa lubiła grzebać w kolekcji płyt ojca. Okazało się, że ona i Miu mają podobne gusta muzyczne. Obie uwielbiały muzykę fortepianową i były przekonane, że 32 *sonata* Beethovena to absolutny szczyt osiągnięć w historii muzyki. I że nagrania dla wytwórni Decca w niezrównanym wykonaniu Wilhelma Backhaus'a wyznaczają standard interpretacji. Cóż za rozkoszne, wibrujące i radosne brzmienie!

„Monofoniczne nagrania Chopina w wykonaniu Władimira Horowitz'a, a zwłaszcza scherza, są poruszające, nie sądzisz?”. „Interpretacja preludium Debussy'ego Friedricha Guldy jest błyskotliwa i śliczna; Grieg Giesekinga jest, od początku do końca, uroczy”. „Prokofiewa Światosława Richtera warto słuchać na okrągło - jego interpretacja dokładnie oddaje te kapryśne zmiany nastroju”.

„A sonaty Mozarta w wykonaniu Wandy Landowskiej - tak przepełnione ciepłem i czułością, że aż trudno uwierzyć, że nie spotkały się z większym uznaniem”.

- Czym się zajmujesz? - spytała Miu, gdy już zakończyły tę dyskusję o muzyce.

- Porzuciłam college - wyjaśniła Sumire - i teraz pracuję dorywczo, jednocześnie pisząc powieści.

- Jakie powieści? - spytała Miu.

- Trudno wyjaśnić - odparła Sumire.

- No to jakie powieści lubisz czytać?

- Gdybym miała wymienić wszystkie, musiałybyśmy spędzić tu całą wieczność - powiedziała Sumire. - Ostatnio czytam Jacka Kerouaca.

I tu właśnie nastąpiła część rozmowy o sputniku.

Poza lekką beletrystyką, którą czytała dla zabicia czasu, Miu rzadko sięgała po powieści. „Nie potrafię zapomnieć, że to wszystko jest wymyślone - wyjaśniła - więc nie mogę się wczuć w położenie bohaterów. Zawsze tak było". Dlatego właśnie ograniczyła lekturę do książek, które traktowały rzeczywistość jak rzeczywistość. Głównie takich, które pomagały jej w pracy.

- Czym się zajmujesz? - spytała Sumire.

- Moja praca jest związana z zagranicą - powiedziała Miu. - Trzydzieści lat temu przejęłam firmę handlową, którą prowadził mój ojciec, ponieważ byłam najstarszym dzieckiem. Miałam zostać pianistką, lecz ojciec zmarł na raka, matka nie była zbyt silna fizycznie, a poza tym nie mówiła dobrze po japońsku. Brat jeszcze chodził do liceum, więc postanowiłyśmy, że przynajmniej na razie zajmę się firmą. Zależało od niej utrzymanie pewnej liczby naszych krewnych, więc nie mogłam pozwolić, żeby zeszła na psy. Swoje słowa podkreśliła westchnieniem.

- Początkowo firma mojego ojca importowała z Korei suszoną żywność i zioła lecznicze, ale teraz sprowadza wiele rzeczy. Nawet części komputerowe. Oficjalnie jestem dyrektorem, ale jej prowadzenie przejęli mój mąż i młodszy brat, więc nie muszę zbyt często przychodzić do biura. Założyłam natomiast własny interes.

- Co robisz?
 - Głównie importuję wino. Niekiedy również organizuję koncerty. Dość często jeżdżę do Europy, ponieważ ten rodzaj interesów zależy od kontaktów osobistych. Dlatego też mogę zupełnie samodzielnie konkurować z niektórymi największymi firmami. Jednak podtrzymywanie wszystkich tych kontaktów pochłania mnóstwo czasu i energii. No, ale można się było tego spodziewać...
 - Podniosła wzrok, jakby właśnie coś sobie przypomniała.
 - A tak przy okazji, znasz angielski?
 - Mówienie po angielsku nie jest moją mocną stroną, ale radzę sobie nie najgorzej. Natomiast uwielbiam czytać po angielsku.
 - Umiesz obsługiwać komputer?
 - Nie bardzo, ale korzystałam z edytora tekstu i na pewno szybko bym się nauczyła.
 - A co z prowadzeniem samochodu?
- Sumire pokręciła głową. W tym roku, kiedy zaczęła chodzić do college'u, próbowała wprowadzić tyłem do garażu volvo kombi swojego ojca i rąbnęła drzwiami w słupek. Od tej pory prawie nigdy nie siadała za kierownicą.
- No dobrze, a czy potrafiłabyś w co najwyżej dwustu słowach wyjaśnić, jaka jest różnica między znakiem a symbolem?
- Sumire podniosła z kolan serwetkę, lekko otarła usta i odłożyła ją z powrotem. Do czego ta kobieta zmierza?
- Między znakiem a symbolem?
 - Nie ma to większego znaczenia. To tylko taki przykład.

Sumire znowu pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia.

Miu się uśmiechnęła.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym, żebyś mi opowiedziała o swoich praktycznych umiejętnościach. W czym jesteś wyjątkowo dobra. Poza czytaniem powieści i słuchaniem muzyki.

Sumire cicho odłożyła na talerz nóż i widelec, zapatrzyła się w anonimową przestrzeń nad stołem i zadumała nad tym pytaniem.

- Zamiast tego, w czym jestem dobra, szybciej będzie wymienić rzeczy, których nie potrafię robić. Nie umiem gotować ani sprzątać. W pokoju mam straszny bałagan i ciągle coś gubię. Kocham muzykę, ale nie zaśpiewam ani nuty. Jestem niezdarna i ledwo potrafię coś zszyć. Mój zmysł orientacji praktycznie nie istnieje i często myli mi się prawa i lewa strona. Kiedy się wścieknę, niszczę przedmioty. Talerze, ołówki, budziki. Potem tego żałuję, ale w takich chwilach nie potrafię nad sobą zapanować. Nie mam żadnych pieniędzy na koncie. Czuję się onieśmielona z byle powodu i właściwie nie mam żadnych znajomych.

Sumire wzięła głęboki oddech i podjęła wątek.

- Potrafię jednak bardzo szybko pisać na maszynie.

Nie jestem zbyt silna, ale nie licząc świnki, nie przechorowałam ani jednego dnia. Zawsze jestem punktualna, nigdy się nie spóźniam na spotkania. Mogę jeść cokolwiek. W ogóle nie oglądam telewizji. I nie chwaląc się, rzadko szukam wymówek. Mniej więcej raz w miesiącu

mam tak sztywne ramiona, że nie mogę usnąć, ale poza tym śpię jak kłoda. Łagodnie przechodzę okres. Nie mam ani jednej dziury w zębach. I nieźle znam hiszpański. Miu podniosła wzrok.

- Mówisz po hiszpańsku?

Kiedy Sumire chodziła do liceum, spędziła miesiąc u swojego wujka, biznesmena, który mieszkał w Mexico City. Chcąc jak najlepiej wykorzystać tę okazję, zaczęła się intensywnie uczyć hiszpańskiego. W college'u też chodziła na lekcje hiszpańskiego.

Miu ujęła w dwa palce nóżkę kieliszka i zaczęła go lekko obracać, jakby dokręcała śrubkę w maszynie.

- Chciałabyś dla mnie popracować przez jakiś czas?

- Popracować? - Nie mając pewności, jaki wyraz twarzy byłby najbardziej odpowiedni w tej sytuacji, Sumire zdecydowała się na swą zwykłą naburmuszoną minę.

- Nigdy w życiu nie miałam prawdziwej pracy i nawet nie jestem pewna, czy potrafiłabym odebrać telefon jak należy. Unikam jazdy pociągami przed dziesiątą rano i, jak pewnie zdążyłaś się zorientować, nie jestem zbyt uprzejma.

- To wszystko nie ma żadnego znaczenia - Miu odparła po prostu. - A przy okazji, jesteś wolna jutro około południa? Sumire w odpowiedzi kiwnęła głową. Nawet nie musiała się zastanawiać. W końcu wolny czas był jej największym majątkiem.

- W takim razie może umówiłybyśmy się na lunch? Zarezerwuję stół w zacisznym kąciku w restauracji niedaleko stąd - powiedziała Miu. Wyciągnęła rękę

z kieliszkiem czerwonego wina, którego jej nalał kelner, przyjrzała mu się uważnie, wchłonęła aromat i upiła pierwszy łyk. W całej serii tych ruchów była naturalna elegancja kojarząca się z krótką kadencją, którą pianista przez lata opanował do perfekcji.

- Szczegóły omówimy jutro. Dzisiaj wolę się dobrze bawić. Nie wiem, skąd pochodzi to bordeaux, ale jest całkiem niezłe.

Sumire rozluźniła nachmurzoną twarz i spytała wprost:

- Ale przecież dopiero co mnie poznałaś, prawie nic o mnie nie wiesz.

- To prawda. Może i nie wiem - przyznała Miu.

- Dlaczego więc myślisz, że mogłabym ci się przydać?

Miu zakołysała winem w kieliszku.

- Zawsze oceniam ludzi po twarzy - odparła. - To znaczy, że podoba mi się twoja twarz, twój wygląd.

Sumire nagle poczuła, że powietrze wokół niej się rozrzedza. Sutki stwardniały jej pod sukienką. Odruchowo sięgnęła po szklankę z wodą i wypiła ją do dna. Zza jej pleców szybko wyłonił się kelner o ptasiej twarzy i napełnił jej szklankę wodą z lodem. W oszołomionym umyśle Sumire grzechot kostek lodu rozbrzmiewał głucho niczym jęki rozbójnika ukrywającego się w jaskini.

Chyba się zakochałam w tej kobiecie - Sumire zrozumiała z nagłym przestraszeniem. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Lód jest zimny, róże są czerwone, a ja się zakochałam. I ta miłość dokądś mnie powiedzie. Jej nurt

jest zbyt silny; nie mam wyboru. Może będzie to szczególne miejsce, miejsce, którego jeszcze nigdy nie widziałam. Może czai się tam niebezpieczeństwo, może coś mnie tam zrani, głęboko, śmiertelnie. Może wszystko stracę. Ale teraz już nie ma odwrotu. Mogę tylko dać się ponieść prądowi. Nawet jeżeli to oznacza, że spłonę, odejdę na zawsze. Teraz, po fakcie, wiem, że jej przeczucia okazały się prawdziwe. W stu dwudziestu procentach.

Minęły jakieś dwa tygodnie od wesela, kiedy Sumire do mnie zadzwoniła. Był niedzielny poranek, tuż przed świętem. Oczywiście jeszcze spałem. Jak zabity. Tydzień wcześniej zlecono mi zorganizowanie zebrania, więc sypiałem tylko po parę godzin, bo strasznie dużo czasu zajmowało mi gromadzenie wszystkich niezbędnych (czytaj: absurdalnych) dokumentów. Kiedy wreszcie nadszedł weekend, chciałem się porządnie wyspać. Oczywiście telefon musiał zadzwonić właśnie wtedy.

- Spałeś? - spytała badawczo Sumire.
- Mmm - zajęczałem i instynktownie zerknąłem na budzik przy łóżku. Miał wielkie, fosforyzujące wskazówki, ale nie byłem w stanie odczytać godziny. Obraz odbijający się na mojej siatkówce i ta część mojego mózgu, która

powinna go przetworzyć, nie mogły się zsynchronizować, niczym staruszka usiłująca nawlec igłę. Wiedziałem tylko, że wokół panuje ciemność porównywalna do tej z *Mrocznej nocy duszy* Fitzgeralda.

- Niedługo zacznie świtać.
- Mmm - wymruczałem.
- Niedaleko mojego domu mieszka facet, który hoduje koguty. Ma je chyba od lat. Za jakieś pół godziny zaczną pisać jak opętane. To moja ulubiona pora dnia. Czarne niebo zaczyna się przejaśniać na wschodzie, koguty pieją z całych sił, jakby chciały się na kimś zemścić. A koło ciebie są jakieś koguty?

Lekko pokręciłem głową po swojej stronie linii telefonicznej.

- Dzwonię z budki koło parku.
- Mmm - powiedziałem.

Budka znajdowała się jakieś dwieście metrów od jej mieszkania. Ponieważ Sumire nie miała telefonu, zawsze musiała tam chodzić, żeby zadzwonić. Taka sobie zwyczajna budka.

- Wiem, że nie powinnam dzwonić tak wcześnie. Naprawdę bardzo przepraszam. O tej porze dnia, kiedy koguty jeszcze nawet nie zaczęły pisać. Kiedy w rogu nieba na wschodzie wisi ten żalony księżyc w kształcie nerki. Ale pomyśl o mnie - musiałam wlec się po ciemku taki kawał drogi, ściskając w ręku kartę telefoniczną, którą dostałam w prezencie na weselu kuzynki. Jest na niej zdjęcie pary trzymającej się za ręce. Wyobrażasz sobie, jakie to przynębiające? Kurczę blade, nawet skarpetki mam nie do pary.

Na jednej jest Myszka Miki, a druga jest gładka. Mój pokój wygląda jak po katastrofie; niczego nie mogę znaleźć. Nie chcę tego mówić zbyt głośno, ale nie uwierzyłbyś, w jakim stanie są moje majtki. Wątpię, czy dotknąłby ich któryś z tych złodziei kradnących bieliznę. Gdyby zamordował mnie jakiś zboczeniec, chyba bym tego nie przeżyła. Nie proszę o współczucie, ale byłoby miło, gdybyś mógł okazać trochę więcej zainteresowania. A nie tylko te twoje zimne wstawki - „och” i „rmmm”. Może jakiś spójnik? Byłoby bardzo miło. „Jednak” albo „ale”.

- Jednakże - powiedziałem. Byłem wykończony i czułem się, jakbym nadal śnił.

- Jednakże - powtórzyła. - Okay, może być. To już jakiś krok do przodu. Jednakże bardzo mały.

- To jak, chciałaś czegoś?

- Tak, chciałam, żebyś mi coś powiedział. Po to dzwonię

- wyjaśniła Sumire. Cicho odchrząknęła. - Chciałam się spytać, jaka jest różnica między znakiem a symbolem?

Miałem dziwne wrażenie, jakby ktoś po cichu maszerował mi przez głowę.

- Możesz powtórzyć pytanie?

- Jaka jest różnica między znakiem a symbolem?

Usiadłem w łóżku i przełożyłem słuchawkę z lewej ręki do prawej.

- Wyjaśnijmy coś sobie: dzwonisz do mnie, bo chcesz się dowiedzieć, jaka jest różnica między znakiem a symbolem. W niedzielę rano, tuż przed świtem. Mmm...

- Dokładnie o czwartej piętnaście - powiedziała. - To mnie męczy. Jaka może być różnica między znakiem

a symbolem? Ktoś mnie o to spytał parę tygodni temu i teraz ciągle to za mną chodzi. Właśnie się rozbieżałam przed pójściem spać i nagle mi się przypomniało. Możesz mi to wytłumaczyć? Różnicę między znakiem a symbolem?

- Muszę się zastanowić - powiedziałem, spoglądając w sufit. Nawet kiedy byłem całkowicie przytomny, logiczne tłumaczenie pewnych rzeczy Sumire sprawiało mi pewną trudność. - Cesarz jest symbolem Japonii. Łapiesz?

- Tak jakby - odparła.

- „Tak jakby” nie wystarczy. Tak jest napisane w konstytucji Japonii - powiedziałem najspokojniej, jak tylko mogłem. - Nie ma tu miejsca na dyskusje czy wątpliwości. Musisz to zaakceptować albo donikąd nie dojdziemy.

- Jasne. Akceptuję to.

- Dziękuję. Tak więc: cesarz jest symbolem Japonii. Ale to nie oznacza, że cesarz i Japonia to jedno i to samo. Łapiesz?

- Nie łapię.

- Och, to może spróbujmy tak: strzałka wskazuje jeden kierunek. Cesarz jest symbolem Japonii, ale Japonia nie jest symbolem cesarza. Rozumiesz, prawda?

- Chyba tak.

- Powiedzmy, że na przykład piszesz: „Cesarz jest znakiem Japonii”. To znaczy, że cesarz i Japonia to jedno i to samo. Kiedy więc mówimy „Japonia”, oznacza to również „cesarz”, a kiedy mówimy o cesarzu, oznacza to również Japonię. Innymi słowy, są to pojęcia wymienne. Tak samo jak w „A równa się B, więc B równa się A”. To właśnie jest znak.

- To znaczy, że można wymienić cesarza na Japonię? Można tak zrobić?
- Nie to miałem na myśli - powiedziałem, energicznie kręcąc głową. - Próbuję tylko ci to jak najlepiej wytłumaczyć. Nie zamierzam wymieniać cesarza na Japonię. To tylko przykład.
- Hmm - mruknęła Sumire. - Chyba rozumiem. Takie porównanie. Jak różnica między ulicą jedno - i dwukierunkową.
- Na potrzeby naszej dyskusji można tak to ująć.
- Zawsze mnie zdumiewa, jak ty świetnie umiesz tłumaczyć różne rzeczy.
- To moja praca - powiedziałem. Moje własne słowa wydawały mi się w pewien sposób płaskie i oklepane.
- Powinnaś kiedyś spróbować uczyć w podstawówce. Nie masz pojęcia, jakie pytania słyszę. „Dlaczego świat nie jest kwadratowy?”. „Dlaczego kałamarnice mają dziesięć macek, a nie osiem?”. Nauczyłem się dawać odpowiedź niemal na wszystko.
- Musisz być doskonałym nauczycielem.
- Czy ja wiem? - Rzeczywiście nie byłem tego pewien.
- A tak przy okazji, dlaczego kałamarnice mają dziesięć macek, a nie osiem?
- Mogę już iść spać? Jestem wykończony. Trzymając tę słuchawkę, czuję się, jakbym podpierał walącą się ścianę.
- Wiesz... - Sumire zrobiła niewielką pauzę, niczym stary dróżnik, który z hukiem opuszcza szlaban tuż przed

przejazdem pociągu do St. Petersburga. - Głupio to zabrzmiało, ale zakochałam się.

- Mmm - mruknąłem, przekładając słuchawkę z powrotem do lewej ręki. Słyszałem odgłos jej oddechu. Nie miałem pojęcia, jak powinienem zareagować. Jak zwykle, kiedy nie wiem, co powiedzieć, rzuciłem absurdalną uwagę: - Ale chyba nie we mnie?

- Nie, nie w tobie - odparła Sumire. Usłyszałem trzask tanej zapalniczki. - Jesteś dzisiaj wolny? Chciałabym dłużej pogadać.

- O tym, że się zakochałaś w kimś innym?

- Zgadza się. O tym, że się namiętnie zakochałam w kimś innym.

Wcisnąłem słuchawkę między ramię a głowę i się przeciągnąłem.

- Wieczorem jestem wolny.

- Wpadnę o piątej - powiedziała Sumire. Po czym dodała, jakby po namyśle: - Dziękuję.

- Za co?

- Za to, że byłeś tak miły i w środku nocy odpowiedziałeś na moje pytanie.

Dałem jakąś niejasną odpowiedź, odłożyłem słuchawkę i zgasilem światło. Nadal panowały całkowite ciemności. Tuż przed zaśnięciem pomyślałem o jej „dziękuję” na koniec i zastanowiłem się, czy kiedykolwiek przedtem usłyszałem od niej podobne słowa. Może raz, ale nie mogłem sobie tego przypomnieć.

Sumire przysłała nieco przed piątą. Nie poznałem jej. Całkowicie zmieniła swój styl. Miała modnie obcięte włosy, grzywka jeszcze nosiła ślady cięcia nożyczkami. Była ubrana w lekki kardigan, granatową sukienkę z krótkimi rękawami i czarne lakierki na średnim obcasie. Włożyła nawet pończochy. Pończochy? Damskie stroje nie należały do moich mocnych stron, lecz było jasne, że musiała nań wydać sporo pieniędzy. Tak ubrana wyglądała elegancko i ślicznie. Prawdę mówiąc, całkiem stosownie. Ja jednak wolałem starą, zbuntowaną Sumire. Co się komu podoba.

- Nieźle - powiedziałem, obrzucając ją przelotnym spojrzeniem. - Ale ciekawe, co by powiedział stary dobry Jack Kerouac.

Sumire uśmiechnęła się leciutko, z większym wyrafinowaniem niż zwykle.

- Może pójdziemy na spacer?

Poszliśmy wolnym krokiem bulwarem Uniwersyteckim w stronę dworca i zatrzymaliśmy się w naszej ulubionej kawiarence. Sumire jak zwykle zamówiła kawałek ciasta i kawę. Był pogodny niedzielny wieczór pod koniec kwietnia. Kwaciarnie były pełne krokusów i tulipanów. Wiał delikatny wietrzyk, lekko szeleszcząc rąbkami spódnic dziewcząt i niosąc ze sobą leniwy zapach młodych drzewek. Splotłem ręce za głowę i przyglądałem się Sumire, która powoli, lecz z zapałem pożerała swoje ciasto. Z małych głośników na suficie kafejki płynął głos Astrud Gilberto śpiewającej starą bossa novę. „Zabierz mnie do

Aruanda" - śpiewała. Zamknąłem oczy i szczerkanie filiżanek i spodeczków zaczęło brzmieć jak ryk odległego morza. Aruanda - ciekawe, jak tam jest?

- Nadal śpiący?
- Już nie - odparłem, otwierając oczy.
- Dobrze się czujesz?
- Dobrze. Jak Wełtawa na wiosnę.

Sumire przez chwilę spoglądała na pusty talerz, na którym przedtem leżało ciasto. Potem przeniosła wzrok na mnie.

- Nie dziwisz się, że włożyłam takie ciuchy?
- Chyba tak.
- Nie kupiłam ich. Nie mam tyle pieniędzy. Kryje się za tym pewna historia.
- Mogę ją odgadnąć?
- Spróbuj - powiedziała.
- Stałaś sobie w zwykłych ciuchach w stylu Jacka Kerouaca, z papierosem wiszącym w kąciku ust, i myłaś ręce w publicznej toalecie, kiedy bez tchu wbiegła kobieta, wzrostu metr pięćdziesiąt pięć, ubrana jak spod igielki, i powiedziała: „Błagam, musisz mi pomóc! Nie mam czasu na wyjaśnienia, ale gonią mnie straszni ludzie. Czy możemy się zamienić ubraniami? Jeżeli się przebiorę, to może ich zgubię. Dzięki Bogu nosimy ten sam rozmiar". Jak w filmie akcji z Hongkongu.

Sumire się roześmiała.

- I tak się złożyło, że nosiła buty w rozmiarze sześć i pół i sukienkę siódemkę. Zupełnie przez przypadek.

- I wtedy oddałaś jej swoje ubranie, zostawiając sobie tylko majtki z Myszka Miki.
- To skarpetki mam z Myszka Miki, a nie majtki.
- Wszystko jedno.
- Hmm - Sumire się zadumała. - Właściwie to niewiele się mylisz.

- Jak bardzo niewiele?

Sumire wychyliła się do przodu.

- To długa historia. Chciałbyś ją usłyszeć?
- Mam niejasne uczucie, że skoro już przysłałaś taki kawał drogi, żeby mi ją opowiedzieć, to chyba jest bez znaczenia, czy chcę, czy nie. Zaczynaj. Dodaj wstęp, jeśli masz ochotę. I *Taniec błogosławionych duchów*. Nie mam nic przeciwko temu.

Zaczęła opowiadać. O weselu kuzynki i o lunchu z Miu w Aoyama. I rzeczywiście, to była długa historia.

Dzień po ślubie, poniedziałek, był deszczowy. Zaczęło padać tuż po północy i siało bez przerwy aż do świtu. Był to miękki, lekki deszczyk, który zabarwił na ciemno wiosenną ziemię i wprowadził poruszenie wśród niezliczonych stworzonek w niej żyjących.

Myśl o spotkaniu z Miu przeszywała Sumire dreszczem. Dziewczyna nie mogła się na niczym skupić. Miała

takie wrażenie, jakby stała samotnie na szczycie wzgórza, smagana wiatrem. Jak zwykle zasiadła za biurkiem, zapaliła papierosa i włączyła edytor tekstu, lecz choć wbijała wzrok w ekran, nie przychodziło jej do głowy ani jedno zdanie. Nigdy wcześniej jej się to nie zdarzyło. Wreszcie się poddała, wyłączyła komputer, położyła się w swym maleńkim pokoiku i z niezapalonym papierosem zwisającym z kącika ust pogрузzyła się w jałowych rozmyślaniach.

Jeśli już na samą myśl o Miu tak się denerwuję, dumala, to jak bardzo bym cierpiała, gdybyśmy pożegnały się na weselu i już nigdy nie spotkały? Czy po prostu tęsknię za tym, by być taka jak ona - piękna, wyrafinowana kobieta w średnim wieku? Nie, doszła do wniosku, to niemożliwe. Kiedy jestem koło niej, chcę jej dotykać. To się nieco różni od tęsknoty.

Sumire westchnęła, przez jakiś czas gapila się w sufit, na koniec zapaliła papierosa. Właściwie, to dość dziwne, zastanowiła się. Zakochałam się po raz pierwszy w życiu, mając dwadzieścia dwa lata. I tak się złożyło, że tą osobą jest kobieta.

Restauracja, w której Miu zarezerwowała stolik, znajdowała się dziesięć minut drogi pieszo od stacji metra Omote Sando. Był to ten rodzaj restauracji, którą trudno znaleźć, udając się tam po raz pierwszy, i z pewnością nie należała do miejsc, dokąd można ot tak sobie wpaść, żeby coś przekąsić. Nawet jej nazwę trudno było zapa-

miętać, jeżeli nie usłyszało się jej kilka razy. Przy wejściu Surnire podała nazwisko Miu i została zaprowadzona do małego, prywatnego saloniku na pierwszym piętrze. Miu już tam była. Sączyła wodę Perrier z lodem, rozmawiając z kelnerem na temat menu.

Na granatowej koszulce polo Miu miała bawełniany sweter w tym samym kolorze, z wpiętą weń prostą, cienką, srebrną szpilką. Włożyła białe, dopasowane dżinsy. W rogu stołu leżały jaskrawoniebieskie okulary przeciwsłoneczne, na krześle obok niej spoczywała rakieta do squasha i sportowa torba od Missoniego. Wyglądało na to, że Miu wracała do domu po paru południowych meczach. Miała jeszcze zaróżowione policzki. Sumire wyobraziła ją sobie pod prysznicem na siłowni, szorującą ciało mydłem o egzotycznym zapachu.

Kiedy Sumire weszła do saloniku, ubrana w swój zwykły płaszcz w jodełkę i spodnie khaki, z włosami potarganymi jak u sierotki, Miu podniosła wzrok znad menu i obdarzyła ją olśniewającym uśmiechem.

- Mówiłaś, że nie jesteś wybredna w jedzeniu, prawda? Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, żebym to ja złożyła zamówienie.

- Oczywiście, że nie - odparła Sumire.

Miu zamówiła to samo dla nich obu. Na przystawkę wzięły lekką rybę z grilla z odrobiną zielonego sosu z grzybami. Kawałki ryby były idealnie upieczone - przyrumienione w niemalże artystyczny sposób, w sam raz.

Posiłek wieńczyły kluseczki z dyni i delikatna sałatka z endywii. Na deser podano creme brulee, który zjadła tylko Sumire. Miu nawet nie tknęła swojego. Na koniec wypili espresso. Sumire zauważyła, że Miu zwraca wielką uwagę na to, co je. Jej szyja była cienka jak łądyżka, a na sobie nie miała nawet grama tłuszczu. Najwyraźniej nie musiała się odchudzać, lecz mimo to z wielką rozważą dobierała potrawy. Niczym Spartanin zaszyty w górskiej fortecy.

Podczas jedzenia gawędziły o błahostkach. Miu chciała się dowiedzieć czegoś więcej o przeszłości Sumire, która przystała na to, odpowiadając na pytania tak szczerze, jak tylko mogła. Opowiedziała Miu o swoim ojcu, o matce, o szkole, do której chodziła (i której serdecznie nienawidziła), o nagrodach, które wygrała w konkursie na wypracowanie - rowerze i komplecie encyklopedii - o tym, jak rzuciła college i w jaki sposób teraz spędza dni. Nieszczerólnie ciekawe życie. Mimo wszystko Miu słuchała, oczarowana, jak gdyby opowiadano jej o fascynujących obyczajach z odległej krainy.

Sumire również chciała dowiedzieć się czegoś więcej na temat Miu, ta jednak niechętnie mówiła o sobie. „To nieważne - wykręcała się z promiennym uśmiechem. - Wolalabym posłuchać o tobie”.

Zanim skończyły jeść, Sumire wciąż wiedziała niewiele więcej. Odkryła chyba tylko jedno: ojciec Miu darował znaczną sumę małemu miasteczku w północnej części Korei, gdzie się urodził, i zbudował jego mieszkańcom

kilka budynków publicznych, za co w podzięcie wzniesli na miejskim rynku jego pomnik z brązu.

- To mała miejscina wysoko w górach - wyjaśniła Miu. - Panują tam srogie zimy, a na sam widok tego miejsca człowieka aż dreszcz przechodzi. Góry tam są skaliste i czerwone, porośnięte przygiętymi do ziemi drzewami. Raz, gdy byłam jeszcze mała, ojciec mnie tam zabrał. Na odsłonięcie pomnika. Zeszli się wszyscy krewni, płakali i ściskali mnie. Nie rozumiałam ani słowa z tego, co mówili. Pamiętam, że czułam strach. Dla mnie było to miasteczko w obcym kraju, którego nigdy wcześniej nie widziałam na oczy.

- Jak wyglądał ten pomnik? - spytała Sumire. Nigdy nie знаła nikogo, na czyją cześć wzniesiono pomnik.

- Zwyczajnie. Jest taki, jakich wiele. Ale to dziwne uczucie, kiedy twojemu własnemu ojcu stawiają pomnik. Wyobraź sobie, gdyby przed stacją Chigasaki postawiono pomnik twojego ojca. Czułabyś się dość dziwnie, prawda? W rzeczywistości mój ojciec był dość niski, lecz jego postać na pomniku wyglądała potężnie. Miałam wtedy zaledwie pięć lat, ale uderzyło mnie, że to, co się widzi, nie zawsze odpowiada prawdzie.

Gdyby wzniesiono pomnik mojego ojca, zadumała się Sumire, okazałby się bardzo dla niego niepoehlebny. Ponieważ w rzeczywistości jej ojciec był nieco zbyt przystojny.

- Chciałabym wrócić do tego, o czym rozmawialiśmy wczoraj - powiedziała Miu, kiedy zaczęły drugą filiżankę espresso. - To jak, chciałabyś u mnie pracować? Sumire marzyła o papierosie, lecz na stoliku nie było popielniczki. Zadowolili się więc łykiem schłodzonego perriera.

- A dokładnie jaka to miałyby być praca? - spytała wprost. - Bo tak, jak powiedziałam wczoraj, poza prostymi zajęciami fizycznymi nigdy nie wykonywałam czegoś, co się nazywa normalną pracą. Poza tym nie mam odpowiednich ubrań. Te, które włożyłam na wesele, były pożyczone. Miu pokiwała głową z niezmiennym wyrazem twarzy. Z pewnością spodziewała się podobnej odpowiedzi.

- Myślę, że dość dobrze rozumiem, jakim jesteś człowiekiem - powiedziała - a praca, którą mam na myśli, nie powinna ci sprawić żadnych problemów. Jestem pewna, że ze wszystkim sobie poradzisz. Tak naprawdę ważne jest to, czy chcesz u mnie pracować. Podejdź do tego w ten sposób, po prostu tak lub nie.

- Naprawdę bardzo się cieszę, że tak mówisz, ale w tej chwili najważniejsze jest dla mnie pisanie powieści - odparła Sumire, starannie dobierając słowa. - W końcu po to rzuciłam college.

Miu spojrzała ponad stołem prosto na Sumire. Sumire poczuła na sobie to uważne spojrzenie, poczuła też, że twarz oblał jej gorący rumieniec.

- Czy mogę powiedzieć wprost, co mam na myśli?

- spytała Miu.

- Oczywiście. Mów.
- Może ci się zrobić przykro.

By pokazać, że sobie z tym poradzi, Sumire zacisnęła usta i spojrzała Miu prosto w oczy.

- Myślę, że na tym etapie życia nie napiszesz nic wartościowego, choćbyś poświęciła swoim powieściom mnóstwo czasu - powiedziała Miu spokojnie, bez wahania. - Masz talent. Jestem pewna, że kiedyś zostaniesz nadzwyczajną pisarką. Nie mówię tego ot, tak sobie, gorąco w to wierzę. Masz wrodzone zdolności. Ale twój czas jeszcze nie nadszedł. Moc, jakiej potrzebujesz, by otworzyć te drzwi, jeszcze się nie pojawiła. Nigdy tego nie czułaś?

- Czas i doświadczenie - powiedziała Sumire, podsumowując jej słowa.

Miu się uśmiechnęła.

- Tak czy siak, zacznij u mnie pracować. To najlepsza decyzja, jaką możesz podjąć. A kiedy poczujesz, że nadeszła odpowiednia pora, bez wahania rzuć wszystko i pisz do woli. Po prostu potrzebujesz więcej czasu niż przeciętny człowiek, by osiągnąć ten etap. Tak więc nawet jeżeli do dwudziestego ósmego roku życia nie zrezygnujesz z pisania, a rodzice odetną ci fundusze i zostaniesz bez grosza, to co z tego? Trochę pogłódujesz, ale to może być dobre doświadczenie dla ciebie jako pisarza.

Sumire otworzyła usta, chcąc odpowiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk, więc tylko pokiwała głową.

Miu wyciągnęła prawą rękę w stronę środka stołu.

- Pokaż mi dłoń - powiedziała.

Sumire podała jej prawą rękę, którą Miu gwałtownie chwyciła. Jej dłoń była ciepła i gładka.

- Nie masz się o co martwić. Nie rób takiej ponurej miny. Na pewno się dogadamy.

Sumire przełknęła ślinę i jakoś udało jej się rozluźnić.

Kiedy Miu patrzyła na nią w ten sposób, Sumire miała wrażenie, że powoli topnieje. Może zniknąć całkowicie jak bryła lodu zostawiona na słońcu.

- Chciałabym, żebyś od przyszłego tygodnia przychodziła do mojego biura trzy razy w tygodniu. W poniedziałki, środy i piątki. Możesz zaczynać o dziesiątej i kończyć o czwartej. W ten sposób ominiesz godziny szczytu. Nie mogę ci płacić zbyt wiele, ale praca jest łatwa i możesz czytać, kiedy nie będzie nic do roboty. Pod jednym warunkiem - dwa razy w tygodniu masz chodzić na prywatne lekcje włoskiego. Znasz już hiszpański, więc nie powinno ci to sprawiać trudności. I chciałabym, żebyś wolne chwile poświęciła na konwersacje po angielsku i prowadzenie samochodu. Jak myślisz, dasz radę?

- Chyba tak - odparła Sumire. Jej głos brzmiał tak, jakby należał do kogoś innego i dobiegał z drugiego pokoju. Nieważne, o co mnie prosi, nieważne, co mi każe, mogę tylko się zgodzić - uświadomiła sobie.

Miu nie spuszczała wzroku z Sumire i nadal trzymała ją za rękę. Sumire wyraźnie widziała własną postać odbijającą się głęboko w ciemnych oczach Miu. Miała wra-

„]
' i
\
' '•
j
\\
I
"" , <
;

żenie, jakby jej dusza była wsysana na drugą stronę lustra. Bardzo podobała jej się ta wizja i jednocześnie ją przerażała.

Miu uśmiechnęła się, w kąciakach jej oczu pojawiły się urocze zmarszczki.

- Chodźmy do mnie. Chciałabym ci coś pokazać.

Kiedy podczas letnich wakacji na pierwszym roku college'u pojechałem w samotną podróż w nieznaną po regionie Hokuriku, poznałem kobietę osiem lat starszą ode mnie, która również podróżowała w pojedynkę, i spędziliśmy razem jedną noc. W tym czasie wydarzenie to wydało mi się jak wyjęte wprost z początku powieści Soseki *Sanshiro*.

Kobieta ta pracowała w dziale wymiany zagranicznej banku w Tokio. Za każdym razem, kiedy tylko miała trochę wolnego czasu, łąpała parę książek i wyruszała w drogę. „Podróżowanie w pojedynkę jest o wiele mniej męczące” - wyjaśniła. Miała pewien urok, co sprawiało, że nie mogłem zrozumieć, dlaczego obdarzyła zainteresowaniem kogoś takiego jak ja - spokojnego, chudego osiemnastolatka z college'u. A jednak, gdy tak siedziała naprzeciw mnie w pociągu, najwyraźniej bardzo ją bawiły nasze niewinne przekomarzania. Śmiała się dużo i głośno. A ja - co u mnie niespotykane - trąkotałem jak najęty.

Tak się złożyło, że wysiadaliśmy na tej samej stacji, w Kanazawa.

- Masz się gdzie zatrzymać? - spytała mnie.
- Nie - odparłem.

Jeszcze nigdy w życiu nie zarezerwowałem pokoju w hotelu. Powiedziała, że ona ma rezerwację. Mogę u niej przenocować, jeśli chcę.

- Nie przejmuj się - ciągnęła. - Cena jest taka sama za dwie osoby, jak za jedną.

Kiedy się kochaliśmy po raz pierwszy, byłem zdenerwowany, więc zachowywałem się dość nieporadnie. Przeprosiłem ją.

- Cóż za grzeczność! - powiedziała. - Nie ma potrzeby przeproszać za byle drobiazg.

Wzięła prysznic, zarzuciła na siebie szlafrok, wyjęła z lodówki dwa zimne piwa i podała mi jedno.

- Dobrze prowadzisz? - spytała.
- Niedawno zrobiłem prawo jazdy, więc chyba nie. Przeciętnie.

- Ja tak samo. - Uśmiechnęła się. - Ja sama uważam, że jestem niezłym kierowcą, ale moi znajomi się z tym nie zgadzają. Tak więc chyba jestem przeciętna. Na pewno znasz parę osób, które świetnie prowadzą?

- Tak, chyba tak.
- I takich, którzy nie są zbyt dobrzy.

Kiwnąłem głową. Cicho upiła łyk piwa i zadumała się.

- Tego typu umiejętności są do pewnego stopnia wrodzone. Można to nazwać talentem. Niektórzy są

zręczni, inni mają dwie lewe ręce... Jedni potrafią się skoncentrować, a inni nie. Prawda?

Znowu kiwnąłem głową.

- Dobrze, a teraz się zastanów. Powiedzmy, że jedziesz z kimś w długą podróż samochodem. I prowadzicie na zmianę. Jaką osobę byś wybrał? Dobrego, ale nieuważnego kierowcę czy osobę uważną, ale nieumiejącą zbyt dobrze prowadzić?

- Chyba tę drugą - powiedziałem.

- Ja też. Ta sytuacja jest bardzo podobna. Dobry czy zły, zręczny czy niezręczny - to nieważne. Ważne, by umieć się skoncentrować. Zachować spokój, być wyczulonym na to, co się dzieje dookoła.

- Być wyczulonym? - spytałem.

Ona tylko się uśmiechnęła i nic nie powiedziała.

Chwilę później kochaliśmy się po raz drugi i tym razem wszystko poszło gładko i jak trzeba. „Być wyczulonym” - chyba zaczynałem to rozumieć. Po raz pierwszy widziałem, jak kobieta reaguje w porywach namiętności.

Następnego dnia rano po śniadaniu każde z nas poszło swoją drogą. Ona podjęła swoją podróż, a ja swoją. Po wyjściu powiedziała mi, że za dwa miesiące wychodzi za mąż za kolegę z pracy.

- To bardzo miły facet - mówiła wesoło. - Chodzimy ze sobą od pięciu lat i w końcu postanowiliśmy zalegalizować nasz związek. Co oznacza, że pewnie już nie będę podróżować samotnie. To ostatnia taka podróż.

Byłem jeszcze młody, przekonany, że takie podniecające rzeczy zdarzają się bardzo często. Dopiero dużo później uświadomiłem sobie, jak bardzo się myliłem. Opowiedziałem tę historię Sumire dawno temu. Nie pamiętam, jak do tego doszło. Może stało się to wtedy, gdy rozmawialiśmy o pożądaniu.

- Jaka jest więc pointa twojej opowieści? - spytała mnie Sumire.

- Chodzi o to, że należy być wyczulonym - odparłem.

- Nie uprzedzać się do niczego, słuchać, co się dzieje, mieć uszy, serce i umysł otwarte.

- Hmm - mruknęła Sumire. Najwyraźniej rozpamiętywała mój mały romansik i pewnie się zastanawiała, w jaki sposób może go wykorzystać w jednej ze swych powieści.

- W każdym razie pewnie masz duże doświadczenie, co?

- Nie powiedziałbym, że duże - zaprostestowałem łagodnie. - Takie rzeczy się zdarzają.

Obgryzała lekko paznokieć, zatopiona w rozmyślaniach.

- Ale jak ma się być wyczulonym? Pojawia się krytyczny moment, mówisz sobie „Okay, teraz będę wyczulony i zacznę słuchać uważnie”, ale tego nie da się zrobić ot, tak sobie, prawda? Możesz się wyrażać bardziej konkretnie? Podać jakiś przykład?

- No, najpierw musisz się rozluźnić. Powiedzmy... licząc.

- Co jeszcze?

- Wyobraź sobie ogórka w lodówce w letnie popołudnie. To tylko taki przykład.
- Chwileczkę - powiedziała, po czym zrobiła znaczącą pauzę. - Chcesz powiedzieć, że kiedy uprawiasz seks z dziewczyną, wyobrazasz sobie ogórki w lodówce w letnie popołudnie?
- Nie zawsze.
- Ale czasami.
- Chyba tak.

Sumire zmarszczyła brwi i kilka razy pokręciła głową.

- Jesteś o wiele dziwniejszy, niżby się wydawało.
- Każdy ma jakieś dziwactwo - powiedziałem.
- W restauracji, gdy Miu trzymała mnie za rękę i zagłębiała się w oczy, wyobraziłam sobie ogórki
- powiedziała Sumire. - Muszę zachować spokój i słuchać uważnie, tak sobie nakazałam.
- Ogórki?
- Nie pamiętasz, co mi powiedziałeś: o ogórkach w lodówce w letnie popołudnie?
- A, tak, rzeczywiście - przypomniałem sobie. - I co, pomogło?
- Trochę - powiedziała Sumire.
- Bardzo się cieszę - odparłem.

Sumire z powrotem skierowała rozmowę na właściwą tory.

- Mieszkanie Miu znajduje się dosłownie parę kroków od restauracji. Jest niezbyt duże, ale śliczne. Słoneczna

weranda, rośliny doniczkowe, włoska skórzana kanapa, głośniki Bose, komplet sztychów, jaguar na parkingu. Mieszka tam sama. Razem z mężem mają dom gdzieś w Setagaya. Jeździ tam w weekendy. Większość czasu spędza w apartamencie w Aoyama. Jak myślisz, co mi pokazała?

- Szklaną kasetkę z ulubionymi sandałami Marka Bolana¹, zrobionymi z wężowej skóry - rzuciłem. - Jeden z tych nieocenionych skarbów, bez których nie da się opowiedzieć historii rock and rolla. Nie brakuje ani jednej łuski, a na podbiciu znajduje się jego autograf. Fani oszaleją.

Sumire zmarszczyła brwi i westchnęła.

- Jeżeli wynajdą samochód napędzany na głupie dowcipy, to daleko zajdziesz.

- Złóż to na karb osłabionego intelektu - powiedziałem pokornie.

- Okay, żarty na bok. Chciałabym, żebyś się poważnie nad tym zastanowił. Jak myślisz, co mi tam pokazała? Jeśli podasz właściwą odpowiedź, ureguluję rachunek. Odchrząknąłem.

- Pokazała ci te wspaniałe ciuchy, które teraz masz na sobie. I kazała ci chodzić w nich do pracy.

- Wygrałeś - powiedziała. - Zna pewną bogatą kobietę, która ma na zbyciu mnóstwo ciuchów i nosi mniej więcej taki sam rozmiar jak ja. Czyż życie nie jest dziwne? Są ludzie, którzy mają tyle zbędnych ubrań, że

¹ Marc Bolan - wokalista glamrockowego zespołu T.Rex (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

nie mogą ich upchnąć w szafie. I są ludzie tacy jak ja, którzy nigdy nie mogą znaleźć skarpetek do pary. W każdym razie nie narzekam. Poszła do tej znajomej i wróciła z całym naręczem tych „resztek”. Jeśli się dobrze przyjrzeć, to są odrobinę niemodne, ale większość ludzi niczego by nie zauważyła.

Odparłem, że ja bym nic nie zauważył, choćbym się wpatrywał nie wiadomo jak długo.

Sumire uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Pasują na mnie jak ulał. Sukienki, bluzki, spódnice - wszystko. Muszę je trochę zebrać w talii, ale jak włożę pasek, to nic nie będzie widać. Na szczęście mam prawie taki sam rozmiar buta jak Miu, więc dała mi kilka par, których nie nosi. Szpilki, na płaskim obcasie, letnie sandały. Wszystkie z włoskimi nazwami. I torebki. I trochę kosmetyków.

- Prawdziwa Jane Eyre - powiedziałem.

W ten sposób Sumire zaczęła pracować trzy razy w tygodniu w biurze Miu. W żakiecie i sukience, na wysokich obcasach, lekko umalowana, jeździła porannym pociągiem z Kichijoji do Harajuku. Jakoś nie mogłem sobie tego wyobrazić.

Poza biurem firmy w Akasaka Miu dysponowała własnym małym biurem w Jingumae. Miała tam biurko i asystentkę (czyli Sumire), regał na dokumenty, faks, telefon i laptopa PowerBook. To wszystko. Biuro mieściło się w jednym pokoju w apartamentowcu; miało łazienkę

i pomieszczenie zaadaptowane na kuchnię. Znajdował się tam też odtwarzacz płyt kompaktowych, minigłośniki i kilkanaście płyt z muzyką poważną. Pokój położony był na trzecim piętrze, z okna wychodzącego na wschód roztaczał się widok na mały park. Pierwsze piętro budynku zajmował salon wystawowy z meblami z północnej Europy. Gmach stał z dala od głównej drogi, przez co hałas ruchu ulicznego był zredukowany do minimum. Zaraz po przyjsciu do biura Sumire miała podlać rośliny i nastawić ekspres do kawy. Sprawdzala wiadomości na automatycznej sekretarce i e-maile na laptopie. Następnie je drukowała i kładła na biurku Miu. Większość pochodziła od zagranicznych agentów i była napisana po angielsku lub francusku. Sumire otwierała zwykłą korespondencję i wyrzucała do kosza wszystkie reklamówki. Codziennie odbierała kilka telefonów, niektóre z zagranicy. Zapisywała nazwisko dzwoniącego, numer telefonu i wiadomość, po czym przekazywała je Miu, dzwoniąc pod numer jej telefonu komórkowego. Miu pojawiała się około drugiej lub pierwszej po południu. Zostawiała mniej więcej godzinę, dawała Sumire różne instrukcje, wypijała kawę i dzwoniła do paru osób. Dyktowała listy wymagające odpowiedzi, które Sumire pisała na komputerze i wysyłała pocztą zwykłą lub faksem. Zwykle były to krótkie listy biznesowe. Sumire również rezerwowała dla Miu wizyty u fryzjera, stolik w restauracji i czas na korcie squashu. Po pracy Miu i Sumire gawędziły chwilę, po czym Miu wychodziła.

Tak więc Sumire często przebywała w biurze sama, całymi godzinami nie odzywając się do nikogo, nigdy jednak nie czuła się znudzona czy osamotniona. Odrabiała pracę domową z włoskiego, na który chodziła dwa razy w tygodniu, uczyła się na pamięć czasowników nieregularnych, sprawdzała swoją wymowę, korzystając z magnetofonu. Wzięła kilka lekcji z obsługi komputera i doszła do etapu, na którym umiała sobie poradzić z większością prostych problemów. Otwierała pliki na twardym dysku i zapoznawała się z ogólnymi zarysami projektów Miu. Jej praca wyglądała tak, jak ją Miu opisała na weselu. Zawierała kontrakty z niewielkimi producentami wina, głównie we Francji, i sprzedawała je hurtem restauracjom i winiarniom w Tokio. Niekiedy organizowała dla muzyków trasy koncertowe po Japonii. Agenci z dużych firm byli odpowiedzialni za stronę finansową przedsięwzięcia, a Miu zajmowała się planowaniem i organizacją. Jej specjalnością stało się wyszukiwanie nieznanymi, młodymi, obiecujących wykonawców i sprowadzanie ich do Japonii. Jakie zyski czerpała Miu ze swojej prywatnej firmy, tego Sumire nie mogła się dowiedzieć. Księgowość prowadzono na osobnych dyskach i bez hasła nie było do niej dostępu. Tak czy siak, Sumire przeżywała euforię, z rozkosznym drżeniem serca wyczekiwała każdego spotkania i rozmowy z Miu. To biurko, przy którym siedzi Miu, myślała. To długopis, którym pisze, kubek, z którego pije kawę. Choć jej zajęcie było dość trywialne, Sumire starała się, jak tylko mogła.

Co jakiś czas Miu zapraszała Sumire na obiad. Ponieważ prowadziła interesy związane z winem, uważała za konieczne regularne odwiedzanie najpopularniejszych restauracji, by być na bieżąco z najnowszymi trendami. Miu zawsze zamawiała lekkie danie rybne lub niekiedy kurczaka, choć zawsze zostawiała połowę i przechodziła do deseru. Zagłębiała się w najdrobniejsze szczegóły listy win, zanim wybrała butelkę, lecz nigdy nie wypijała więcej niż jeden kieliszek. „Nie krepuj się, pij, ile chcesz” - mówiła, choć Sumire żadnym sposobem nie dałaby rady dokończyć butelki. Tak więc zawsze zostawało im pół butelki drogiego wina, ale Miu to wcale nie przeszkadzało.

- To straszne marnotrawstwo zamawiać całą butelkę wina tylko dla nas dwu - powiedziała kiedyś Sumire.

- Ledwo wypijamy połowę.

- Nie przejmuj się. - Miu się roześmiała. - Im więcej zostawimy, tym więcej osób w restauracji będzie mogło go skosztować. Od kelnera serwującego wino, poprzez szefa sali aż po kelnera, który nalewa wody do szklanek. W ten sposób wiele osób wyrobi w sobie upodobanie do dobrych trunków. I dlatego zostawianie drogiego wina nigdy nie jest marnotrawstwem.

Miu przyjrzała się barwie medoca rocznik 1986, po czym, jak gdyby smakowała kawałek dobrej prozy, ostrożnie upiła łyk.

- Tak samo jest ze wszystkim innym - musisz się uczyć na własnej skórze, płacić z własnej kieszeni. Z książki się tego nie dowiesz.

Idąc śladem Miu, Sumire wzięła swój kieliszek i bardzo ostrożnie upiła łyk, pottrzymała go w ustach i połknęła. Przez chwilę pozostał przyjemny posmak, lecz zniknął po paru sekundach niczym poranna rosa na letnim liściu.

To zaś przygotowało podniebienie na następny kęs jedzenia. Za każdym razem, kiedy jadła i rozmawiała z Miu, Sumire uczyła się czegoś nowego. Była oszołomiona ogromną liczbą rzeczy, które jeszcze musiała poznać.

- Wiesz, nigdy nie wydawało mi się, że chciałabym być kimś innym - wypaliła raz, być może rozochociona większą niż zwykle ilością wypitego wina. - Ale czasami myślę sobie, jak by to było miło być takim człowiekiem jak ty.

Miu na chwilę wstrzymała oddech. Potem wzięła swój kieliszek i upiła łyk wina. Przez sekundę światło zabarwiło jej oczy karmazynową czerwienią wina. Twarz utraciła swój zwykły wyraz.

- Jestem pewna, że o tym nie wiesz - powiedziała spokojnie, odstawiając kieliszek na stół. - Ta, którą tutaj widzisz, nie jest prawdziwą mną. Czternaście lat temu została ze mnie zaledwie połowa tej Miu, którą byłam przedtem. Żałuję, że cię nie poznałam, kiedy stanowiłam całość - byłoby cudownie. Ale teraz nie ma sensu się nad tym zastanawiać.

Sumire była tak wstrząśnięta, że odebrało jej mowę. I straciła szansę na zadanie oczywistego pytania. Co się przydarzyło Miu czternaście lat temu? Dlaczego została z niej połowa osoby, którą była przedtem? I co właściwie rozumie przez „połowę”? Ostatecznie to enigmatyczne

oświadczenie sprawiło, że Sumire jeszcze bardziej zadurzyła się w Miu. Co za niezwykła istota, myślała. Z fragmentów rozmów Sumire zdołała złożyć w jedną całość kilka faktów na temat Miu. Jej mąż, Japończyk, był pięć lat starszy od niej i biegle władał koreańskim, którego się nauczył podczas dwóch lat studiów na wydziale ekonomii uniwersytetu w Seulu, dokąd pojechał w ramach wymiany studenckiej. Był ciepłym człowiekiem, dobrym w swoim fachu, właściwie siłą napędową firmy Miu. Chociaż firma ta miała być w zamierzeniu przedsięwzięciem rodzinnym, nikt nigdy nie powiedział złego słowa pod jego adresem.

Miu od dzieciństwa zdradzała talent pianistyczny. Już jako nastolatka zdobyła kilka głównych nagród na konkursach dla młodzieży. Poszła do szkoły muzycznej, studiowała pod okiem słynnej pianistki i dzięki rekomendacji nauczycielki mogła studiować na akademii muzycznej we Francji. W repertuarze miała głównie późnych romantyków, Schumanna i Mendelssohna, a także Poulencę, Ravela, Bartoka i Prokofiewa. Jej gra łączyła intensywnie zmysłowe brzmienie z mistrzowską, nienaganną techniką. W czasach studenckich Miu zagrała kilka koncertów, wszystkie zostały dobrze przyjęte. Miała zapewnioną świetlaną przyszłość jako pianistka koncertowa. Jednak podczas jej pobytu za granicą rozchorował się ojciec; Miu zamknęła wieko fortepianu i wróciła do Japonii, by już nigdy więcej nie dotknąć klawiatury.

- Jak mogłaś z taką łatwością zrezygnować z fortepianu? - Sumire spytała z wahaniem. - Jeżeli nie chcesz o tym mówić, to nie szkodzi. Po prostu wydaje mi się to, sama nie wiem, nieco dziwne. Przecież musiałaś wiele poświęcić, żeby zostać pianistką, prawda?

- Nie poświęciłam wiele dla fortepianu - powiedziała cicho Miu. - Ja poświęciłam wszystko. Forte-pian żądał ode mnie każdego grama ciała, każdej kropli krwi, a ja nie mogłam odmówić. Ani razu.

- Nie było ci przykro, że musiałaś zrezygnować z gry na fortepianie? Byłaś o krok od zrobienia kariery. Miu badawczo spojrzała Sumire w oczy. Było to przenikliwe, nieruchome spojrzenie. Głęboko w oczach Miu, niczym w spokojnym stawie utworzonym w wartkim strumieniu, bezszelestnie walczyły ze sobą prądy. Jeden z nich stopniowo uciszył te zderzające się nurty.

- Przepraszam. To nie moja sprawa - powiedziała Sumire

- Nic nie szkodzi. Po prostu nie potrafię tego dobrze wytłumaczyć.

Już nigdy więcej o tym nie rozmawiały.

Miu nie pozwalała palić w swoim biurze i nie cierpiała, gdy ktoś palił w jej obecności, więc po rozpoczęciu pracy Sumire doszła do wniosku, że to dobra okazja do rzucenia nałogu. Ponieważ jednak do tej pory wypalała dwie paczki marlboro dziennie, nie poszło jej tak łatwo. Po miesiącu, niczym zwierzę, któremu ucięto puszysty ogon,

straciła panowanie nad własnymi emocjami - choć już przedtem nie było ono zbyt wielkie - i zaczęła do mnie dzwonić w środku nocy.

- Myślę tylko o tym, żeby sobie zapalić. Z trudnością zasypiam, a kiedy już usnę, śnią mi się koszmary. Mam zaparcia. Nie mogę czytać, nie mogę napisać choćby linijki.

- Wszyscy przez to przechodzą, kiedy próbują rzucić palenie. Przynajmniej na początku - powiedziałem.

- Łatwo ci wydawać opinie, dopóki dotyczą innych osób, nie? - warknęła Sumire. - Nigdy w życiu nie wypaliłeś ani jednego papierosa.

- Hej, gdyby nie można było wydawać opinii na temat innych osób, świat stałby się dość przerażającym miejscem, prawda? Jeśli tak nie uważasz, to pomyśl tylko, co zrobił Józef Stalin.

Na drugim końcu kabła Sumire milczała przez długi czas. Zapadła grobowa cisza.

- Halo? - powiedziałem.

- Ale szczerze mówiąc, nie sędzę, bym nie mogła pisać dlatego, że rzuciłam palenie - odezwała się w końcu.

- Może to jeden z powodów, ale nie jedyny. Rzucenie palenia to tylko wymówka. Wiesz: „Rzucam palenie i dlatego nie mogę pisać. I nic na to nie poradzę”.

- To dlatego jesteś taka zdenerwowana?

- Chyba tak. - Nagle złagodniała. - Nie chodzi tylko o to, że nie mogę pisać. Martwi mnie, że już nie mam

wiary w sam akt pisania. Przeczytałam to, co napisałam nie tak dawno temu, i wydaje mi się to nudne. Co ja sobie wtedy wyobrażałam? Zupełnie jakbym patrzyła na brudne skarpetki ciśnięte na podłogę. Czuję się okropnie, zmarnowałam tyle czasu i energii.

- A kiedy to sobie uświadomiłaś, zadzwoniłaś do kogoś o trzeciej w nocy i wyrwałaś go, oczywiście symbolicznie, z jego spokojnego semiotycznego snu.

- Powiedz mi, miałaś kiedyś wątpliwości dotyczące tego, co robisz, wydawało ci się, że dokonałeś złego wyboru?

- Częściej miewałem wątpliwości niż pewność - odparłem.

- Mówisz poważnie?

- Tak.

Sumire postukała paznokciami o przednie zęby, co zwykła robić, gdy była zamyślona.

- Ja rzadko przedtem miewałam takie wątpliwości.

Nie to, żebym zawsze była pewna siebie, przekonana o własnym talencie. Nie mam aż takiego tupetu. Wiem, że jestem chaotyczną, egoistyczną osobą. Ale nigdy przedtem nie miałam wątpliwości. Może i popełniałam błędy, ale zawsze czułam, że jestem na właściwej drodze.

- Miałaś szczęście. Jakby tuż po zasianiu ryżu nastąpiły długie opady deszczu.

- Może i masz rację.

- Ale w tej chwili nic ci nie wychodzi.

- Zgadza się. Nic mi nie wychodzi. Czasami boję się, że wszystko, co robiłam do tej pory, nie miało żadnego

sensu. Miewam bardzo realistyczne sny, gwałtownie budzę się w środku nocy i przez jakiś czas nie mogę rozróżnić, co jest rzeczywistością, a co nią nie jest... Coś w tym rodzaju. Rozumiesz, o czym mówię?

- Chyba tak - odparłem.
- Ostatnio często przychodzi mi do głowy, że być może skończyły się dla mnie czasy pisania powieści. Po ziemi chodzi mnóstwo głupich niewinnych dziewczyn, a ja jestem po prostu jedną z nich, nieśmiało gonę za marzeniami, które nigdy się nie spełnią. Powinnam zamknąć wieko fortepianu i zejść ze sceny. Zanim będzie za późno.
- Zamknąć wieko fortepianu?
- To tylko taka przenośnia.

Przełożyłem słuchawkę z lewej ręki do prawej.

- Mam pewność co do jednej rzeczy. Ty nie, ale ja mam. Kiedyś zostaniesz wspaniałą pisarką. Czytałem to, co napisałaś, i wiem,
- Naprawdę tak myślisz?
- Mówię to z głębi serca - powiedziałem. - Nie okłamywałbym cię w takiej sprawie. W tym, co do tej pory napisałaś, jest parę naprawdę niezwykłych scen. Powiedzmy, że pisałaś o brzegu morza w maju. Czytelnik miałby w uszach szum wiatru i poczuł smak słonego powietrza, a na rękach miękkie ciepło słońca. Gdybyś pisała o małym pokoiku pełnym dymu z papierosów, czytelnik z pewnością miałby kłopoty z oddychaniem i piekłyby go oczy. Taka proza jest poza zasięgiem większości pisarzy. Twoje pisarstwo przenika żywy po-

wiew czegoś naturalnego. Na razie jeszcze nie osiągnęłaś pełni, ale to nie oznacza, że nadeszła pora, by... zamknąć wieko fortepianu.

Sumire milczała przez dobre dziesięć, piętnaście sekund.

- Nie mówisz tego, żeby mnie pocieszyć, prawda?
- Nie. To niezaprzeczalny fakt, jasny i prosty.
- Jak Wełtawa?
- Właśnie tak. Jak Wełtawa.
- Dziękuję - powiedziała.
- Proszę bardzo - odparłem.
- Czasami jesteś przeuroczy. Jak Gwiazdka, letnie wakacje i malutki szczeniaczek - wszystko w jednym. Jak zawsze, gdy ktoś mnie chwali, wymamrotałem jakąś niewyraźną odpowiedź.
- Ale jedno mnie martwi - powiedziała Sumire.
- Kiedyś ożenisz się z jakąś miłą dziewczyną i zupełnie o mnie zapomnisz. I już nie będę mogła dzwonić do ciebie w środku nocy, kiedy tylko będę miała na to ochotę. Prawda?
- Zawsze możesz zadzwonić w ciągu dnia.
- Za dnia to nie to samo. Ty nic nie rozumiesz.
- Ty też nie - zaprotestowałem. - Większość ludzi pracuje w świetle dnia, w nocy gasi światło i idzie spać.
- Ale równie dobrze mógłbym deklamować sobie samemu sielankę na środku grządki dyń.
- Któregoś dnia przeczytałam w gazecie taki artykuł
- powiedziała Sumire, zupełnie nie zwracając uwagi na

moje słowa. - Było tam napisane, że lesbijki już się takie rodzą. W uchu środkowym znajduje się malutka kosteczka, zupełnie inna niż u pozostałych kobiet, która wszystko zmienia. Mała kostka o skomplikowanej nazwie. Tak więc skłonności lesbijskich się nie nabywa; są wrodzone. Odkrył to jakiś amerykański lekarz. Nie wiem, dlaczego robił takie badania, ale odkąd o tym przeczytałam, nie mogę zapomnieć o tej niesfornej kostce w uchu. Ciekawe, jaki kształt ma moja.

Nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Milczenie spadło na nas tak nagle, jak strumień świeżego oleju lejący się na ogromną patelnię.

- A więc jesteś pewna, że to, co czujesz do Miu, to pożądanie? - spytałem.

- Na sto procent - powiedziała Sumire. - Kiedy jestem z nią, ta kostka w moim uchu zaczyna dzwonić. Jak wiatr w delikatnej muszelce. Chcę, żeby Miu mnie tuliła, żeby wszystko poszło swoim torem. Jeśli to nie pożądanie, to w moich żyłach płynie chyba sok pomidorowy.

- Hmm - odparłem. Cóż mogłem na to powiedzieć?

- To wszystko tłumaczy. Dlaczego nie chcę uprawiać seksu z facetami. Dlaczego nic nie czuję. Dlaczego zawsze uważałam, że jestem inna niż cała reszta.

- Mogę dorzucić swoje trzy grosze?

- Okay.

- W każdym wyjaśnieniu lub logicznym rozwiązaniu, które z taką łatwością wszystko tłumaczy, kryje się pułapka. Mówię to z własnego doświadczenia. Ktoś

kiedyś powiedział, że jeśli coś można wytłumaczyć w prostej książce, to w ogóle nie warto tego wyjaśniać. Nie wyciągaj pochopnych wniosków.

- Zapamiętam to sobie - powiedziała Sumire. I rozmowa się urwała, cokolwiek raptownie.

Wyobraziłem sobie, jak odwiesza słuchawkę i wychodzi z budki telefonicznej. Na moim zegarze było wpół do czwartej. Poszedłem do kuchni, wypłem szklanę wody, zakopałem się z powrotem w pościeli i zamknąłem oczy. Sen jednak nie przychodził. Odciągnąłem zasłony i zobaczyłem księżyc dryfujący po niebie niczym błada, mądra sierotka. Wiedziałem, że już nie usnę. Zaparzyłem dzbanek kawy, przyciągnąłem krzesło do okna i usiadłem, żując ser i krakersy. Siedziałem tak, czytając i czekając na świt.

Czas, by powiedzieć parę słów o sobie.

Oczywiście jest to historia Sumire, nie moja, lecz opowieść o tym, kim jest Sumire i co zrobiła, widzicie moimi oczami, więc powinienem wyjaśnić parę rzeczy na temat narratora. Czyli mnie.

Trudno mi opowiadać o samym sobie. Zawsze staje mi na przeszkodzie odwieczny paradoks: „Kim jestem?”.

Oczywiście nikt nie ma na mój temat tylu danych, co ja sam. Ale kiedy mówię o sobie, wszelkiego rodzaju inne czynniki - wartości, wzorce, moje własne ograniczenia jako obserwatora - sprawiają, że jako narrator wybieram i eliminuję fakty mnie dotyczące, czyli narrację. Zawsze mnie męczy myśl, że nie maluję zbyt obiektywnego obrazu samego siebie.

Większość ludzi nie zawraca sobie głowy takimi problemami. Jeśli dać im szansę, ludzie są zaskakująco szczerzy, opowiadając o sobie. „Jestem uczciwy i wręcz absurdalnie otwarty” - mówią, albo: „Jestem wyjątkowo wrażliwy i trudno mi się odnaleźć w świecie”. Albo: „Doskonale wyczuwam prawdziwe emocje innych”. Lecz aż nadto często spotykam ludzi, którzy twierdząc, że są podatni na zranienie, bez żadnego wyraźnego powodu ranią innych. Samozwańczo uczciwi i otwarci ludzie, nie uświadamiając sobie tego, co robią, beztrąsco korzystają z wygodnych wymówek, by dostać to, czego chcą. A ci, którzy „doskonale wyczuwają prawdziwe emocje innych”, dają się omamić najbardziej oczywistym pochlebstwom. To wystarczy, bym zadał sobie pytanie: Do jakiego stopnia znamy samych siebie?

Im więcej o tym myślę, tym bardziej chciałbym przestać skupiać się na sobie. Wolałbym lepiej poznać obiektywną rzeczywistość, która istnieje poza mną. Jak dalece jest dla mnie ważny świat na zewnątrz, w jaki sposób zachowuję równowagę, by żyć z nim w zgodzie. W ten sposób uzyskałbym wyraźniejszy obraz osoby, jaką jestem.

Tego rodzaju myśli wiecznie kotłowały mi się w głowie, gdy byłem nastolatkiem. Tak jak murarz napina sznurek i kładzie jedną warstwę cegieł na drugą, tak ja budowałem sobie ten punkt widzenia - czy też, mówiąc górnolotnie, filozofię życia. W jego powstawaniu pewną rolę odgrywały logika i domysły, lecz w największej mierze oparty był na moich własnych doświadczeniach. A jeśli już mowa o doświadczeniu, to szereg bolesnych wydarzeń nauczył mnie, że przekazanie ludziom mojego stanowiska nie należy do najłatwiejszych zadań na świecie.

Skończyło się na tym, że we wczesnej młodości zacząłem kreślić niewidzialną granicę między sobą a innymi ludźmi. Nieważne, z kim miałem do czynienia, zawsze zachowywałem pewien dystans, starannie obserwując nastawienie ludzi, więc nie mogli się do mnie zbliżyć. Nie przyjmowałem zbyt łatwo tego, co mówili mi inni. Moją jedyną pasją były muzyka i książki. Jak się pewnie domyślicie, wiodłem życie samotnika.

Moja rodzina była zupełnie zwykła. Właściwie to tak całkowicie normalna, że nie wiem, od czego zacząć. Mój ojciec ukończył wydział nauk przyrodniczych na miejscowym uniwersytecie i pracował w laboratorium badawczym wielkiego zakładu produkcji spożywczej. Uwielbiał golfa i co niedziela chodził na pole golfowe. Moja matka miała bzika na punkcie poezji tanka i często bywała na wieczorkach poetyckich. Za każdym razem, kiedy jej

nazwisko pojawiało się w kąciaku literackim lokalnej gazety, przez wiele dni była wesolutka jak ptaszek. Lubiała sprzątać, ale nie cierpiała gotować. Moja siostra, pięć lat starsza ode mnie, nienawidziła zarówno sprzątanania, jak i gotowania. Tłumaczyła sobie, że są to rzeczy, które robią inni ludzie, nie ona. Co oznaczało, że odkąd stałem się na tyle duży, by przebywać sam w kuchni, samodzielnie przygotowywałem sobie posiłki. Kupiłem parę książek kucharskich i nauczyłem się przyrządzać niemal każdą potrawę. Nie znałem innego dziecka, które żyłoby w ten sposób.

Urodziłem się w Suginami, ale kiedy byłem jeszcze mały, przeprowadziliśmy się do Tsudanuma w prefekturze Chiba, i tam też się wychowałem. W okolicy mieszkało mnóstwo inteligentnych rodzin podobnych do naszej. Moja siostra zawsze była prymuską; nie zniosłaby niższego poziomu i nigdy nie zrobiła ani kroku poza sferę swych zainteresowań. Nigdy - ani razu - nie wyprowadziła psa na spacer. Skończyła prawo na uniwersytecie w Tokio, a rok później zrobiła aplikację, nie byle jaki wyczyn. Jej mąż jest przedsiębiorczym doradcą zarządu. Mieszkają w czteropokojowym apartamencie, który kupili w eleganckim budynku nieopodal parku Yoyogi. Jednak wewnątrz to istny chlew.

Stanowiłem przeciwieństwo swojej siostry, przykładalem niewielką wagę do nauki czy pozycji wśród kolegów. Nie chciałem martwić rodziców, więc starałem się przechodzić z klasy do klasy, wkładając jednak jak najmniej

wysiłku w uczenie się. Przez resztę czasu grałem w piłkę nożną, a po powrocie do domu rozwaliałem się na łóżku i czytałem jedną powieść za drugą. Żadnego wkuwania po lekcjach, żadnych korepetycji. Mimo to moje stopnie były nie najgorsze. Uważałem, że z takimi wynikami mogę się dostać do przyzwoitego college'u, nie zaharowując się na śmierć przed egzaminami wstępnymi. I tak się właśnie stało.

Zacząłem naukę w college'u i zamieszkałem sam w kawalerce. Jeszcze w domu w Tsudanuma rzadko szczerze rozmawiałem z rodziną. Mieszkaliśmy razem pod jednym dachem, ale rodzice i siostra byli dla mnie jak obcy ludzie, a ja się nie orientowałem, czego chcą od życia. Oni zaś rewanzowali mi się tym samym - nie mieli pojęcia, jakim jestem człowiekiem ani jakie mam aspiracje. Nie to, żebym sam wiedział, czego poszukuję w życiu - nie wiedziałem. Nieprzypadkiem uwielbiałem czytać powieści, ale nie pisałem na tyle dobrze, by zostać literatem. Odpadał też zawód wydawcy czy krytyka, w swych upodobaniach literackich popadałem bowiem w skrajności. Uważałem, że powieści powinno się czytać dla czystej przyjemności, a nie z zawodowego czy naukowego obowiązku. Dlatego też skończyłem historię, a nie literaturę. Historia niespecjalnie mnie interesowała, lecz kiedy zacząłem ją studiować, okazało się, że to fascynująca dziedzina. Nie planowałem iść na studia czy poświęcić życia historii, choć sugerował mi to mój nauczyciel.

Lubiłem czytać i rozmyślać, nie byłem jednak typem naukowca. Jak to ujął Puszkina:

*Nie miał Eugeniusz mój ochoty
Odkurzać historycznych dat.*^a

Wszystko to nie oznaczało, że zamierzałem znaleźć pracę w normalnej firmie, rozpychać się łokciami w krwiożerczej rywalizacji i kroczyć po kroczyku wspinać się po śliskiej ścianie kapitalistycznej piramidy.

Tak więc na zasadzie eliminacji wybrałem zawód nauczyciela. Moja szkoła znajduje się zaledwie parę stacji od domu. Tak się złożyło, że mój wuj pracuje w departamencie oświaty naszego miasta i kiedyś spytał mnie, czy chciałbym zostać nauczycielem. Nie skończyłem wymaganych kursów pedagogicznych, więc zatrudniono mnie jako asystenta, lecz po krótkim okresie praktyki nabyłem kwalifikacje normalnego nauczyciela. Nigdy nie zamierzałem pracować jako nauczyciel, gdy już jednak nim zostałem, odkryłem w sobie głębszy szacunek i przywiązanie do tej profesji, niż mógłbym sobie o to podejrzewać. Ściśle mówiąc, powinienem raczej stwierdzić, że odkryłem samego siebie.

Stawałem przed klasą, przekazywałem moim podopiecznym ze szkoły podstawowej najważniejsze informacje na temat języka, życia, świata i odkrywałem, że

^a Aleksander Puszkina, *Eugeniusz Omegin*, tłum Adam Wazyk, Zakład Narodowy im Ossolińskich, Wrocław 1970

jednocześnie sam na nowo je poznaję - przefiltrowane przez oczy i umysły dzieci. Jeśli się postarałem, było to doświadczenie odświeżające. Wręcz głębokie. Dobrze mi się układało z moimi uczniami, ich matkami i innymi nauczycielami.

A jednak wciąż nękało mnie zasadnicze pytanie: Kim jestem?. Czego szukam? Dokąd zmierzam?

Do odpowiedzi na te pytania najbardziej się zbliżałem, rozmawiając z Sumire. Częściej jednak zamiast mówić o sobie, słuchałem uważnie tego, co mówiła ona. Zasypywała mnie przeróżnymi pytaniami, a jeśli nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi albo jeżeli była ona zupełnie bez sensu, to możecie mi wierzyć, że Sumire dawała mi to odczuć. W przeciwieństwie do innych ludzi szczerze i gorąco chciała usłyszeć, co mam do powiedzenia. Staralem się jej odpowiadać jak najlepiej, a nasze rozmowy pomogły mi bardziej otworzyć się przed nią i jednocześnie przed sobą samym.

Rozmawialiśmy całymi godzinami. Nigdy nas to nie męczyło, nigdy nie brakowało nam tematów - powieści, ich świat, atmosfera, język. Nasze rozmowy były bardziej otwarte i intymne niż wielu kochanków.

Wyobrażałem sobie, jak by to było cudownie, gdybyśmy rzeczywiście zostali kochankami. Pragnąłem poczuć ciepło jej skóry na własnym ciele. Marzyłem, że się pobieramy i zamieszkujemy razem. Musiałem jednak stawić czoło faktowi, że Sumire nie żywiła do mnie tak

romantycznych uczuć, już nie wspominając o pożądaniu. Niekiedy zostawała u mnie, gdy zagadaliśmy się do późnej nocy, lecz nigdy nie było w tym najłżejszego podtekstu erotycznego. O drugiej czy trzeciej w nocy ziewała, wczolgiwała się do łóżka, wtulała twarz w moją poduszkę i natychmiast zasypiała. Wtedy ja rozścielałem sobie posłanie na podłodze i kładłem się, ale nie mogłem zasnąć, głowę miałem pełną fantazji, poplątanych myśli i odrazy do samego siebie. Czasami nieuchronne reakcje własnego organizmu doprowadzały mnie do upadku i leżałem wtedy aż do świtu, całkiem rozbudzony i pogrążony w rozpacz. Trudno mi było pogodzić się z tym, że Sumire nie czuła do mnie jako mężczyzny prawie nic, a może w ogóle nic. Niekiedy bolało mnie to tak bardzo, że miałem wrażenie, jakby ktoś mi dłubał nożem we wnętrzościach. Mimo to godziny, które z nią spędzałem, były cenniejsze niż wszystko inne. Pomagała mi zapomnieć o uczuciu samotności, które mi nieustannie towarzyszyło. Rozszerzała granice mojego świata, dzięki niej mogłem głęboko zaczerpnąć świeżego powietrza. Tylko Sumire umiała tego dokonać.

By zmniejszyć cierpienie i, jak miałem nadzieję, wyeliminować wszelkie seksualne napięcie między mną a Sumire, zacząłem sypiać z innymi kobietami. Nie twierdzę, że miałem ogromne powodzenie. Nie byłem żadnym lowelasem i nie posądzałem się o szczególny urok. Mimo to z jakiegoś powodu niektóre kobiety uważały mnie za pociągającego, a ja wkrótce odkryłem, że jeżeli pozwolę, by wydarzenia toczyły się własnym torem, bez większych

trudności uda mi się zwabić dziewczynę do łóżka. Te drobne romanse nigdy nie wzbudzały we mnie wielkiej namiętności, co najwyżej przynosiły pewną ulgę. Nie ukrywałem ich przed Sumire. Nie znała wszystkich szczegółów, jedynie ogólny zarys. Najwyraźniej wcale jej to nie przeszkadzało. Jeżeli w moich romansach było coś niepokojącego, to fakt, że wszystkie te kobiety były starsze ode mnie i miały albo mężów, albo narzeczonych, albo chłopaków na stałe. Ostatnia partnerka była matką jednego z moich uczniów. Sypialiśmy ze sobą jakieś dwa razy w miesiącu.

- To cię może zgubić - ostrzegła mnie raz Sumire. A ja jej przytaknąłem. Niewiele jednak mogłem na to poradzić. Pewnej soboty na początku lipca moja klasa wybrała się na wycieczkę. Wziąłem swoich trzydziestu pięciu uczniów na wspinaczkę w góry w Okutama. Dzień zaczął się od radosnego podniecenia, by zakończyć się na całkowitym chaosie. Kiedy dotarliśmy na szczyt, dwoje dzieci odkryło, że zapomniało zapakować drugiego śniadania. W pobliżu nie było żadnych sklepów, więc musiałem się podzielić własnym lunchem złożonym z nori-maki¹, który dostałem w szkole, co oznaczało, że sam zostałem bez jedzenia. Ktoś mi dał kawałek czekolady, ale poza tym do końca dnia nie miałem niczego w ustach. Na domiar złego jedna z dziewczynek powiedziała, że już

Non-maki - potrawa z ryżu, warzyw i wodorostów

nie daje rady, więc musiałem ją znieść z góry na barana. Potem dwóch chłopców zaczęło się poszturchiwać, niby dla zabawy, jeden z nich się przewrócił i uderzył głową o kamień. Doznał lekkiego wstrząsu mózgu i dostał obfitego krwotoku z nosa. Nic poważnego, ale koszulę miał całą zakrwawioną, jakby stał się ofiarą masakry. Jak powiedziałem, całkowity chaos.

Kiedy wreszcie wróciłem do domu, byłem wyczerpany jak stary akumulator. Wziąłem kąpiel, napiłem się czegoś zimnego, zagrzebałem się w pościeli, zbyt zmęczony, by myśleć, zgasilem światło i pogrążyłem się w spokojnym śnie. I wtedy zadzwonił telefon; to była Sumire. Spojrzałem na zegar przy łóżku: spałem zaledwie godzinę. Nie zrzędziłem jednak. Byłem zbyt zmęczony, żeby narzekać. Bywają takie dni.

- Możemy się spotkać jutro po południu? - spytała.

O szóstej wieczorem przychodziła moja kochanka.

Miała zaparkować swoją czerwoną toyotę celicę w pewnej odległości od mojego domu.

- Jestem wolny do czwartej - powiedziałem po prostu.

Sumire miała na sobie białą bluzkę bez rękawów, granatową krótką spódniczkę i małe okulary przeciwsłoneczne. Jej jedyną biżuterią była mała plastikowa spinka do włosów. Zupełnie prosty strój. Prawie bez makijażu, przedstawiała światu swe naturalne oblicze.

Mimo to początkowo nawet jej nie rozpoznałem. Od naszego ostatniego spotkania minęły zaledwie trzy tygo-

dnie, ale dziewczyna siedząca naprzeciwko mnie po drugiej stronie stolika wyglądała jak ktoś należący do zupełnie innego świata niż ten, do którego należała ta Sumire, jaką znałem kiedyś. Łagodnie rzecz ujmując, wyglądała przepięknie. Kwitła od wewnątrz.

Zamówiłem małą szklanekę piwa z beczki, a ona poprosiła o sok z winogron.

- Ostatnio cię nie rozpoznaję - powiedziałem.
- To przez ten okres - odparła obojętnie, sącząc sok przez słomkę.
- Jaki okres?
- Opóźnionego dojrzewania. Rano, kiedy wstaję i widzę swoją twarz w lustrze, wygląda, jakby należała do kogoś innego. Jeżeli nie będę uważać, mogę zostać w tyle.
- Nie lepiej więc machnąć na to ręką?
- Ale dokąd pójdę, jeżeli zgubię samą siebie?
- Jeśli chodzi o parę dni, to możesz zatrzymać się u mnie. Zawsze jesteś tam mile widziana - ty, która zgubiłaś samą siebie.

Sumire się roześmiała.

- Żarty na bok - powiedziała. - Dokąd ja zmierzam?
- Nie wiem. Ale spójrz na jasne strony. Rzuciłaś palenie, nosisz ładne, czyste ubrania - teraz nawet twoje skarpetki są do pary - i poznałaś włoski. Nauczyłaś się oceniać jakość wina, obsługiwać komputer i przynajmniej na razie chodzisz spać w nocy i budzisz się rano. Na pewno dokądsz zmierzasz.
- Ale nadal nie mogę napisać ani linijki.
- Każdy ma swoje wzloty i upadki.

Sumire zacisnęła wargi.

- Czy to, co przeżywam, nazwałbyś zdradą?
- Zdradą? - Przez chwilę nie rozumiałem, o czym mówi.
- Zdradą. Wyparciem się swych przekonań i poglądów.
- Chodzi ci o to, że masz pracę, ładnie się ubierasz i rzuciłaś pisanie powieści?
- Tak jest.

Pokręciłem głową.

- Pisałaś, bo zawsze tego pragnęłaś. Jeśli straciłaś zapał, to po co masz to robić? Myślisz, że od tego, że rzuciłaś pisanie, jakaś wioska doszczętnie spłonie? Że zatonie statek? Że przyplawy i odpływy się popłaczą? Albo że rewolucja się opóźni o pięć lat? Raczej nie. Nie sądzę, by coś takiego można nazwać zdradą.
- To jak mam to nazywać?

Znowu pokręciłem głową.

- Słowo „zdrada” jest zbyt staroświeckie. Nikt go już nie używa. Może tylko w jakiejś zapomnianej komunie. Nie znam szczegółów, ale skoro nie chcesz już pisać, to tylko twoja decyzja.
- W komunie? Masz na myśli takie miejsca, które stworzył Lenin?
- To były kołchozy. Ale nie został już ani jeden.
- Nie chodzi o to, że chcę rzucić pisanie - powiedziała Sumire. Na chwilę się zamyśliła. - Po prostu kiedy próbuję coś napisać, nie mogę. Siadam przy biurku i nic mi nie przychodzi do głowy - żadne pomysły, słowa, sceny.

Koniec. Jeszcze nie tak dawno temu miałam miliony rzeczy do opisania. Co się, do diabła, ze mną dzieje?

- Pytasz mnie?

Sumire kiwnęła głową.

Upiłem łyk zimnego piwa i zebrałem myśli.

- Myślę, że próbujesz sobie znaleźć miejsce w nowej historii. Masz tym zaprzątnięte myśli, więc nie czujesz potrzeby ubierać swoich uczuć w słowa. Poza tym jesteś za bardzo zajęta.

- A ty to robisz? Próbujesz sobie znaleźć miejsce w jakiejś historii?

- Myślę, że większość osób żyje w fikcji. Ja nie należę do wyjątków. Pomyśl o niej jak o samochodzie. To jak skrzynia biegów, która znajduje się pomiędzy tobą a trudną rzeczywistością życia. Czerpiesz surową moc z zewnątrz i za pomocą dźwigni biegów tak ją dostosowujesz, by wszystko ładnie się zsynchronizowało. W ten sposób twoje delikatne ciało pozostaje nietknięte. Rozumiesz?

Sumire lekko kiwnęła głową.

- I nadal nie jestem do końca przystosowana do tej nowej historii. To masz na myśli?

- W tej chwili największym problemem jest to, że nie wiesz, z jakiego rodzaju historią masz do czynienia. Nie znasz akcji, styl jest jeszcze nieokreślony. Znasz tylko imię głównej postaci. Niemniej jednak ta nowa historia na nowo określa ciebie samą. Daj jej czas, weźmie cię pod swoje skrzydła i być może uda ci się dostrzec

zupełnie nowy świat. Ale jeszcze cię tam nie ma, co cię stawia w dość niepewnej sytuacji.

- To znaczy, że wyjęłam starą skrzynię biegów, ale jeszcze nie dokończyłam instalacji nowej? A silnik nadal pracuje. Tak?

- Można to tak ująć.

Sumire zrobiła swą zwykłą nadąsaną minę i postukała słomką nieszczęsny lód w szklance. W końcu podniosła głowę.

- Wiem, co rozumiesz przez słowo „niepewna”. Czasami czuję się taka - sama nie wiem - samotna. Ogarnia mnie uczucie bezradności jak wtedy, gdy wszystko, do czego przywykłam, zostaje mi odebrane. Jakby już nie istniała siła przyciągania, a ja dryfuję w przestrzeni kosmicznej. I nie mam pojęcia, dokąd zmierzam.

- Jak mały, zagubiony sputnik?

- Chyba tak.

- Ale przecież masz Miu - powiedziałem.

- Przynajmniej na razie.

Na chwilę zapanowało milczenie.

- Myślisz, że Miu też tego potrzebuje? - spytałem.

Sumire kiwnęła głową.

- Myślę, że tak. Pewnie tak samo jak ja.

- Łącznie z aspektami fizycznymi?

- Ciężka sprawa. Jeszcze nie potrafię jej rozgryźć.

Mam na myśli jej uczucia. I dlatego czuję się zagubiona i zdezorientowana.

- Prawdziwa zagadka - zauważyłem.

Zamiast odpowiedzieć, Sumire znowu zacisnęła wargi.

- Ale jeśli chodzi o ciebie - powiedziałem - to jesteś już gotowa.

Sumire przytaknęła stanowczo, nie pozostawiając miejsca na wątpliwości. Była śmiertelnie poważna. Opadłem na oparcie krzesła i splotłem ręce za głową.

- Nie zaczynaj mnie po tym wszystkim nienawidzić, dobrze? - poprosiła Sumire. Jej głos przypominał ścieżkę dźwiękową ze starego, czarno-białego filmu Jeana-Luca Godarda, sączył się gdzieś na obrzeżach mojej świadomości.

- Nie zacznę cię po tym wszystkim nienawidzić - odparłem.

Następnym razem spotkałem się z Sumire dwa tygodnie później, kiedy pomagałem jej w przeprowadzce. Podjęła tę decyzję ni z tego, ni z owego, i tylko ja przyszedłem jej pomóc. Poza książkami miała bardzo niewiele rzeczy, więc cała procedura zakończyła się w mgnieniu oka. Przynajmniej takie są plusy ubóstwa.

Pożyczyłem od znajomego półciężarówkę i przewiozłem rzeczy Sumire do nowego mieszkania w Yoyogi-Uehara. Mieszkanie nie było zbyt nowe ani ładne, lecz w porównaniu z jej starym, drewnianym domem w Kichijoji - który powinien się znaleźć na liście zabytków - niewątpliwie stanowiło krok do przodu. Wyszukał je dla niej znajomy Miu, agent nieruchomości. Pomimo dogodnej lokalizacji czynsz był niewielki, a poza tym wyróżniał je ładny widok z okna. Było też dwa razy

większe od poprzedniego. Z całą pewnością warto przeprowadzki. Nieopodal znajdował się park Yoyogi, dokąd mogła chodzić spacerkiem, jeśli miała na to ochotę.

- Od przyszłego miesiąca zacznę pracować pięć razy w tygodniu - powiedziała Sumire. - Trzy razy tygodniowo to takie ni to, ni sio, a poza tym łatwiej znieść dojeżdżanie kolejką, jeśli robi się to codziennie. Teraz muszę płacić większy czynsz, a Miu powiedziała, że ze wszystkich powodów będzie lepiej, jeżeli przejdę na pełny etat. Kiedy zostanę w domu, i tak nie zmuszę się do pisania.

- Niezły pomysł - zauważyłem.

- Moje życie stanie się bardziej zorganizowane, jeżeli zacznę pracować codziennie, i pewnie przestanę dzwonić do ciebie o wpół do czwartej rano. Kolejny plus.

- I to duży - powiedziałem. - Ale to smutne, że zamieszkaż tak daleko ode mnie.

- Naprawdę tak uważasz?

- Oczywiście. Mam wyrwać sobie serce i ci pokazać? Siedziałem na gołej podłodze w nowym mieszkaniu, opierając się o ścianę. Sumire miała tak niewiele sprzętów, że wnętrze wyglądało na opuszczone. W oknach nie było zasłon, a książki, które nie zmieściły się na półkach, stały w stosach na podłodze niczym banda uchodźców-intelektualistów. Jediną rzeczą, która się wyróżniała w tej pustce, było duże lustro na ścianie, prezent od Miu z okazji zmiany mieszkania. Wieczorny wiatr niósł z parku krakanie wron. Sumire usiadła koło mnie.

- Wiesz co? - powiedziała.

- Co?
- Czy pozostałbyś moim przyjacielem, gdybym była jakąś nic niewartą lesbijką?
- To, czy jesteś nic niewartą lesbijką, czy nie, nie ma żadnego znaczenia. Wyobraź sobie płytę „Największe przeboje Bobby'ego Darina" bez *Mackiego Majchra*. Tak by wyglądało moje życie bez ciebie.
Sumire zmrużyła oczy i popatrzyła na mnie.

- Nie jestem pewna, czy dobrze zrozumiałam tę metaforę, ale czy chcesz powiedzieć, że czułbyś się bardzo samotny?

- Mniej więcej o to mi chodzi - odparłem.

Sumire oparła głowę na moim ramieniu. Włosy miała spięte spinką, więc widziałem jej małe, ładnie uformowane uszy. Uszy tak ładne, że można by pomyśleć, iż dopiero co zostały stworzone. Miękkie uszy, które tak łatwo zranić. Na skórze czułem jej oddech. Miała na sobie krótkie różowe szorty i spłowiały, zwykły granatowy T-shirt. Przez koszulkę prześwitywał zarys jej małych sutek. W powietrzu unosił się delikatny zapach potu. Jej potu i mojego, oba zapachy subtelnie połączone.

Tak bardzo chciałem ją przytulić. Ogarnęło mnie gwałtowne pragnienie, by w tej chwili pchnąć ją na podłogę, wiedziałem jednak, że to strata czasu. Od-
dychałem z trudem, a moje pole widzenia się zwężyło. Czas stanął w miejscu, lecz tryby w jego maszynie nadal się obracały. Pożądanie nabrzmiało w moich spodniach,

twarde jak skała. Byłem oszołomiony, zdezorientowany. Spróbowałem wziąć się w garść. Wciągnąłem do płuc świeże powietrze, zamknąłem oczy i w tej niepojętej ciemności zacząłem powoli liczyć. Moja żądza była tak potężna, że do oczu napłynęły mi łzy.

- Ja też cię lubię - odezwała się Sumire. - Najbardziej na całym świecie.

- To znaczy po Miu.

- Miu to co innego.

- Jak to?

- Moje uczucia do niej są inne niż te, które żywię do ciebie. To znaczy... hmm. Jak to ująć?

- My, nic niewarci heteroseksualiśd mamy na to pewne określenie - rzuciłem. - Mówimy, że ci staje. Sumire się roześmiała.

- Poza pisaniem powieści nigdy niczego nie pragnęłam aż tak bardzo. Zawsze zadowalało mnie to, co miałam. Ale teraz, w tej chwili, chcę Miu. Bardzo, bardzo mocno. Chcę ją mieć. Chcę, by była moja. Po prostu muszę. Nie mam wyboru. Żadnego. Nie wiem, dlaczego tak się stało. Czy... czy ty mnie w ogóle rozumiesz? Kiwnąłem głową. Mój penis nadal zachował swą przytłaczającą sztywność i modliłem się w duchu, by Sumire tego nie zauważyła.

- Jest taka świetna kwestia Groucho Marxa - powiedziałem. - „Ona tak mnie kocha, że świata poza mną nie widzi. I dlatego mnie kocha”.

Sumire się roześmiała.

- Mam nadzieję, że wszystko się ułoży - stwierdziłem.

- Ale pamiętaj, by zachować czujność. Nadal jesteś bardzo bezbronna. Pamiętaj o tym.

Sumire bez słowa ujęła moją dłoń i delikatnie ją ścisnęła. Jej małą, miękką rękę nadal pokrywała lekka warstewka potu. Wyobraziłem sobie, jak głaszcze mój twardej jak skała penis. Próbowałem o tym nie myśleć, ale nie mogłem się powstrzymać. Jak sama powiedziała, nie było wyboru. Marzyłem o tym, by z niej zdjąć T-shirt, szorty i majtki i poczuć pod językiem jej drobne, naprężone sutki. Rozkładałem szeroko jej nogi i wchodziłem w tę wilgoć. Powoli, w głęboki mrok wewnątrz. Ten mrok mnie wciąga, otacza, a potem wypycha... Wizja ta całkowicie mnie opanowała i nie mogłem się jej pozbyć. Znowu zacisnąłem oczy i poczułem, jak nade mną przetacza się skondensowana bryła czasu. Z odwróconą twarzą czekałem cierpliwie, aż przegrzane powietrze uniesie się nade mnie i popłynie dalej.

- Może byśmy poszli razem na obiad? - spytała

Sumire. Ja jednak musiałem do wieczora odstawić do Hino półciężarówkę, którą pożyczyłem. Ale ponad wszystko musiałem zostać sam na sam ze swoimi gwałtownymi żądzami. Nie chciałem jeszcze bardziej wciągać Sumire w tę sytuację. Nie wiedziałem, do jakiego stopnia mógłbym zapanować nad sobą, gdyby została ze mną. Gdybym przekroczył punkt, za którym nie było już odwrotu, mógłbym całkowicie stracić kontrolę.

- Niedługo zaproszę cię na obiad do jakiejś miłej restauracji. Obrus, wino. Pełen odlot. Może w przyszłym tygodniu - obiecała Sumire, gdy się żegnaliśmy. - Zarezerwuj dla mnie czas w przyszłym tygodniu.

- Okay - powiedziałem.

Po drodze zerknąłem w lustro na ścianie, w którym odbiła się moja twarz. Miałem dziwną minę. Twarz była moja, jak najbardziej, ale skąd wziął się ten wyraz? Nie miałem ochoty cofać się myślami i bardziej w to zagłębiać. Sumire stanęła w drzwiach swojego nowego mieszkania, by mnie odprowadzić do wyjścia. Pomachała mi na pożegnanie, co zdarzało jej się niezwykle rzadko. Ostatecznie, jak wiele innych pięknych obietnic w naszym życiu, to spotkanie przy obiedzie nigdy nie doszło do skutku. Na początku sierpnia dostałem od niej długi list.

Na kopercie był naklejony duży kolorowy włoski znaczek ostemplowany w Rzymie, lecz nie mogłem odczytać, kiedy list został wysłany.

Tego dnia, w którym przyszedł, po raz pierwszy od dawna wybrałem się do Shinjuku, kupiłem parę książek w księgarni Kinokuniya i obejrzałem film Luca Bessona. Potem wstąpiłem do piwiarni, gdzie ze smakiem zjadłem

pizzę z anchois i wypięłem kufel ciemnego piwa. Tuż przed godziną szczytu wsiadłem do linii metra Chuo i aż do chwili przyjazdu do domu w Kunitachi czytałem jedną z nowych książek. Postanowiłem zrobić sobie prostą kolację i obejrzeć w telewizji mecz piłki nożnej. Idealny sposób na spędzanie letnich wakacji. Upał, samotność i swoboda, nikomu nie zawracam głowy i nikt nie zawraca głowy mnie.

Kiedy wróciłem do domu, w skrzynce pocztowej znalazłem list. Na kopercie nie było nazwiska nadawcy, lecz rzut oka na charakter pisma wystarczył, żebym się domyślił, że to list od Sumire. Pismo hieroglificzne, zwarte, trudne do odczytania, bezkompromisowe. Pismo, które przypomniało mi żuki, jakie odkryto w egipskich piramidach. Zupełnie jakby miało zacząć pełzać i zniknąć z powrotem w mrokach historii.

Rzym?

Włożyłem do lodówki jedzenie, które kupiłem w supermarkecie, i nalałem sobie dużą szklankę mrożonej herbaty. Usiadłem na krześle w kuchni, rozciąłem kopertę nożem do obierania jarzyn i przeczytałem list. Pięć kartek papieru listowego z rzymskiego hotelu Excelsior, zapisanych drobnym maczkiem niebieskim atramentem. Napisanie tak długiego listu musiało jej zająć dużo czasu. Na ostatniej stronie w rogu znajdowała się plama - może po kawie.

Jak się masz?

Wyobrażam sobie Twoje zdziwienie, kiedy ni z tego, ni z owego dostałeś ode mnie list z Rzymu. Chociaż Ty jesteś tak opanowany, że pewnie byle Rzym Cię nie zaskoczy. To nieco zbyt turystyczne miasto. Powinna to być co najmniej Grenlandia, Timbaktu czy Cieśnina Magellana, co? Muszę jednak przyznać, że samej trudno mi uwierzyć, że tu wylądowałam.

W każdym razie przepraszam, że nie mogłam Cię zabrać na kolację, tak jak to planowaliśmy. Ta podróż do Europy wyniknęła nagle, tuż po mojej przeprowadzce. Przez parę następných dni uwijałam się jak w ukropie - załatwianie paszportu, kupowanie walizek, kończenie rozpoczętych zadań. Mam nie najlepszą pamięć - nie muszę Ci chyba o tym mówić, co? - ale staram się dotrzymywać obietnic. I dlatego chciałabym przeprosić za to, że nie doszło do naszego spotkania.

Nowe mieszkanie bardzo mi się podoba. Przeprowadzka to prawdziwy koszmar (wiem, że to Ty odwalileś większą część roboty, za co jestem Ci wdzięczna, ale to i tak był koszmar), jednak już po wszystkim jest naprawdę miło. Nie pieją mi tu żadne koguty tak jak w Kichijoji, za to wrony skrzeczą jak zawodzące baby. O świcie całe ich stado gromadzi się w parku Yoyogi i wydziera się tak, jakby łąka chwila świat miał się skończyć. Nie muszę sobie kupować budzika, bo zawsze ze snu wyrывa mnie ich krakanie. Dzięki czemu teraz, tak jak i ty, niczym chłop wstaję i kładę się spać z kurami. Zaczynam rozumieć, jak to jest, kiedy ktoś dzwoni o wpół do czwartej nad ranem. Ale pamiętaj - dopiero zaczynam.

90

Piszę ten list w kawiarence pod gołym niebem w bocznej uliczce w Rzymie, sącząc espresso gęste jak pot diabła, i mam dziwne uczucie, że już nie jestem sama. Trudno wyrazić to słowami, ale to trochę tak, jakbym do tej pory mocno spała i nagle ktoś przyszedł, zdemontował mnie, a potem szybko złożył z powrotem. Coś w tym rodzaju. Rozumiesz, o co mi chodzi? Oczy mi mówią, że to ta sama starają, ale coś się zmieniło. Nie żebym dokładnie pamiętała, jak było przedtem. Od chwili wyjścia z samolotu nie mogę się otrząsnąć z tej bardzo rzeczywistej iluzji demontażu. Iluzji? Tak, to chyba odpowiednie słowo... Siedzę tu, pytam samą siebie: „Dlaczego znalazłam się akurat w Rzymie?”, a wszystko wokół zaczyna wyglądać nierealnie. Oczywiście gdybym odtworzyła szczegóły tego, w jaki sposób tu wylądowałam, doszłoby do pewnego wytłumaczenia, lecz w głębi ducha nadal nie jestem przekonana. Ta „ja” siedząca tutaj i obraz mnie samej, jaki znam, nie pasują do siebie. Innymi słowy, niekoniecznie muszę tu być, niemniej jednak jestem. Wiem, że to niejasne, ale Ty mnie rozumiesz, prawda? Jedno mogę stwierdzić z całym przekonaniem: szkoda, że Cię tu nie ma. Co prawda jest ze mną Miu, ale czuję się samotna tak daleko od Ciebie. Wiem, że gdybyśmy znajdowali się jeszcze dalej od siebie, czułabym się jeszcze bardziej osamotniona. Chciałabym wierzyć, że Ty czujesz to samo. Tak więc włączmy się z Miu po Europie. Miu ma tu do załatwienia jakieś interesy i początkowo zamierzała przez dwa tygodnie sama jeździć po Włoszech i Francji, ale w końcu poprosiła, żebym towarzyszyła jej jako osobista sekretarka.

Wyrzuciła to z siebie któregoś dnia rano, co mnie całkowicie, zaskoczyło. Może i jestem jej „osobistą sekretarką”, ale uważam, że nie bardzo jej się przydaje. Niemniej jednak to nowe doświadczenie na pewno wyjdzie mi na dobre, a Miu mówi, że ten wyjazd to nagroda za to, że rzuciłam palenie. To znaczy, że cała ta męka, przez jaką przeszłam, w końcu się opłaciła. Wylądowałyśmy w Mediolanie, poszłyśmy zwiedzać miasto, a potem wypożyczyłyśmy niebieskie alfa romeo i skierowałyśmy się autostradą na południe. Zajrzałyśmy do paru winnic w Toskanii, a po załatwieniu interesów zatrzymałyśmy się na parę nocy w uroczym, małym hoteliku i wreszcie pojechałyśmy do Rzymu. Miu zawsze rozmawia o interesach po angielsku lub po francusku, więc nie mam zbyt wiele do roboty, chociaż mój włoski przydał się w załatwianiu codziennych spraw. Gdybyśmy pojechały do Hiszpanii (co niestety nie zdarzy się podczas tej podróży), może okazałabym się bardziej pomocna. Alfa romeo, które wypożyczyłyśmy, miało ręczną skrzynię biegów, więc byłam zupełnie bezużyteczna. Całą drogę prowadziła Miu. Ona potrafi siedzieć za kierownicą godzinami i najwyraźniej nie ma nic przeciwko temu. Toskania to same wzgórza i zakręty, więc dziwiłam się, że Miu z taką łatwością przychodzi zmienianie biegów. Obserwując ją (wcale nie żartuję), cała drżałam. Całkowicie wystarcza mi to, że wyjechałam z Japonii i mogę przebywać z Miu. Gdyby tylko mogło tak zostać już na zawsze. Następnym razem opiszę wszystkie te wspaniałe potrawy i wina, jakich skosztowałyśmy we Włoszech; teraz zajęłoby mi to zbyt dużo czasu. W Mediolanie chodziłyśmy od sklepu do sklepu.

Sukienki, buty, bielizna. Ja nie kupiłam sobie nic oprócz piżamy (zapomniałam wziąć z domu). Nie miałam za wiele pieniędzy, a poza tym w sklepach było tyle pięknych rzeczy, że nie wiedziałam, od czego zacząć. W takiej sytuacji zupełnie tracę głowę. Wystarczyło mi samo towarzyszenie Miu w zakupach. Jest w tym absolutną mistrzynią, wybiera tylko najlepsze rzeczy, a kupuje jedynie niektóre z nich. Zupełnie jakby kosztowała najsmaczniejszej części potrawy. Bardzo to mądre i urocze. Kiedy patrzyłam, jak kupuje bardzo drogie jedwabne pończochy i bieliznę, aż trudno mi było oddychać. Na czoło wystąpiły mi kropelki potu. Jak o tym pomyśleć, to dość dziwne. W końcu jestem dziewczyną. No, ale już dosyć o zakupach - rozpisywanie się o tym za bardzo wydłuży mój list.

W hotelach nocujemy w osobnych pokojach. Miu bardzo się przy tym upiera. Tylko raz, we Florencji, było zamieszanie z rezerwacją i musiałyśmy zatrzymać się w jednym pokoju. Stały tam dwa łóżka, ale już na samą myśl, że mam z nią nocować w tym samym pokoju, czułam, jak mi serce podchodzi do gardła. Kątem oka zauważyłam, jak wychodzi z łazienki w samym ręczniku, a potem się przebiera. Oczywiście udawałam, że nie patrzę, tylko czytam książkę, ale dostrzegłam co nieco. Miu ma naprawdę wspaniałą figurę. Nie była całkiem nago, tylko w skąpej bieliźnie, ale i tak na widok jej ciała aż mi dech zaparło w piersiach. Bardzo szczupła, jędrne pośladki, niezwykle atrakcyjna kobieta. Szkoda, że tego nie widziałeś- chociaż może takie słowa w moich ustach brzmią nieco dziwnie.

Wyobraziłam sobie siebie w objęciach tego gibkiego, smukłego ciała. Kiedy leżałam w łóżku, w tym samym pokoju co ona,

w mojej głowie pojawiały się przeróżne obsceniczne sytuacje i czułam, jak te myśli stopniowo pchają mnie w stronę innego miejsca. Myślę, że trochę się przemęczyłam - tej samej nocy dostałam okres, o wiele za wcześnie. Co za ból. Hmm. Wiem, że opowiadanie Ci o tym jest zupełnie bezcelowe, ale będę pisać dalej - choćby po to, żeby przelać fakty na papier.

Zeszłego wieczora poszliśmy w Rzymie na koncert. Nie miałam zbyt wysokich oczekiwań, ponieważ sezon już się skończył, a jednak udało nam się trafić na takie niezwykle wydarzenie. Martha Argerich grała I Koncert fortepianowy Liszta. Uwielbiam ten utwór. Dyrygował Giuseppe Sinopoli. Cóż za wykonanie! Przy takiej muzyce człowiek od razu się ożywia - była to najbogatsza, najbardziej fantastyczna muzyka, jaką kiedykolwiek słyszałam. Kiedy o tym pomyśleć, to może nawet zbyt perfekcyjna jak na mój gust. Utwory Liszta powinny być grane troszkę nieczysto i figlarnie - jak muzyka na wiejskiej zabawie. Bez trudnych fragmentów i tak, żeby aż dreszcze przechodziły po plecach - to lubię! W tym Miu i ja się zgadzamy. W Wenecji odbywa się festiwal muzyki Vivaldiego, zamierzamy tam pojechać. Tak jak ty i ja rozmawiamy o literaturze, tak z Miu aż do późnej nocy potrafimy gadać o muzyce. Ten list jest trochę za długi, prawda? Jak już wezmę do ręki pióro i zacznę pisać, nie mogę przerwać w połowie. Zawsze taka byłam. Podobno dobrze wychowane dziewczynki nie nadużywają gościnności, ale jeśli przychodzi do pisania (może nie tylko pisania?), moje maniery są beznadziejne. Kelner w białej marynarce

co jakiś czas spogląda na mnie z obrzydzeniem. Przyznam jednak, że już mi się zmęczyła ręka. Poza tym zabrakło mi papieru. Miu poszła na spotkanie ze starym przyjacielem z Rzymu, a ja ruszyłam na włóczęgę uliczkami wokół hotelu, postanowiłam zrobić sobie przerwę w kawiarence, na którą się natknęłam, i teraz siedzę tu, pisząc do Ciebie. Czuję się jak na bezludnej wyspie, wysyłam wiadomość w butelce. To dziwne - kiedy nie jestem z Miu, nigdzie mi się nie chce iść. Przyjechałam aż do Rzymu (i najprawdopodobniej już tu nigdy nie wrócę), a jednak jakoś nie mogę się zmusić do tego, żeby wstać i obejrzeć te ruiny - jak one się nazywają? - czy tutejsze słynne fontanny. Albo chociaż pójść na zakupy. Wystarczy mi, kiedy tak siedzę w kawiarni, jak piesek wącham kawę, słucham głosów i dźwięków i spoglądam na twarze przechodniów.

I nagle, gdy tak pisałam do Ciebie, ogarnęło mnie uczucie, że to, co opisałam na początku - to dziwne wrażenie bycia zdemontowaną - zaczyna blaknąć. Teraz już mi tak nie przeszkadza. Trochę tak jak wtedy, kiedy dzwoniłam do Ciebie w środku nocy, kończyłam rozmowę i wychodziłam z budki telefonicznej. Może to Ty tak na mnie działasz?

Jak myślisz? W każdym razie pomódl się, proszę, o moje szczęście i powodzenie. Twoje modlitwy są mi potrzebne. To na razie.

PS Wrócę pewnie około piętnastego sierpnia. Możemy wtedy pójść na tę kolację - obiecuję! - zanim lato się skończy.

Pięć dni później przyszedł drugi list nadany w jakiejś nieznannej wiosce we Francji. Był krótszy niż poprzedni. Miu i Sumire oddały w Rzymie wypożyczony samochód i pojechały pociągiem do Wenecji. Przez całe dwa dni słuchały Vivaldiego. Większość koncertów odbywała się w kościele, gdzie Vivaldi służył jako ksiądz. „Nie mam nic przeciwko temu, żeby przez następne pół roku w ogóle już nie słuchać Vivaldiego” - napisała. Jej opisy pysznych grillowanych owoców morza, które jadły w Wenecji, były tak realistyczne, że aż miałem ochotę popędzić tam i sam spróbować. Po Wenecji Miu i Sumire wróciły do Mediolanu, a potem poleciały do Paryża. Tam zrobiły sobie przerwę, znowu wyruszyły na zakupy, po czym wsiadły do pociągu jadącego do Burgundii. Jeden z przyjaciół Miu miał tam ogromny dom, istny pałac, i tam też się zatrzymały. Podobnie jak we Włoszech, Miu odwiedziła w interesach kilka małych winiarni. W wolne popołudnia brały kosz piknikowy z lunchem i szły na spacer do pobliskiego lasu. Oczywiście z paroma butelkami wina jako zwieńczeniem posiłku. „Tutejsze wino jest po prostu nie z tej ziemi” - napisała Sumire.

Mimo wszystko nasz początkowy plan powrotu do Japonii piętnastego sierpnia chyba się zmieni. Kiedy załatwimy interesy we Francji może pojedziemy na krótkie wakacje na jakąś grecką wyspę. Pewien angielski dżentelmen, którego tu poznaliśmy - i to prawdziwy dżentelmen - ma willę na tej wyspie i zaproponował, żebyśmy pomieszkały w niej tak długo, jak

tylko zechcemy. Wspaniała wiadomość! Miu ten pomysł też się podoba. Potrzebna nam jest przerwa w pracy, trochę czasu, żeby po prostu się wyluzować i odpocząć. My dwie leżące na czystej, białej plaży nad Morzem Egejskim, dwie pary pięknych piersi skierowane ku słońcu. Będziemy sączyć wino o zapachu sosnowej żywicy i patrzeć, jak chmury płyną po niebie. Czyż to nie brzmi cudownie?
Niewątpliwie, pomyślałem.

Tego popołudnia poszedłem na publiczny basen, trochę pochodziłem po okolicy, w drodze powrotnej do domu wstąpiłem do uroczej klimatyzowanej kawiarni i tam przez godzinę czytałem. Kiedy wróciłem do siebie, przesłuchałem obie strony starej płyty *Ten Years After* i uprasowałem w tym czasie trzy koszule. Po prasowaniu wypilem trochę kupionego na wyprzedazy, taniego wina, które zmieszałem z perrierem, i obejrzałem mecz piłkarski, który wcześniej nagrałem sobie na wideo. Za każdym razem, kiedy widziałem podanie, jakiego sam bym nie wykonał, kręciłem głową i wzdychałem. Nie ma nic prostszego jak wyłapywanie cudzych błędów - a to bardzo miłe uczucie. Po meczu z powrotem zapadłem się w fotel, wbiłem wzrok w sufit i wyobraziłem sobie Sumire we francuskiej wiosce. Teraz była już na greckiej wyspie. Leży na plaży i spogląda na przepływające chmury. Czy tu, czy tam, i tak znajduje się bardzo daleko ode mnie. Rzym, Grecja, Timbaktu, Aruanda - wszystko jedno. Jest bardzo, bardzo daleko. I prawdopodobnie tak już zostanie. Sumire oddala się coraz bardziej. Zrobiło mi się smutno. Poczułem się jak

mamy robaczek bez żadnego szczególnego powodu czepiają-
cy się kamiennego muru w wietrzną noc, bez żadnych
planów, bez wiary. Sumire napisała, że tęskni za mną. Ale ma
ze sobą Miu. Ja nie miałem nikogo oprócz siebie. Jak zawsze.
Sumire nie wróciła piętnastego sierpnia. Na jej auto-
matycznej sekretarce znalazłem tylko krótkie nagranie:
„Wyjechałam w podróż”. Jednym z pierwszym zakupów,
jakich dokonała po przeprowadzce, był telefon z sek-
retarką, nie musiała więc wychodzić w deszczowe noce,
z parasolką, do budki telefonicznej. Doskonały pomysł.
Nie zostawiłem żadnej wiadomości.
Osiemnastego zadzwoniłem jeszcze raz, ale wysłucha-
łem tylko tego samego nagrania. Po bezosobowym sygnale
zostawiłem swoje imię i krótką wiadomość, by zadzwoniła
do mnie po powrocie. Pewnie zbyt dobrze bawiły się na tej
greckiej wyspie, żeby wracać.
W przerwie między tymi dwoma telefonami przeprowa-
dziłem jeden trening piłkarski w mojej szkole i raz
przespałem się z moją kochanką. Była ładnie opalona, gdyż
niedawno wróciła z wakacji na Bali, dokąd pojechała ze
swoim mężem i dwójką dzieci. Tuląc ją do siebie, myślałem
o Sumire na greckiej wyspie. Gdy w nią wszedłem, nie
mogłem się powstrzymać od fantazjowania o ciele Sumire.
Gdybym nie znał Sumire, z łatwością mógłbym się
zakochać w tej o siedem lat ode mnie starszej kobiecie

(której syn był jednym z moich uczniów). Była piękna, enetgiczna, miła. Jak na mój gust trochę za mocno się malowała, ale podobał mi się jej styl. Martwiła ją lekka nadwaga, chociaż niepotrzebnie. Nie mogłem narzekać na jej seksowną figurę. Znała wszystkie moje pragnienia, wiedziała, czego chciałem i czego nie chciałem. Doskonale orientowała się, jak daleko może się posunąć i kiedy przestać - w łóżku i poza nim. Przy niej czułem się, jakbym leciał pierwszą klasą.

- Nie spałam z mężem od prawie roku - wyznała, leżąc w moich objęciach. - Jesteś jedyny.

Ale nie mogłem jej pokochać. Z jakiegoś powodu ta bezwarunkowa, naturalna, intymna więź, jaka łączyła mnie z Sumire, tutaj po prostu się nie pojawiała. Zawsze rozpościerał się między nami cienki, przezroczysty woal. Widoczna czy nie, dzieliła nas bariera. Często zapadało między nami niezręczne milczenie - zwłaszcza kiedy się żegnaliśmy. Z Sumire nigdy mi się to nie przydarzyło. Przebywając z tą kobietą, stale utwierdzałem się w przekonaniu, że potrzebuję Sumire bardziej niż kiedykolwiek. Kiedy moja kochanka wyszła, udałem się na samotny spacer. Przez pewien czas włóczyłem się bez celu, po czym wstąpiłem do baru nieopodal dworca i zamówiłem canadian club z lodem. Jak zawsze w takich chwilach czułem się najbardziej nieszczęśliwym człowiekiem na świecie. Szybko wychyliłem pierwszego drinka i zamówiłem następnego. Zamknąłem oczy i zacząłem myśleć

0 Sumire. Sumire topless, opalająca się na białej plaży na jakiejś greckiej wyspie. Przy stoliku koło mnie czwórka chłopców i dziewcząt z college'u piła piwo, śmiejąc się i doskonale bawiąc. Lecił stary kawałek zespołu Hueya Lewisa and the News. Czułem zapach pieczonej pizzy. Kiedy opuściła mnie moja młodość? - nagle przyszło mi do głowy. Bo już się skończyła, prawda? Zaledwie wczoraj byłem jeszcze wyrostkiem. W tamtym okresie Huey Lewis and the News nagrali parę przebojów. Nie tak wiele lat temu. A teraz oto tkwię w obiegu zamkniętym, kręcąc się w miejscu. Wiem, że zmierzam donikąd, a jednak się poruszam. Muszę to robić. Muszę, bo inaczej nie dam rady przeżyć.

Tej nocy odebrałem telefon z Grecji. Była druga w nocy. Ale to nie Sumire dzwoniła. To była Miu.

Najpierw usłyszałem głęboki męski głos z silnym angielskim akcentem. Mężczyzna wypluł moje imię, a potem krzyknął:

- Dodzwoniłem się do właściwej osoby, prawda?

Telefon wyrwał mnie z głębokiego snu. Miałem pustkę w głowie, mój umysł był jak pole ryżowe w środku burzy, więc nie mogłem zrozumieć, co się dzieje. Na pościeli utrzymywał się jeszcze lekki zapach miłości, którą upra-

wiałem tego popołudnia, a rzeczywistość wydawała mi się przekrzywiona jak nierówno zapięty sweter. Mężczyzna znowu wymienił moje imię.

- Dodzwoniłem się do właściwej osoby, tak?

- Tak - odparłem.

Wyraz, który wymówił, nie brzmiał jak moje imię, a jednak nim był. Przez pewien czas w słuchawce coś trzeszczało, jakby zderzały się ze sobą dwie masy powietrza. Pomyślałem, że to pewnie Sumire próbuje się dodzwonić przez oceany aż z Grecji. Nieco odsunąłem słuchawkę od ucha, czekając, aż rozlegnie się głos Sumire. Ale głos, który usłyszałem, należał nie do niej, lecz do Miu.

- Sumire z pewnością opowiadała panu o mnie?

- Tak - odrzekłem.

Jej głos w telefonie był zniekształcony przez jakąś odległą, nieorganiczną substancję, lecz i tak wyczuwałem w nim napięcie. Przez aparat wpłynęło do mojego pokoju coś sztywnego i twardego, niczym chmury suchego lodu, które gwałtownie mnie ocuciły. Zerwałem się i usiadłem w łóżku, mocniej ujmując słuchawkę.

- Muszę mówić szybko - powiedziała zdyszana Miu.

- Dzwonię z greckiej wyspy, a stąd niemal nie można dodzwonić się do Tokio - a jak już człowiek dopnie swego, to zaraz połączenie zostaje zerwane. Próbowałam wiele razy, ale w końcu mi się udało. Jeśli więc nie ma pan nic przeciwko temu, opuszczę oficjalne wstępy i przejdę od razu do sprawy.

- Nie mam nic przeciwko temu.

- Czy może pan tu przyjechać?
- To znaczy do Grecji?
- Tak. Jak najszybciej.

Wyrzuciłem z siebie pierwszą myśl, jaka mi przyszła do głowy.

- Czy coś się stało Sumire?

Nastąpiła przerwa, podczas której Miu zaczerpnęła powietrza.

- Jeszcze nie wiem, ale myślę, że chciałaby, żeby pan przyjechał. Jestem tego pewna.
- Myśli pani, że by tego chciała?
- Nie da się tego wytłumaczyć przez telefon. W każdej chwili mogą nas rozłączyć, a poza tym to delikatna sprawa i wolałabym porozmawiać z panem osobiście. Zapłacę za przejazd w obie strony. Proszę przyjechać. Im szybciej, tym lepiej. Proszę tylko kupić bilet. Pierwszą klasę, co tylko pan sobie życzy.

Następny semestr w szkole zaczynał się za dziesięć dni. Do tej pory musiałbym wrócić, jeśli jednak bym się zdecydował, podróż do Grecji i z powrotem nie przekraczała moich możliwości. Podczas przerwy miałem dwa razy pójść do szkoły, żeby załatwić kilka spraw, ale mogłem poprosić kogoś o zastępstwo.

- Myślę, że mogę przyjechać - powiedziałem. - Tak, na pewno mogę. Ale dokąd dokładnie mam się udać? Podana mi nazwę wyspy. Zapisałem ją sobie na wewnętrznej stronie okładki książki, która leżała koło łóżka. Nazwa wyspy brzmiała dziwnie znajomo.

- Musi pan polecieć samolotem z Aten na Rodos, a potem przesiąść się na prom. Dziennie są dwa kursy na wyspę, jeden rano i drugi wieczorem. Będę przychodziła do portu za każdym razem, kiedy przyplynie prom.

Przyjedzie pan?

- Myślę, że jakoś mi się uda. Tylko że... - zacząłem i wtedy połączenie zostało przerwane. Nagle, gwałtownie, jakby ktoś siekierą przeciął kabel. I znowu rozległo się to okropne trzeszczenie. Myśląc, że może znowu się połączymy, siedziałem chwilę ze słuchawką przy uchu, ale słyszałem tylko te zgrzyty. Odłożyłem słuchawkę i wstałem z łóżka. W kuchni nalałem sobie szklanek zimnego napoju jęczmiennego i oparłem się o lodówkę, usiłując pozbierać myśli.

Czy rzeczywiście zamierzałem wsiąść na pokład samolotu i polecieć aż do Grecji?

Odpowiedź brzmiała: tak. Nie miałem wyboru.

Zdjąłem z półki wielki atlas świata, by odnaleźć wyspę, o której mówiła Miu. Znajdowała się nieopodal Rodos, lecz niełatwo było odszukać ją wśród miriadów wysepek, którymi obsypane było Morze Egejskie. W końcu jednak zlokalizowałem, napisaną małym drukiem, nazwę miejsca, którego szukałem. Mała wyspa koło granicy tureckiej. Tak mała, że nie potrafiłem określić jej kształtu.

Wyjąłem z szuflady paszport i sprawdziłem, czy jest jeszcze ważny. Następnie zebrałem całą gotówkę, jaką

trzymałem w domu, i wepchnąłem ją do portfela. Nie było tego wiele, ale rano mogłem podjąć więcej. Miałem trochę pieniędzy na koncie i prawie nie tknąłem premii, którą dostałem na koniec roku szkolnego. To razem z kartą kredytową powinno wystarczyć na podróż do Grecji i z powrotem. Zapakowałem trochę ubrań w winylową torbę sportową, dorzuciłem przybory kosmetyczne. I dwie powieści Josepha Conrada, które zamierzałem powtórnie przeczytać. Zawahałem się przy kąpielówkach, w końcu spakowałem je również. Może po przyjeździe na miejsce i rozwiązaniu wszelkich problemów, kiedy już się okaże, że wszyscy są cali i zdrowi, a słońce wisi spokojnie na niebie, przed powrotem do domu będę mógł sobie raz czy dwa razy popływać. Co oczywiście okazałoby się najlepszym zakończeniem dla wszystkich zainteresowanych.

Po zebraniu tych rzeczy zgasłem światło, znowu przytuliłem głowę do poduszki i próbowałem usnąć. Dopiero minęła trzecia i do rana mogłem się jeszcze trochę zdrzemnąć. Nie udawało mi się jednak zasnąć. W mojej pamięci zachowało się wspomnienie tamtego ostrego trzeszczenia. Gdzieś w głębi świadomości słyszałem głos mężczyzny, wyszczekującego moje imię. Zapaliłem światło, znowu wstałem z łóżka, poszedłem do kuchni, zrobiłem mrożoną herbatę i ją wypilem. Potem odtworzyłem sobie w głowie całą rozmowę z Miu, każde słowo po kolei. Były niejasne, abstrakcyjne, pełne dwuznaczności. Przekazała mi jednak dwa fakty. Zapisałem oba w notesie.

1. *Coś się stało z Sumire. Ale co, tego Miu nie wie.*
2. *Muszę tam jak najszybciej pojechać. Miu uważa, że Sumire by tego chciała.*

Popatrzyłem na notes i podkreśliłem dwa sformułowania.

1. *Coś się stało z Sumire. Ale co, tego Miu nie wie.*
2. *Muszę tam jak najszybciej pojechać. Miu uważa, że Sumire by tego chciała.*

Nie potrafiłem sobie wyobrazić, co mogło się przydarzyć Sumire na tej małej greckiej wysepce. Byłem jednak pewien, że chodzi o coś złego. Pytanie brzmiało: jak złego? Aż do rana nie mogłem nic z tym począć. Usiadłem na krześle, położyłem nogi na stole i zacząłem czytać książkę, czekając na poranne światło. Wydawało mi się, że trwa to całą wieczność.

O świcie pojechałem metrem do Shinjuku, tam wskoczyłem do ekspresu do Narita i udałem się na lotnisko. O dziewiątej obszedłem kilka kas biletowych po to tylko, by się dowiedzieć, że między Narita a Atenami nie ma żadnych bezpośrednich lotów. W końcu na zasadzie prób 1 błędów udało mi się kupić miejsce w business class w rejsie linii KLM do Amsterdamu. Tam mogłem się przesiąść na samolot do Aten. Następnie z Aten miałem polecieć liniami krajowymi Olympic Airways na Rodos. Pracownicy KLM wszystko zorganizowali. Jeżeli nie powstaną żadne problemy, powinno mi się udać zsynchronizować te dwa połączenia. Był to najszybszy sposób

dotarcia na miejsce. Miałem bilet bez rezerwacji na lot powrotny i mogłem go wykorzystać w ciągu następnych trzech miesięcy. Zapłaciłem kartą kredytową. „Czy, ma pan coś do oclenia?” - spytano mnie. „Nie” - odparłem. Miałem jeszcze czas przed odlotem, zjadłem więc śniadanie w restauracji na lotnisku. Podjąłem trochę pieniędzy z konta i nabyłem czeki podróżne w dolarach amerykańskich. Następnie w księgarni kupiłem przewodnik po Grecji. Nie znalazłem w nim nazwy wyspy, którą mi podała Miu, ale i tak potrzebne mi były informacje na temat tego kraju - waluty, klimatu, podstawowe fakty. Poza znajomością historii starożytnej Grecji i dramatu klasycznego niewiele wiedziałem o tym miejscu. Mniej więcej tyle samo, co o geografii Jowisza albo działaniu systemu chłodzenia ferrari. Nigdy w życiu nie brałem pod uwagę możliwości wyjazdu do Grecji. Przynajmniej nie do drugiej rano tego dnia.

Tuż przed południem zadzwoniłem do jednej z koleżanek z pracy. Powiedziałem, że mojemu krewnemu przydarzył się wypadek, więc na jakiś tydzień muszę wyjechać z Tokio, i spytałem, czy do mojego powrotu mogłaby się zająć sprawami w szkole. „Nie ma problemu - odparła. - Już wiele razy pomagaliśmy sobie wcześniej w ten sposób, to żaden kłopot”.

- Dokąd jedziesz? - spytała.

- Na Shikoku - odpowiedziałem. Nie mogłem jej tak po prostu powiedzieć, że wybieram się do Grecji.

- Bardzo mi przykro. Tylko pamiętaj, żeby wrócić na czas przed rozpoczęciem nowego semestru. I przywieź mi jakiś drobiazg, dobrze?

- Oczywiście. - Później coś wymyślę.

Poszedłem do części businessclass, zatonąłem w fotelu i zapadłem w krótką, niespokojną drzemkę. Świat utracił swój rzeczywisty wymiar. Kolory stały się nienaturalne, szczegóły - niewyraźne. Tło było jak z *papier-mdche*, gwiazdy wyglądały jak zrobione z folii aluminiowej. Widziałem klej i główki gwoździ, którymi zostały przybite.

Przez moją świadomość przepływały teksty komunikatów nadawanych przez głośniki na lotnisku. „Wszyscy pasażerowie lotu 275 Air France udający się do Paryża...”.

W samym środku tego nielogicznego snu - czy też niepewnej jawy - pomyślałem o Sumire. Niczym film dokumentalny o minionych wiekach, w moim umyśle pojawiały się urywki chwil, które spędziliśmy razem, i miejsc, gdzie przebywaliśmy. W bieganinie panującej na lotnisku, w tłumie uwijających się pasażerów, świat, który dzieliłem z Sumire, wydawał mi się nędzny, bezradny, niepewny. Żadne z nas nie znało się na niczym, co naprawdę ma znaczenie, albo też nie umieliśmy tego zweryfikować. Nie mieliśmy żadnej solidnej podstawy, na której moglibyśmy się oprzeć. Byliśmy niemalże jak zero absolutne, dwie żalosne istoty ciskane z jednego stanu nieświadomości w drugi.

Obudziłem się, nieprzyjemnie zlany potem, koszula lepiała mi się do piersi. Moje ciało było bezwładne, nogi

spuchnięte. Czułem się tak, jakbym w całości połknął zachmurzone niebo. Pewnie wyglądałem blado, bo jedna ze stewardes spytała z troską, czy dobrze się czuję.

- Wszystko w porządku - odparłem - tylko ten upał mnie męczy.

- Ma pan ochotę napić się czegoś zimnego? - spytała.

Zastanawiałem się przez chwilę i poprosiłem o piwo.

Przyniosła mi schłodzony mokry ręczniczek, heinekena i paczuszkę solonych orzeszków. Otarłem spoconą twarz, wypilem pół piwa i od razu poczułem się lepiej. Udało mi się trochę przespać.

Samolot wystartował z Narita prawie punktualnie, kierując się na północ do Amsterdamu. Miałem ochotę jeszcze sobie pospać, więc wypilem dwie whisky, a kiedy się obudziłem, zjadłem niewielki obiad. Nie dopisywał mi zbyt duży apetyt, więc wcześniej zrezygnowałem ze śniadania. Nie chciałem myśleć o niczym, więc po przebudzeniu skoncentrowałem się na lekturze Conrada.

W Amsterdamie przesiadłem się do innego samolotu, przyleciałem do Aten, poszedłem na lotnisko krajowe i dosłownie po chwili przerwy wsiadłem na pokład samolotu lecącego na Rodos. Samolot był zapchany przez gromadę ożywionych młodych ludzi z niemalże wszystkich krajów świata. Wszyscy byli opaleni, ubrani w T-shirty albo podkoszulki na cienkich ramiączkach i dzinsy z obciętymi nogawkami. Większość młodych mężczyzn zapuszczała brody (albo zapomniała się ogolić) i miała potargane włosy związane w kucyk. W beżowych

spodniach, białej koszulce polo z krótkimi rękawami i ciemnoniebieskiej, bawełnianej marynarce wyglądałem niestosownie. Zapomniałem nawet o okularach przeciwsłonecznych. Ale jak można mnie było o to winić? Jeszcze nie tak ^y dawno temu siedziałem w swoim mieszkaniu w Kunitachi, zastanawiając się, co zrobić ze śmieciami. Na lotnisku na Rodos spytałem w informacji, gdzie mógłbym złapać prom na wyspę. Stał w porcie nieopodal. Jeżeli się pośpieszę, zdążę na wieczorny rejs. „Czy może zabraknąć biletów?” - spytałem dla pewności. Kobieta w nieokreślonym wieku i o spiczastym nosie, siedząca w informacji, zmarszczyła czoło i obojętnie machnęła ręką. „Zawsze znajdzie się miejsce dla jeszcze jednej osoby - odparła. - To nie winda”.

Złapałem taksówkę i pojechałem do portu. Powiedziałem kierowcy, że się śpieszę, lecz najwyraźniej mnie nie zrozumiał. W samochodzie nie było klimatyzacji, a przez opuszczone okno wpadało gorące, pełne kurzu powietrze. Kierowca przez cały czas ponuro rozwodził się łamaną, wulgarną angielszczyzną o eurodolarze. Wydawałem z siebie uprzejme odgłosy, by pokazać, że śledzę jego tok myślenia, lecz tak naprawdę wcale nie słuchałem. Zmrużonymi oczami spoglądałem na rozświetlony krajobraz Rodos przemykający za oknami. Niebo było bezchmurne, nie zanosiło się na deszcz. Słońce przypiekało kamienne ściany domów. Powykręcane drzewa przy drodze pokrywała warstwa kurzu, a w ich cieniu lub pod otwartymi

namiotami siedzieli ludzie spoglądający, niemalże bez słowa, na świat. Zacząłem się zastanawiać, czy znalazłem się we właściwym miejscu. Jednakże barwne tablice z greckimi napisami, reklamujące papierosy i ouzon i wypełniające pobocza całej drogi z lotniska do miasta, mówiły mi, że to niewątpliwie Grecja.

Wieczorny prom jeszcze stał w porcie. Był większy, niż sobie wcześniej wyobrażałem. Na rufie znajdowało się miejsce dla samochodów, a na pokładzie stały już dwie średniej wielkości ciężarówki pełne żywności i różnych innych artykułów oraz stary peugeot sedan, czekające na wypłynięcie z portu. Kupiłem bilet i wsiałem na pokład. Ledwo zdążyłem zająć miejsce na ławce, kiedy prom został odcumowany, a silniki włączyły się z rykiem. Westchnąłem i spojrzałem na niebo. Teraz musiałem tylko poczekać, aż prom zabierze mnie do mojego celu. Zdjąłem przepoconą, zakurzoną bawełnianą marynarkę, złożyłem ją i wepchnąłem do torby. Była piąta po południu, ale słońce wciąż stało wysoko na niebie, oślepiając swoim blaskiem. Owionął mnie wiatr dmący od dziobu pod płócienną markizą i powoli zacząłem się uspokajać. Ponure emocje, które targały mną w poczekalni na lotnisku w Narita, zniknęły. Pozostał po nich tylko gorzki posmak.

Na pokładzie znajdowało się niewielu turystów, co nasunęło mi myśl, że wyspa, na którą płynąłem, nie należy do popularnych miejsc wypoczynkowych. Więk-

szość pasażerów stanowili miejscowi, głównie starsi ludzie, którzy załatwili swoje sprawy na Rodos i teraz wracali do domu. Ich zakupy leżały starannie ułożone pod stopami, niczym delikatne zwierzęta. Twarze mieli głęboko poorane zmarszczkami i nieruchome, jakby prażące słońce i harówka trwająca przez całe życie pozbawiły ich mimiki.

Na pokładzie dostrzegłem też kilku młodych żołnierzy i dwóch podróżników-hipisów z ciężkimi plecakami w rękach. Obaj mieli chude nogi i ponury wyraz twarzy. Była też jedna grecka nastolatka w długiej spódnicy. Śliczna, o przepastnych, ciemnych oczach. Gawędziła z koleżanką, a jej długie włosy rozwiewały się na wietrze. W kącikach jej ust igrał lekki uśmiezek, jakby lada chwila miało się wydarzyć coś wspaniałego. Jej złote kolczyki lśniły w słońcu. Młodzi żołnierze stali przechyleni przez poręcz, paląc i co jakiś czas rzucając nonszalanckie spojrzenia w jej stronę.

Sączyłem lemoniadę, którą kupiłem w bufecie, i spoglądałem na intensywnie niebieskie morze i maleńkie wysepki, które mijaliśmy po drodze. Większość wyglądała raczej jak skały w morzu, całkowicie bezludne. Na ich szczytach przycupnęły białe ptaki morskie, obserwując wodę w poszukiwaniu ryb. Ignorowały nasz statek. Woda rozbijała się o podnóże klifów, tworząc oślepiający, biały mur. Co jakiś czas dostrzegałem zamieszkaną wyspę. Cała porośnięta mocnymi drzewami, jej wzgórza pokrywały domy o białych ścianach. W zatoczkach podskakiwały

i bujały się na falach, barwne łodzie, a ich wysokie maszty rysowały łuki w powietrzu.

Siedzący koło mnie pomarszczony staruszek poczęstował mnie papierosem. Odmówiłem, uśmiechając się i machając ręką, że nie palę. Zaproponował pasek miętowej gumy do żucia. Wziąłem ją z wdzięcznością i żując nadal spoglądałem na morze.

Było po siódmej, kiedy prom dopłynął do wyspy.

Oślepiające słońce już dawno minęło zenit, lecz niebo było równie jasne jak przedtem, letnie światło stawało się wręcz coraz bardziej intensywne. Nazwa wyspy, zupełnie jak na ogromnej tabliczce z nazwiskiem na drzwiach, była wypisana olbrzymimi literami na białej ścianie budynku w porcie. Prom podpłynął do nabrzeża i pasażerowie, jeden po drugim, z bagażem w rękach, zeszli pomostem. Naprzeciwko portu znajdowała się kawiarenka pod gołym niebem; siedzieli tam ludzie czekający na prom i wypatrujący osób, po które wyszli.

Kiedy tylko znalazłem się na ładzie, zacząłem się rozglądać za Miu, lecz nie napotkałem nikogo, kto by ją przypominał. Podeszło do mnie kilku właścicieli zajazdów pytając, czy szukam noclegu. „Nie, dziękuję” - odpowiadałem za każdym razem, kręcąc głową. Mimo to wszyscy przed odejściem dawali mi swoją wizytówkę.

Ludzie, którzy razem ze mną wysiedli z promu, rozpierzchli się na wszystkie strony. Wracający z zakupów ciężkim krokiem pomaszzerowali do domu, turyści udali się do hoteli i zajazdów. Gdy tylko wypatrzyli ich ludzie,

którzy czekali na swych wracających przyjaciół, następowały uściski, podawanie dłoni i wszyscy opuszczali port. Dwie ciężarówki i peugeot zostały rozładowane i z rykiem odjechały w dal. Nawet psy i koty, które z ciekawości zebrały się na nabrzeżu, wkrótce zniknęły. Została tylko grupa spalonych słońcem staruszków nie mających nic do roboty. I ja, ze sportową torbą w ręku, zupełnie nie na miejscu.

Usiadłem w kafejce, zamówiłem mrożoną herbatę i zacząłem się zastanawiać, co dalej. Miałem niewielki wybór. Noc szybko się zbliżała, a ja nie znałem tej wyspy ani jej topografii. Postanowiłem, że jeżeli za jakiś czas nikt po mnie nie przyjdzie, wynajmę gdzieś pokój, a rano wrócę do portu i może wtedy spotkam Miu. Zdaniem Sumire Miu była zorganizowaną kobietą, więc nie mogłem uwierzyć, że mnie wystawiła do wiatru. Skoro nie pojawiła się w porcie, to musiała mieć ważny powód. Może nie spodziewała się, że przyjadę tak szybko. Umierałem z głodu. Głód ten był tak ogromny, że miałem pewność, iż go widać. Zapewne całe to świeże morskie powietrze uświadomiło mojemu ciału, że od rana nie miałem nic w ustach. Nie chciałem przegapić nadejścia Miu, więc postanowiłem jeszcze trochę posiedzieć w kafejce. Co jakiś czas przechodził tubylec, zerkając na mnie z ciekawością.

W kiosku koło kawiarni kupiłem broszurkę po angielsku o historii i geografii wyspy. Przekartkowałem ją, sącząc niewiarygodnie pozbawioną smaku mrożoną

herbatę. Populacja wyspy wahała się między trzema a sześcioma tysiącami - w zależności od pory roku. Latem liczba mieszkańców rosła wraz z napływem turystów, malała zimą, kiedy ludzie wyjeżdżali w poszukiwaniu pracy. Nie istniał tu żaden przemysł, a rolnictwo ograniczało się do uprawy oliwek i kilku gatunków owoców. Miejscowi zajmowali się też rybołówstwem i wydobywaniem gąbek. Z tego właśnie powodu od początku dwudziestego wieku większość mieszkańców wyspy wyemigrowała do Ameryki - głównie na Florydę, gdzie mogli wykorzystać swoje umiejętności związane z łowieniem ryb i gąbek. Nawet znajdowało się tam miasteczko noszące nazwę tej wyspy.

Na szczycie wzgórz zainstalowano radar wojskowy. Koło portu cywilnego znajdował się drugi, mniejszy port, gdzie w doku stały wojskowe statki patrolowe. Grecy chcieli zapobiec nielegalnemu przekraczaniu pobliskiej granicy z Turcją i przemytowi, dlatego w miasteczku stacjonowali żołnierze. Za każdym razem, kiedy dochodziło do konfliktu z Turcją - drobne utarczki zdarzały się dość często - ruch w porcie się wzmagał.

Ponad dwa tysiące lat temu, kiedy grecka cywilizacja osiągnęła szczyt swojego rozwoju, ta wyspa, leżąca na głównej drodze do Azji, kwitła jako centrum handlu.

W tamtym okresie wzgórze były jeszcze porośnięte zielonymi drzewami, wykorzystywanymi w świetnie rozwijającym się przemyśle okrętowym. Kiedy jednak cywilizacja grecka zaczęła się chylić ku upadkowi, a wszystkie

drzewa wycięto (bujna roślinność nigdy już nie powróciła), wyspa szybko pogrążyła się w kryzysie ekonomicznym. W końcu wkroczyli Turcy. Według broszurki ich rządy były drakońskie. Jeśli coś im się nie spodobało, po prostu odcinali winnym uszy i nosy z równą łatwością, jak strzyże się drzewa. Pod koniec dziewiętnastego wieku, po niezliczonych krwawych bitwach, wyspa w końcu uniezależniła się od Turcji, a nad portem zawisła biało-niebieska flaga Grecji. Następnie przyszedł Hitler. Na szczycie wzgórz Niemcy zbudowali radar i stację meteorologiczną, które miały monitorować pobliskie morze, gdyż ze wzgórz był najlepszy widok. Angielskie siły artyleryjskie z Malty zbombardowały stację, a także port i wzgórze, zatapiając wielką liczbę niewinnych kutrów rybackich i zabijając nieszczęsnych rybaków. Podczas tego nalotu zginęło więcej Greków niż Niemców, dlatego niektórzy mieszkańcy starej daty dotąd nie mogą wybaczyć Anglikom tego incydentu. Podobnie jak na większości greckich wysp, tak i na tej znajdowała się niewielka równina, lecz znaczną część powierzchni zajmowały strome niedostępne wzgórza, a na wybrzeżu, na południe od portu, leżało tylko jedno miasteczko. Z dala od niego ciągnęła się piękna cicha plaża, lecz by do niej dotrzeć, należało pokonać strome wzgórze. W łatwo dostępnej okolicy nie było tak ładnych plaż i pewnie również z tego powodu większość turystów tkwiła w jednym miejscu. Na wzgórzach stało kilka prawosławnych klasztorów, w których panowała

bardzo surowa reguła, a mnisi nie wpuszczali przypadkowych osób.

O ile mogłem się zorientować, czytając tę broszurkę, była to dość typowa grecka wysepka. Jednakże z jakiegoś powodu Anglicy uznawali ją za szczególnie uroczą (Brytyjczycy doprawdy są nieco ekscentryczni) i w swym uwielbieniu dla tego miejsca na wzniesieniu nieopodal portu wybudowali kolonię letnich domków. Pod koniec lat sześćdziesiątych mieszkało tam kilku brytyjskich pisarzy, którzy tworzyli swe powieści, spoglądając na błękitne niebo i białe chmury. Niektóre z ich prac zyskały uznanie krytyki, co wśród brytyjskich literatów zapewniło wyspie reputację romantycznego zakątka. Jednak jej greckich mieszkańców nawet w najmniejszym stopniu nie obchodził ten szlachetny aspekt kultury wyspy. Przeczytałem to wszystko, by zapomnieć o głodzie. Zamknąłem broszurkę i znowu się rozejrzałem. Starszowie w kawiarni nie odrywali wzroku od morza, zupełnie jakby brali udział w konkursie na gapienie się. Dochodziła ósma, a mój głód przeradzał się w coś zbliżonego do fizycznego bólu. Skądś nadpłynął zapach pieczonego mięsa i grillowanej ryby i niczym dobroduszny oprawca ścisnął mnie za żołądek. Nie mogąc już tego znieść, wstałem. W chwili gdy wziąłem torbę i zacząłem się rozglądać za restauracją, przede mną bezszelestnie pojawiła się kobieta.

Promienie zachodzącego słońca padały prosto na postać schodzącą po kamiennych stopniach. Kobieta miała na sobie tenisówki, a jej nogi wyglądały bardzo dziewczęco. Była ubrana w lekką, zieloną bluzkę bez rękawów, białą spódnicę do kolan i kapelusz z wąskim rondem; na ramieniu niosła małą płócienną torbę. Jej sposób poruszania się był tak naturalny, tak zwyczajny, że wtapiała się w otoczenie i początkowo wziąłem ją za mieszkankę wyspy. Szła jednak prosto w moją stronę, a kiedy się zbliżyła, rozpoznałem azjatyckie rysy twarzy. Na wół odruchowo usiadłem, po czym ponownie wstałem. Kobieta zdjęła okulary przeciwsłoneczne i wymówiła moje imię.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała. - Musiałam iść na policję, a cała robota papierkowa zajęła dużo czasu. Nie przyszło mi do głowy, że przyjedzie pan już dzisiaj. Myślałam, że najprędzej jutro w południe.

- Udało mi się zsynchronizować wszystkie połączenia - odparłem. Na policję? - przemknęło mi przez głowę. Miu spojrzała prosto na mnie i uśmiechnęła się lekko.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, to może pójdziemy coś zjeść i tam porozmawiamy. Dzisiaj jadłam tylko śniadanie. A pan? Jest pan głodny?

- Jeszcze jak - odparłem.

Zaprowadziła mnie do tawerny w bocznej uliczce koło portu. Przy wejściu stał grill węglowy, na którego kracie piekły się wszelkiego rodzaju świeżutkie owoce morza.

„Lubi pan ryby?” - spytała, a ja potaknąłem. Miu powiedziała coś do kelnera, składając zamówienie łamanym greckim. Najpierw przyniósł karafkę białego wina, chleb i oliwki. Bez żadnych toastów czy innych ceregieli nalaliśmy sobie wina i zaczęliśmy pić. Zjadłem trochę chleba i parę oliwek, by uspokoić skurcze żołądka. Miu była piękna. W pierwszej chwili uznałem to za prosty i jasny fakt. Nie, może jednak nie był on tak prosty i jasny. Może znalazłem się pod straszliwie mylnym wrażeniem lub z jakiegoś powodu zostałem wciągnięty w sen innej osoby, na który nie miałem żadnego wpływu. Kiedy się teraz nad tym zastanawiam, nie mogę wykluczyć tej możliwości. Jedno mogę powiedzieć na pewno: w tamtej chwili uznałem ją za wyjątkowo śliczną kobietę. Na szczupłych palcach miała kilka pierścionków. Jednym z nich była zwykła złota obrączka. Podczas gdy pośpiesznie próbowałem pod względem intelektualnym uporządkować moje pierwsze doznania, Miu spoglądała na mnie swymi łagodnymi oczami, co jakiś czas upijając łyk wina.

- Mam wrażenie, że już się kiedyś spotkaliśmy - powiedziała. - Pewnie dlatego, że ciągle o panu słyszę.

- Sumire również opowiadała mi dużo o pani.

Miu się rozpromieniła. Kiedy się uśmiechała, i tylko wtedy, w kącikach jej oczu pojawiały się urocze delikatne zmarszczki.

- W takim razie pewnie możemy sobie darować oficjalne formy.

Kiwnąłem głową.

W Miu najbardziej podobało mi się to, że nie próbowała ukryć swojego wieku. Według Sumire musiała mieć jakieś trzydzieści osiem-dziewięć lat. I rzeczywiście - na tyle wyglądała. Ze swą szczupłą, zgrabną figurą i lekkim makijażem z łatwością mogła uchodzić za dwudziestoparolatkę, lecz najwyraźniej wcale jej na tym nie zależało. W naturalny sposób ujawniała swój wiek, akceptowała go takim, jaki był, i żyła z nim w zgodzie.

Włożyła sobie do ust oliwkę, ujęła ogonek palcami i - niczym poeta doskonale panujący nad interpunkcją - z wdziękiem odłożyła go do popielniczki.

- Przepraszam, że zadzwoniłam w środku nocy - powiedziała. - Żałuję, że nie mogłam wtedy wszystkiego wytłumaczyć, ale byłam za bardzo zdenerwowana i nie wiedziałam, od czego zacząć. Nadal jeszcze nie całkiem się uspokoiłam, ale mój początkowy niepokój nieco się zmniejszył.

- Co takiego się stało? - spytałem.

Miu położyła obie ręce na stole, odsunęła je od siebie, po czym zbliżyła z powrotem.

- Sumire zniknęła.

- Zniknęła?

- Rozwiała się jak dym. - Miu upiła łyk wina. - To długa historia - ciągnęła - więc lepiej zacznę od początku i opowiem ją we właściwej kolejności, inaczej umkną mi niektóre niuanse. Sama historia jest dosyć delikatna. Ale

najpierw zjedzmy. W tej chwili już nie liczy się każda sekunda, a z pustym żołądkiem trudno o jasność umysłu. Poza tym trochę tu za głośno na rozmowę.

Restauracja była pełna Greków, którzy gestykulowali i zachowywali się hałaśliwie. By nie musieć do siebie krzyczeć, Miu i ja pochyliśmy się ku sobie nad stołem, niemalże stykając się czołami podczas rozmowy. Kelner przyniósł kopiasty talerz sałatki greckiej i ogromną rybę z grilla. Miu lekko posoliła swoją porcję, wycisnęła na nią pół cytryny i skropiła oliwą z oliwek. Zrobiłem to samo. Przez jakiś czas skupiliśmy się na jedzeniu. Jak powiedziała Miu, zawsze należy zaczynać od tego, co najważniejsze. Najpierw musieliśmy zaspokoić głód. Spytała, jak długo mogę zostać. Odparłem, że nowy semestr zaczyna się za tydzień, więc do tej pory muszę wrócić. Inaczej będę miał nieprzyjemności. Miu rzeczowo kiwnęła głową. Zaciśnęła wargi, najwyraźniej nad czymś się zastanawiając. Nie powiedziała niczego tak oczywistego, jak: „Nic się nie martw, do tej pory zdążysz wrócić”, ani: „Ciekawe, czy do tej pory wszystko załatwimy”. Doszła do własnego wniosku, który schowała gdzieś w głębi szuflady, po czym w milczeniu wróciła do jedzenia.

Po kolacji, przy kawie, Miu poruszyła temat opłaty za przelot.

- Czy mogłabym ci zwrócić w czekach podróży?
- spytała. - Mogę też po twoim powrocie do Tokio przelać pieniądze w jenach na twoje konto. Co wolisz?
120

- Nie brakuje mi pieniędzy - odparłem. - Mogę sam płacić za siebie. - Ale Miu nalegała na zwrot kosztów.

- Przyjechałeś tu na moją prośbę - powiedziała. Pokręciłem głową.

- Nie staram się być uprzejmy. Nieco później pewnie sam bym przyjechał. To właśnie próbuję ci wytłumaczyć. Miu zastanawiała się przez chwilę, po czym kiwnęła głową.

- Jestem ci bardzo wdzięczna. Nawet nie potrafię wyrazić, jak bardzo.

Kiedy wyszliśmy z restauracji, niebo było barwną paletą kolorów. Wydawało się, że przy każdym oddechu powietrze zabarwia płuca na ten sam odcień błękitu. Zaczęły migotać maleńkie gwiazdki. Nie mogąc się doczekać końca tego długiego letniego dnia, miejscowi wyszli na wieczorny spacer po porcie. Rodziny, pary, grupki przyjaciół. Ulice spowijał delikatny zapach przy-
pływu. Miu i ja ruszyliśmy przez miasto. Po prawej strome ulicy ciągnął się szereg sklepów, hotelików i re-
stauracji ze stolikami wystawionymi na chodnik. W ok-
nach przesłoniętych drewnianymi okiennicami paliły się
cieple żółte światła, a z radia sączyły się dźwięki greckiej
muzyki. Po lewej strome rozpościerało się morze, ciemne
fale łagodnie rozbijały się o nabrzeże.

- Niedługo droga zacznie iść pod górę - powiedziała Miu. - Możemy wybrać albo strome schody, albo łagodne
zbocze. Schodami będzie szybciej. Jak uważasz?

- Niech będzie - odparłem.

Wąskie kamienne stopnie biegly równolegle do zbocza wzgórza. Były długie i strome, lecz stopy Miu obute w tenisówki nie zdradzały oznak zmęczenia; ani na chwilę nie zmniejszyła tempa. Tuż przede mną rąbek jej spódnicy kołysał się uroczo z boku na bok. Jej opalone, kształtne łydki lśniły w blasku księżyca w niemal idealnej pełni. Na początku trochę się zasapałem i musiałem przystanąć, żeby wziąć kilka głębokich oddechów. Kiedy tak posuwaliśmy się w górę, światła w porcie stawały się coraz mniejsze i coraz bardziej odległe. Wszystkie czynności, jakie wykonywali ludzie znajdujący się tak niedaleko, zostały wchłonięte w tę anonimową linię światła. Był to imponujący widok, coś, co chciałbym wyciąć nożyczkami i wkleić do albumu swojej pamięci.

Miu i Sumire mieszkały w małym domu z werandą wychodzącą na morze. Białe ściany i dach wyłożony czerwonymi dachówkami, drzwi pomalowane ciemnoniebieską farbą. Bujne pnącza czerwonej bugenwilli zarastały niski murek otaczający dom. Miu otworzyła drzwi i zaprosiła mnie do środka.

W domu panował przyjemny chłód. Znajdował się tam salon, jadalnia średniej wielkości i kuchnia. Ściany były pokryte białą sztukaterią i wisiało na nich kilka abstrakcyjnych obrazów. W salonie stał komplet wypoczynkowy, regał i sprzęt stereo. Dom mieścił jeszcze dwie sypialnie i małą, ale czystą, wyłożoną kafelkami łazienkę. Meble nie były zbyt atrakcyjne, po prostu wygodne.

Miu zdjęła kapelusz i położyła torbę na kuchennym blacie.

- Napijesz się czegoś? - spytała. - A może najpierw masz ochotę wziąć prysznic?

- Chyba najpierw wezmę prysznic - powiedziałem. Umyłem głowę i się ogoliłem. Wysuszyłem włosy i przebrałem się w świeży T-shirt i szorty. Poczułem się już prawie normalnie. Pod lustrem w łazience zobaczyłem dwie szczoteczki do zębów: niebieską i czerwoną. Byłem ciekaw, która należy do Sumire.

Wróciłem do salonu, gdzie znalazłem Miu w fotelu, z kieliszkiem koniaku w ręku. Zaproponowała mi to samo, ja jednak wolałem zimne piwo. Wziąłem z lodówki amstela i nalełem go sobie do wysokiej szklanki. Miu, zatopiona w fotelu, milczała przez długi czas. Nie sprawiała takiego wrażenia, jakby szukała właściwych słów, raczej pograżyła się w osobistych wspomnieniach bez początku i końca.

- Jak długo tu jesteś? - zagailem.

- Dzisiaj mija ósmy dzień - powiedziała po chwili zastanowienia.

- I Sumire zniknęła właśnie tutaj?'

- Tak. Jak powiedziałam wcześniej, rozwinęła się jak dym.

- Kiedy to się stało?

- Nocą, cztery dni temu - odparła, rozglądając się po pokoju, jakby szukała podpowiedzi. - Nie wiem, od czego zacząć.

- Sumire pisała mi w listach o wyjeździe z Paryża do Mediolanu - powiedziałam. - A potem o podróży pociągiem do Burgundii. Zatrzymałyście się w wielkim domu znajomego w jakiejś burgundzkiej wiosce.
- W takim razie od tego zacznę swą opowieść - powiedziała Miu.
- Od **lat** znam producentów z tamtych okolic i ich wina tak dobrze, jak rozkład własnego domu. Wiem, jakie wino powstanie z winogron rosnących na konkretnym stoku w konkretnej winnicy. Wiem, jak pogoda w danym roku może wpłynąć na smak wina, którzy producenci pracują najciężej, który syn najbardziej pomaga swemu ojcu. Jakie pożyczki zaciągnęli niektórzy z nich, kto kupił nowego citroena. Tego rodzaju rzeczy. Handel winem jest jak hodowla rasowych zwierząt: trzeba znać pochodzenie i najświeższe nowinki. Nie można prowadzić interesów tylko na podstawie wiedzy, co smakuje dobrze, a co źle. Miu urwała na chwilę, by zaczerpnąć powietrza. Najwyraźniej nie mogła się zdecydować, czy kontynuować, czy nie. W końcu zaczęła:
- W Europie jest kilka miejsc, w których kupuję, ale moi główni dostawcy mieszkają w tej wiosce w Burgundii. Staram się przynajmniej raz w roku spędzić tam sporo

czasu, by odświeżyć stare przyjaźnie i zdobyć najnowsze informacje. Zawsze jeżdżę sama, ale tym razem najpierw odwiedziłyśmy Włochy, więc zdecydowałam się zabrać Sumire ze sobą. Czasami podczas takich wyjazdów wygodniej mieć ze sobą towarzysza podróży, a poza tym poleciłam jej nauczyć się włoskiego. Ostatecznie jednak doszłam do wniosku, że wolę jechać sama, i zamierzałam znaleźć jakąś wymówkę, by wrócić do domu przed moim wyjazdem do Francji. Od czasów młodości przywykłam do podróżowania w pojedynkę, a niezależnie od stopnia zażyłości niełatwo jest przebywać z kimś dzień po dniu. Sumire była zaskakująco zaradna, załatwiała dla mnie wiele drobiazgów. Kupowała bilety, robiła rezerwacje w hotelach, negocjowała ceny, prowadziła rachunki, wyszukiwała dobre miejscowe restauracje. Tego rodzaju sprawy. Jej włoski bardzo się poprawił, podobała mi się jej zdrowa ciekawość, dzięki której doświadczałam rzeczy, jakich nigdy bym nie przeżyła w samotności. Ze zdumieniem odkryłam, jak łatwo przebywać z drugą osobą. Myślę, że czułam tak, bo zbliżyło nas do siebie coś niezwykłego. Doskonale pamiętam, kiedy się poznałyśmy i rozmawiałyśmy o sputnikach. Ona mówiła o pisarzach-bitmkach, a mnie się pomyliły słowa i powiedziałam „sputnik”. Śmiałyśmy się z tego i to przełamało pierwsze lody. Wiesz, co po rosyjsku oznacza „sputnik”? „Towarzystwo podróży”. Nie tak dawno temu sprawdziłam ten wyraz w słowniku. Dziwny zbieg okoliczności, jak się nad

tym zastanović. Ciekawe, dlaczego Rosjanie nadali swojemu satelicie taką dziwną nazwę. To tylko nieszczęsny kawałek metalu krążący wokół Ziemi.

Miu milczała przez chwilę, po czym podjęła wątek.

- W każdym razie zabrałam Sumire do Burgundii.

Podczas gdy ja odwiedzałam starych znajomych i załatwiałam interesy, Sumire, której francuski był do niczego, wypożyczyła samochód i jeździła po okolicy. W jednym miasteczku przez przypadek poznała pewną bogatą starszą panią, Hiszpankę. Zaczęły gawędzić po hiszpańsku i zaprzyjaźniły się. Ta pani przedstawiła Sumire pewnemu Anglikowi, który zatrzymał się w ich hotelu. Był bardzo wyrafinowanym i przystojnym pisarzem po pięćdziesiątce i z pewnością gejem. Miał sekretarza, który, zdaje się, był jego chłopcem.

Zaprosili nas na kolację. Podczas bardzo miłej rozmowy okazało się, że mamy wspólnych znajomych.

Odniosłam wrażenie, że spotkałam bratnie dusze.

Ten Anglik powiedział nam, że ma mały dom na greckiej wyspie, i z wielką przyjemnością by nas tam zaprosił.

Zawsze korzystał z niego przez jeden miesiąc latem, ale w tym roku nie pozwalała mu na to praca. „W domu należy mieszkać, gdyż inaczej dozorcóm nie chce się pracować”

- powiedział. Jeżeli więc nie sprawi nam to kłopotu, możemy z niego korzystać. To znaczy - z tego domu.

Min obrzuciła pokój spojrzeniem.

Kiedy uczyłam się w college'u, pojechałam do Grecji. Była to jedna z owych zwariowanych wycieczek, podczas których skacze się z portu do portu, a jednak zakochałam się w tym kraju. Dlatego zaproszenie do pustego domu na greckiej wyspie i propozycja, żebyśmy zamieszkały w nim tak długo, jak tylko zechcemy, wydały mi się niezwykle pociągające. Sumire też z radością skorzystała z okazji. zaproponowałam uczciwą cenę za wynajęcie domu, ale Anglik odmówił, twierdząc, że nie interesuje go wynajmowanie. Próbowaliśmy jeszcze wysuwać pomysły rewanżu i w końcu stanęło na tym, że w formie podziękowania przyślę mu do Londynu skrzynkę czerwonego wina.

Życie na wyspie było jak sen. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów mogłam pojechać na prawdziwe wakacje, nie musząc się przejmować planem zajęć. Komunikacja jest tu dość niedogodna - sam się przekonałam o straszliwych połączeniach telefonicznych - i nie ma faksów ani Internetu. Mój nieco późniejszy powrót do Tokio mógł przysporzyć paru osobom niewielkich problemów, ale kiedy się tu znalazłam, straciło to dla mnie wszelkie znaczenie.

Codziennie wstawaliśmy wcześnie, pakowaliśmy do torby ręczniki, wodę i olejek do opalania i szliśmy na plażę po drugiej stronie gór. Tutejsze wybrzeże jest tak piękne, że aż zapiera dech w piersiach. Piasek jest czystutki i biały i prawie nie ma fal. Plaża znajduje się nieco na uboczu, więc przychodzi tam niewiele osób,

zwłaszcza rano. Wszyscy, mężczyźni i kobiety, pływają nago. My też. Fantastycznie jest pływać rankiem w czystym, niebieskim morzu, nago jak w dniu narodzin.

Człowiek czuje się jak w innym świecie.

Kiedy zmęczyło nas pływanie, kładliśmy się na plaży i się opalałyśmy. Początkowo nagość trochę nas krępowała, ale kiedy już się do niej przyzwyczaiłyśmy, problem przestał istnieć. Myślę, że działała na nas energia tego miejsca. Nawzajem smarowałyśmy sobie plecy olejkami do opalania, wylegiwałyśmy się na słońcu, czytałyśmy, drzemałyśmy, gawędziłyśmy. Czułam się naprawdę wolna.

Potem wracałyśmy przez góry do domu, brałyśmy prysznic, robiłyśmy sobie prosty posiłek, po czym schodziłyśmy schodami do miasta. W kafejce w porcie wypijałyśmy herbatę i czytałyśmy angielskie gazety. Kupowałyśmy w sklepie jedzenie, szłyśmy do domu i aż do wieczora spędzałyśmy czas tak, jak miałyśmy na to ochotę - czytając na werandzie czy słuchając muzyki. Czasami Sumire zamykała się w swoim pokoju, pewnie pisała. Słyszałam, jak otwiera swojego powerbooka i stuka w klawisze.

Wieczorami wypuszczaliśmy się do portu, by popatrzeć na przyplływający prom. Brałyśmy sobie jakiś chłodny napój i przyglądałyśmy się ludziom schodzącym z pokładu.

Siedziałyśmy sobie cicho na skraju świata i nikt nas nie widział. Tak właśnie się czułyśmy - jakbyśmy były tu jedynymi ludźmi. Nie musiałyśmy myśleć o niczym

innym. Nie chciało mi się ruszać z miejsca, jechać gdzie indziej. Chciałam tu zostać już na zawsze. Wiedziałam, że to niemożliwe - nasze życie tutaj było jedynie chwilową iluzją, a któregoś dnia rzeczywistość miała nas zaciągnąć z powrotem do świata, z którego przybyłyśmy. Ale aż do tej pory chciałam się w pełni cieszyć każdym dniem, nie martwiąc się o nic. Kochaliśmy życie tutaj. Zmieniło się to cztery dni temu.

Czwartego ranka jak zwykle poszły na plażę, kąpały się nago, wróciły do domu i znowu wybrały się do portu. Kelner w kafejce już je pamiętał - pomogły mu w tym hojne napiwki, jakie zostawiała Miu - i powitał je ciepło. Wygłosił uprzejmą uwagę na temat tego, jak pięknie wyglądały. Sumire poszła do kiosku i kupiła egzemplarz angielskiej gazety wydawanej w Atenach. Była to jedyna rzecz łącząca je ze światem zewnętrznym. Zadaniem Sumire było czytanie gazety. Sprawdziała kursy walut, tłumaczyła i czytała na głos najważniejsze wiadomości lub jakiś ciekawy artykuł, na który się natknęła.

Tekst, który Sumire wybrała tego szczególnego dnia, był reportażem o siedemdziesięcioletniej kobiecie zjedzonej przez własne koty. Zdarzyło się to na przedmieściach Aten. Zmarła straciła jedenaście lat wcześniej męża, biznesmena, i od tamtej pory wiodła ciche życie w dwupokojowym mieszkaniu z kilkoma kotami jako jedynymi przyjaciółmi. Pewnego dnia staruszka dostała zawału, padła twarzą w dół na kanapę i zmarła. Nie

wiadomo, ile czasu minęło od ataku do śmierci. W każdym razie jej dusza przeszła wszystkie etapy i pożegnała się ze swym starym towarzyszem, ciałem, które zamieszkiwała przez siedemdziesiąt lat. Kobieta nie miała żadnej rodziny ani znajomych, którzy by ją regularnie odwiedzali, dlatego ciało odkryto dopiero po tygodniu. Drzwi były zamknięte, okna zasłonięte okiennicami, więc koty nie mogły wydostać się na zewnątrz po śmierci ich właścicielki. W mieszkaniu nie było żadnego jedzenia. Pewnie coś tam znajdowało się w lodówce, lecz koty nie potrafią otwierać drzwi lodówki. Umierając z głodu, pożarły ciało swej pani. Co jakiś czas upijając łyk kawy, Sumire po kawałku przetłumaczyła cały artykuł. Wokół stołu bzyczało kilka pszczoł, szykujących się do zlizania dżemu, który rozlał poprzedni klient. Miu spoglądała przez okulary na morze, słuchając uważnie Sumire.

- I co się stało potem? - spytała.

- To już koniec - powiedziała Sumire i położyła gazetę na blacie stołu, składając ją na pół. - Napisane jest tylko tyle.

- Co się mogło stać z tymi kotami?

- Nie wiem... - Sumire lekko się skrzywiła z namysłem. - Wszystkie gazety są takie same. Nigdy nie mówią tego, czego człowiek naprawdę chciałby się dowiedzieć. Pszczoły, jakby coś wyczuwając, wzbily się w powietrze; z ceremonialnym brzęczeniem chwilę pokrażyły, po czym z powrotem siadły na stole. Wróciły do zlizywania dżemu.

- Ciekawe, jaki był los tych kotów - powiedziała Surriire, ciągnąc za kołnierzyk za dużego T-shirtu i wygładzając załamania. Do tego T-shirtu włożyła szorty, ale - Miu przypadkowo o tym wiedziała - pod spodem nie miała bielizny. - Koty, które raz posmakowały ludzkiego mięsa, mogą wyrosnąć na ludożerców, więc pewnie zostały zgładzone. A może policjanci powiedzieli: „Ech, chłopaki, dość już się nacierpieliście” i zostały uniewinnione.
- A co ty byś zrobiła, gdybyś była burmistrzem albo szefem policji w tamtym miasteczku? Sumire przez chwilę się zastanawiała.
- Może zamknęłabym je w poprawczaku i poddała resocjalizacji? Zrobiła z nich wegetarian?
- Niezły pomysł. - Miu się roześmiała. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i zwróciła się twarzą do Sumire. - Ta historia przypomina mi pierwszy wykład, jaki usłyszałam, kiedy zaczęłam chodzić do gimnazjum katolickiego. Mówiłam ci, że przez sześć lat uczyłam się w bardzo surowej katolickiej szkole dla dziewcząt? Przedtem uczęszczałam do zwykłej podstawówki, ale moje gimnazjum było właśnie taMe. Tuż po ceremonii dla pierwszoklasistek zgrzybiała, stara zakonnica zebrała nas w audytorium i wygłosiła mowę o katolickiej etyce. Była Francuzką, ale płynnie mówiła po japońsku. Opowiadała o różnych rzeczach, ale najlepiej zapamiętałam historię o kotach i bezludnej wyspie.
- To brzmi interesująco - powiedziała Sumire.

- Jesteś rozbitkiem, lądujesz na bezludnej wyspie.
W łodzi ratunkowej znalazłeś się tylko ty i kot. Przez jakiś czas dryfujecie i w końcu dopływacie do bezludnej, skalistej wyspy, gdzie nie rośnie nic jadalnego. I nie ma pitnej wody. W łodzi ratunkowej został zapas sucharków i wody na dziesięć dni dla jednej osoby i nic poza tym. Tak brzmiała ta historia.

Zakonnica rozejrzała się po audytorium i powiedziała mocnym, wyraźnym głosem: „A teraz zamknijcie oczy i wyobraźcie sobie tę scenę. Lądujecie na bezludnej wyspie z kotem. To wyspa gdzieś na końcu świata. Jest prawie niemożliwe, by ktoś was uratował w ciągu dziesięciu dni. Kiedy skończy się jedzenie i woda, możecie umrzeć. Co byście zrobiły? Kot cierpi tak samo jak wy. Czy powinniśmy się z nim podzielić skąpymi zapasami żywności?”. Siostra znowu zamilkła i popatrzyła po naszych twarzach. „Nie. To byłby błąd - podjęła. - Chcę, żebyście zrozumiały, że podzielenie się pożywieniem z kotem byłoby niewłaściwe. Powodem jest to, że wy jesteście cennymi istotami, wybrańcami Boga, a kot nie. Dlatego powinniście zjeść wszystko same”. - Zakonnica miała śmiertelnie poważny wyraz twarzy.

Początkowo myślałam, że to jakiś żart. Czekałam na pointę. Ta jednak się nie pojawiła. Zakonnica zmieniła temat na godność i wartość człowieka, lecz ja już nie słuchałam. Jaki był sens opowiadać taką historię dzieciom, które dopiero zaczęły chodzić do szkoły? Nie mogłam tego zrozumieć - i nadal nie mogę.

Sumire się zadumała.

- Czy w takim razie uważasz, że na koniec byłoby w porządku zjeść kota?

- Nie wiem. Nie zaszła aż tak daleko.

- Jesteś katoliczką?

Miu pokręciła głową.

- Tak się złożyło, że ta szkoła znajdowała się blisko mojego domu, i dlatego do niej poszłam. Podobały mi się też mundurki. Byłam tam jedyną nie-Japonką.

- Miałaś jakieś złe doświadczenia?

- Dlatego, że byłam Koreanką?

- Tak.

Miu znowu pokręciła głową.

- Moja szkoła była całkiem liberalna. Panowały tam dość surowe zasady, a niektóre z sióstr były nieco ekscentryczne, ale ogólnie atmosfera była postępową, więc nie, nigdy nie stałam się ofiarą uprzedzeń. Za-
przyjaźniłam się z paroma osobami i mogę powiedzieć, że generalnie dobrze się tam czułam. Przeżyłam kilka przykrych chwil, ale stało się to po tym, jak wyszłam do świata rzeczywistego. Nie ma w tym jednak nic niezwykłego - takie rzeczy zdarzają się większości z nas.

- Podobno w Korei jada się koty. Czy to prawda?

- I ja tak słyszałam, ale nie robi tego żaden z moich znajomych.

Była najbardziej upalna pora dnia, wczesne popołudnie, więc rynek niemal całkiem opustoszał. Większość

mieszkańców zamknęła się w chłodnych domach i ucięła sobie drzemkę. O tej porze na ulice wypuszczali się tylko ciekawscy obcokrajowcy.

Na rynku stał pomnik narodowego bohatera. Prowadził on rewolucję w kontynentalnej części Grecji i walczył z Turkami, którzy panowali na wyspie, lecz został pojmany i skazany na śmierć przez nabicie na pal. Turcy ustawili na rynku zaostrzony pal i opuścili nań nagiego nieszczęśnika. Pal powolutku przechodził przez jego odbył i dotarł aż do ust. Bohater umierał wiele godzin. Pomnik wzniesiono prawdopodobnie na miejscu kaźni. Kiedy go postawiono, dumny posąg z brązu musiał wyglądać imponująco, lecz po latach, za sprawą wiatru znad morza, kurzu i odchodów mew, ledwo można było rozpoznać rysy twarzy mężczyzny. Tubyłcy już nie uważali zniszczonego pomnika, a on sam wyglądał, jakby odwrócił się plecami do świata.

- A jeśli już mowa o kotach - wyrzuciła z siebie Sumire - to sama mam bardzo dziwne wspomnienie.

Kiedy byłam w drugiej klasie, mieliśmy bardzo ładnego, półrocznego szylkretowego kotka. Pewnego wieczora czytałam książkę na werandzie, kiedy nagle kot zaczął jak szalony biegać wokół pnia ogromnej, starej sosny w ogrodzie. Koty często tak się zachowują. W pobliżu nic nie widać, a one nagle zaczynają prychać, wyginają grzbiet i odskakują do tyłu ze zjeżoną sierścią i podniesionym ogonem w pozycji „do ataku”.

Kot był bardzo zdenerwowany, więc nie zauważył, iż patrzę na niego z werandy. Widok ten był tak dziwny, że odłożyłam książkę i zaczęłam obserwować zwierzaka. Kot ani na chwilę nie ustawał w swej samotnej grze. Właściwie w miarę upływu czasu coraz bardziej się nakręcał. Jak opętany.

Sumire upiła łyk wody i lekko podrapała się w ucho.

- Im dłużej się temu przyglądałam, tym większy mnie ogarniał strach. Kot widział coś, czego ja nie mogłam dostrzec, a cokolwiek to było, doprowadzało go do szału. W końcu zaczął z ogromną prędkością okrążyć drzewo - zupełnie jak ten tygrys z bajki. Wreszcie, po długim czasie, wskoczył na pień. Widziałam, jak wysoko, pomiędzy gałęzi wygląda jego mały pyszczek. Zawołałam go z werandy po imieniu, ale mnie nie usłyszał.

W końcu słońce schowało się za horyzont i zerwał się zimny jesienny wiatr. Siedziałam na werandzie, czekając, aż kot zejdzie. Był to bardzo towarzyski kotek, więc myślałam, że po jakimś czasie w końcu zeskoczy. On jednak tkwił tam nadal. Już nawet nie słyszałam jego miauczenia. Robiło się coraz ciemniej. Przestraszyłam się i o wszystkim powiedziałam rodzicom. „Nic się nie martw - powiedzieli. - Daj mu spokój, a niedługo na pewno sam zejdzie". Ale on już nie wrócił.

- Jak to: „nie wrócił"? - spytała Miu.

- Po prostu zniknął. Rozwiązał się jak dym. Wszyscy mi mówili, że w nocy kot pewnie zszedł z drzewa i gdzieś sobie powędrował. Koty często dostają szału, wdrapują

się na drzewo, a potem ogarnia je strach, kiedy widzą, jak wysoko siedzą, i boją się zejść. Takie rzeczy zdarzają się bardzo często. Powiedzieli, że gdyby jeszcze tam siedział, to miauczałby z całych sił, żebym go usłyszała. Mnie to jednak nie przekonywało. Uważałam, że kot pewnie uczeplił się gałęzi i jest tak wystraszony, że nawet nie może miauczeć. Po powrocie ze szkoły usiadłam na werandzie, spojrzałam na sosnę i zaczęłam go co jakiś czas wołać. Żadnej reakcji. Po tygodniu się poddałam. Kochałam tego kotka, więc było mi bardzo smutno. Za każdym razem, kiedy mój wzrok padał na tę sosnę, wyobrażałam sobie to nieszczęsne stworzonko, zmarznęte na kość, ciągle uczeplone gałęzi. Donikąd nie poszedł, umierał tam z głodu i pragnienia. Sumire spojrzała na Miu.

- Już nigdy potem nie miałam kota. Nadal je lubię, ale wtedy postanowiłam, że ten biedny kotek, który wdrapał się na drzewo i już nie wrócił, będzie moim pierwszym i ostatnim. Nie mogłabym go zapomnieć i pokochać innego.

- O tym właśnie rozmawialiśmy tamtego popołudnia w kawiarni - zakończyła Miu swą opowieść. - Myślałam, że to tylko niewinne wspomnienia, ale teraz wszystko to wydaje mi się znaczące. Zresztą, może to tylko moja wyobraźnia.

Miu odwróciła się i wyjrzała przez okno. Wiatr znad morza poruszał zasłonami ułożonymi w fałdy. Kiedy tak spoglądała w mrok, w pokoju zdawała się zapadać jeszcze głębsza cisza.

- Czy mogę cię o coś spytać? Przepraszam, że zbaczam z tematu, ale męczy mnie to już od dłuższego czasu
- zacząłem. - Powiedziałaś, że Sumire zniknęła, że, jak się wyraziłaś, „rozwiąła się jak dym”. Cztery dni temu. I poszłaś na policję. Zgadza się?

Miu kiwnęła głową.

- Dlaczego poprosiłaś mnie o przyjazd, zamiast skontaktować się z jej rodziną?

- Nie miałam pojęcia, co mogło się z nią stać. I nie wiedziałam, czy bez konkretnych dowodów powinnam niepokoić jej rodziców. Przez jakiś czas strasznie się męczyłam i w końcu postanowiłam poczekać i zobaczyć, co będzie dalej.

Próbowałam sobie wyobrazić, jak przystojny ojciec Sumire wsiada na prom płynący na tę wyspę. Czy towarzyszyłaby mu jej macocha, niewątpliwie zaniepokojona sytuacją? Powstałoby niezłe zamieszanie. Jeśli jednak chodzi o mnie, zamieszanie już powstało. Jak na tak małej wyspie obcokrajowiec mógł zniknąć na cztery dni?

- Ale dlaczego zadzwoniłaś właśnie do mnie?

Miu złączyła swe gołe nogi, ujęła w palce brzeg spódnicy i ją obciągnęła.

' - Mogłam liczyć tylko na ciebie.

- Przecież nawet mnie nie znałaś.

- Sumire ufała ci bardziej niż komukolwiek innemu.

Mówiła, że niezależnie od tematu, zawsze jesteś bardzo dociekliwy.

137

- Obawiam się, że to opinia mniejszości moich znajomych.

Miu uśmiechnęła się i zmrużyła oczy, a w ich kącikach pojawiły się charakterystyczne małe zmarszczki.

Wstałem, zbliżyłem się do niej i wziąłem jej pusty kieliszek. Poszedłem do kuchni, nalałem trochę courvoisiera i wróciłem do salonu. Podziękowała i wzięła ode mnie koniak. Czas płynął, zasłony cicho falowały. Powiew wiatru niósł ze sobą zapach jakiegoś innego miejsca.

- Czy rzeczywiście chcesz znać prawdę? - spytała.

Sprawa miała wrażenie wyczerpanej, jakby w końcu podjęła trudną decyzję.

Podniosłem wzrok i spojrzałem na jej twarz.

- Jedno mogę powiedzieć z całkowitą pewnością

- odparłem. - Gdybym nie chciał znać prawdy, nie byłoby mnie tutaj.

Miu zerknęła z ukosa na zasłony. W końcu odezwała się cichym głosem:

- Zdarzyło się to nocą tego dnia, kiedy w kawiarni rozmawialiśmy o kotach.

Po rozmowie w portowej kawiarni Miu i Sumire poszły na zakupy, a następnie wróciły do wsi. Jak zwykle odpoczywały aż do kolacji. Sumire w swoim pokoju pisała na laptopie. Miu leżała na kanapie w salonie,

z rękoma założonymi za głowę i zamkniętymi oczami, słuchając ballad Brahmsa w wykonaniu Juliusa Katchena. Był to stary longplay, lecz wykonanie zachwycało wdziękiem, nastrojowością i zapadało głęboko w pamięć. Było niezwykle ekspresyjne i ani trochę nie agresywne.

- Czy ta muzyka ci nie przeszkadza? - spytała Miu, zaglądając przez otwarte na oścież drzwi pokoju Sumire.

- Brahms nigdy mi nie przeszkadza - odparła Sumire, odwracając się.

Wtedy po raz pierwszy Miu widziała Sumire piszącą z takim skupieniem. Usta miała zaciśnięte jak u polującego zwierzęcia, a oczy ciemniejsze niż zwykle.

- Co piszesz? - spytała Miu. - Kolejną sputnikową powieść?

Napięcie wokół ust Sumire nieco się rozluźniło.

- Nic takiego. Takie tam pomysły, które mi przyszły do głowy i które może kiedyś wykorzystam.

Miu wróciła na kanapę i z powrotem zatonęła w miniaturowym świecie, jaki w popołudniowym świetle rysowała muzyka. Byłoby cudownie - zadumała się - umieć tak pięknie grać Brahmsa. W przeszłości zawsze miałam problemy z jego drobniejszymi dziełami, zwłaszcza z balladami, nigdy nie potrafiłam ulec temu światu kapryśków, ulotnych niuansów i westchnień. Teraz jednak powinnam grać go piękniej niż przedtem. Ale Miu wiedziała: Niczego już nie mogę zagrać. Nigdy więcej.

O wpół do siódmej przygotowały kolację w kuchni i zjadły ją na werandzie. Zupa z dorady i wonnych ziół,

sałata i chleb. Wypiły trochę białego wina, a później gorącą kawę. Patrzyły na kuter, który pojawił się od strony zawietrznej wyspy i wpływając do portu, zakreślił krótki, biały łuk. Niewątpliwie na rybaków czekał w domach gorący posiłek.

- A tak przy okazji, kiedy stąd wyjeżdżamy? - spytała Sumire, myjąc naczynia.

- Chciałabym zostać jeszcze tydzień, ale dłużej nie dam rady - odparła Miu, spoglądając w kalendarz wiszący na ścianie. - Gdybym mogła żyć po swojemu, zostałabym tu już na zawsze.

- Ja też, gdybym mogła żyć po swojemu - powiedziała Sumire, rozpromieniając się. - Ale cóż poradzić? Wszystko, co piękne, musi się kiedyś skończyć.

Zgodnie z ustalonym porządkiem, przed dziesiątą udały się do swoich pokoi. Miu przebrała się w białą bawełnianą piżamę z długim rękawem i usnęła, gdy tylko położyła głowę na poduszce. Wkrótce jednak się obudziła, jakby ze snu wyrwało ją bicie własnego serca. Spojrzała na budzik turystyczny koło łóżka: minęło wpół do pierwszej. W pokoju panowały egipskie ciemności i całkowita cisza. Wyczuła czyjąś obecność, ktoś chował się w pobliżu, wstrzymując oddech. Miu podciągnęła kołdrę aż pod brodę i nadstawiła uszu. Jej serce dudniło głośno, zagłuszając wszystkie inne dźwięki. Nie był to tylko zły sen, który przesączył się na jawę - bez wątpienia ktoś znajdował się z nią w pokoju. Uważając, by nie

narobić hałasu, Miu wyciągnęła rękę i na kilka centymetrów odsunęła zasłonę. Do środka wkradło się światło bladego, wodnistego księżycy. Leżąc cicho, ogarnęła wzrokiem pokój.

Kiedy jej oczy przyzwyczyły się do mroku, dostrzegła zarysy czegoś, co stopniowo stawało się widoczne w kącie pokoju. W cieniu szafy za drzwiami, tam gdzie mrok był najgłębszy. Cokolwiek to było, leżało zwinięte w zwarty kłębek, niczym ogromny, dawno temu porzucony worek na listy. Zwierzę? Duży pies? Ale drzwi wejściowe były zamknięte na klucz, a drzwi do jej pokoju na klamkę. Pies nie dostałby się do środka.

Miu oddychała cicho, nie spuszczać wzroku z tego stworzenia. W ustach jej zaschło, czuła lekki zapach koniaku, który wypila przed pójściem spać. Wyciągnęła rękę i jeszcze trochę przesunęła zasłonę, by wpuścić więcej światła.

Powoli, jakby rozwijała kłębek splątanej nici, dojrzała kształt czarnej bryły na podłodze. Wyglądała na ludzkie ciało. Włosy postaci zwisały z przodu, dwie chude nogi były zgięte pod ostrym kątem. Ktoś siedział na podłodze, skulony, z głową między nogami, zwinięty w kłębek, jakby chciał się uchronić przed czymś lecącym z nieba.

Była to Sumire. W tej samej co zawsze niebieskiej piżamie, przycupnęła jak zuczek między drzwiami a szafą. Nie poruszała się. Z tego, co Miu widziała, nawet nie oddychała.

Miu wydała z siebie westchnienie ulgi. Ale co, u diabła, Sumire robiła w jej pokoju? Miu usiadła cicho i włączyła

lampę. Żółte światło zalało całe pomieszczenie, lecz Sumire ani drgnęła. Najwyraźniej nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że światło się pali.

- Co się stało,? - zawołała Miu. Najpierw cichutko, potem trochę głośniej.

Nie usłyszała żadnej odpowiedzi. Zupełnie jakby jej głos w ogóle nie dotarł do Sumire. Miu wstała z łóżka i podeszła do niej. Dywan pod bosymi stopami był szorstki.

- Źle się czujesz? - spytała Miu, kucając przy Sumire. Wciąż żadnej odpowiedzi.

Miu zauważyła, że Sumire coś trzyma w ustach. Była to różowa myjka, która zawsze wisiała w łazience. Miu próbowała ją wyciągnąć, ale Sumire mocno zaciskała szczęki. Oczy miała otwarte, lecz niewidzące. Wreszcie Miu się poddała i położyła rękę na jej ramieniu. Piżama Sumire była cała przemoczona.

- Lepiej zdejmij tę piżamę - powiedziała Miu. - Jesteś taka spocona, że jeszcze się przeziębisz.

Sumire wyglądała jak oszołomiona i ślepa. Miu postanowiła zdjąć jej piżamę, inaczej Sumire przemarzłaby na kość. Był sierpień, lecz niekiedy na wyspie panowały chłodne noce. Obie codziennie pływały nago i już przywykły do widoku swoich ciał, więc Miu doszła do wniosku, że Sumire nie będzie miała nic przeciwko temu. Podtrzymując ją, Miu rozpięła Sumire piżamę i po paru chwilach udało jej się zdjąć górę. Potem spodnie.

Sztywne ciało Sumire stopniowo się rozluźniło i w końcu całkiem sflaczało. Miu wyjęła jej myjkę z ust. Była cała mokra od śliny i nosiła ślady idealnego zgryzu.

Sumire pod pizamą nie miała majtek. Miu złapała leżący nieopodal ręcznik i otarła jej ciało z potu. Najpierw plecy, potem pod pachami i klatkę piersiową. Wytarła jej brzuch, a następnie bardzo szybko okolice między talią a udami. Sumire siedziała bezwolnie, poddając się bez oporu tym zabiegom. Sprawiała wrażenie nieprzytomnej, chociaż Miu zajrzawszy jej w oczy, dostrzegła błysk świadomości.

Nigdy przedtem nie dotykała nagiego ciała Sumire. Skóra dziewczyny była napięta i gładka jak u małego dziecka. Podnosząc ją, Miu przekonała się, że Sumire jest cięższa, niż mogłoby się wydawać; pachniała potem. Wycierając go z jej ciała, Miu znowu poczuła dudnienie własnego serca. W ustach zbierała jej się ślina, którą musiała co chwila połykać.

Skapane w świetle księżycy ciało Sumire połyskiwało niczym antyczne naczynie z ceramiki. Piersi miała małe, lecz kształtne, z ładnie uformowanymi sutkami; czarne włosy łonowe były mokre od potu i lśniły jak trawa pokryta poranną rosą. Jej bezwładne, nagie ciało całkowicie różniło się od tego, które Miu widywała w oślepiającym słońcu na plaży. Ciało to łączyło w sobie cechy wciąż jeszcze dziewczęce z rodzącą się dojrzałością, nieuchronnie nadchodzącą wraz z bolesnym upływem czasu.

Miu miała wrażenie, jakby podglądała czyjś sekret, coś zabronionego, czego nie powinna widzieć. Ścierając pot z ciała Sumire, starała się nie patrzeć na jej nagą skórę, cały czas odgrywając sobie w wyobraźni utwór Bacha, który pamiętała jeszcze z dzieciństwa. Odgarnęła przepoconą grzywkę przyklejoną do czoła Sumire. Nawet wewnątrz jej małych uszu było pokryte warstewką potu. Miu poczuła, jak ręka Sumire cicho obejmuje jej ciało. Jej szyję owionął oddech dziewczyny.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

Sumire nie odpowiedziała, ale jej uścisk nieco się wzmacnił. Na wpół ją niosąc, Miu zaprowadziła Sumire do własnego łóżka. Położyła ją i z powrotem zaciągnęła zasłony. Sumire leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami.

Miu obserwowała ją przez pewien czas, lecz Sumire ani drgnęła. Zdawało się, że zasnęła. Miu poszła do kuchni i wypła kilka szklanek wody mineralnej. Parę razy odetchnęła głęboko i jakoś udało jej się uspokoić. Serce przestało dudnić, chociaż klatka piersiowa jeszcze ją bolała od napięcia ostatnich kilku chwil. Wszystko wokół niej spowijała dławiąca cisza. Żadnych głosów czy choćby szczekania psa. Żadnych fal czy szumu wiatru. Miu się zastanawiała, dlaczego panuje tak śmiertelny bezruch.

Poszła do łazienki, wzięła przepoconą piżamę Sumire, ręcznik, którym ją wytarła, i myjkę ze śladami zębów

i wrzuciła wszystko do kosza z brudną bielizną. Umyła twarz i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Od przyjazdu na wyspę nie farbowała włosów, które teraz były białutkie jak świeży śnieg.

Kiedy wróciła do swojego pokoju, Sumire miała otwarte oczy. Wyglądały jak przesłonięte cienką warstwą przejrzystej mgły, lecz pojawił się w nich błysk świadomości. Leżała z kołdrą podciągniętą do ramion.

- Przepraszam. Czasami dostaję takiego napadu - powiedziała matowym głosem.

Miu usiadła w rogu łóżka, uśmiechnęła się, wyciągnęła rękę i dotknęła jeszcze wilgotnych włosów Sumire.

- Powinnaś wziąć długi, porządny prysznic. Bardzo się spociłaś.

- Dzięki - powiedziała Sumire. - Chciałabym tylko tu poleżeć.

Miu kiwnęła głową, podała jej świeży ręcznik kąpielowy, wyjęła z komody własną czystą piżamę i położyła ją koło Sumire.

- Możesz ją włożyć. Pewnie nie masz drugiej, co?

- Mogę dziś tu spać?

- Dobrze. Tylko już śpij. Ja przenocuję w twoim łóżku.

- Pewnie jest całe przepecone. Kołdra, wszystko. Poza tym nie chcę być sama. Nie zostawiaj mnie tu. Mogłabyś się przespać koło mnie? Tylko dzisiaj? Już nie chcę mieć koszmarów.

Miu zastanawiała się przez chwilę, po czym kiwnęła głową.

- Ale najpierw włóż tę piżamę. Wolałabym, żebyś nie leżała koło mnie nago - zwłaszcza w tak małym łóżku. Sumire podniosła się powoli i odrzuciła kołdrę. Wstała całkiem naga i szarpnęła piżamę Miu. Pochyliła się i wciągnęła spodnie, a potem górę. Minęło trochę czasu, zanim udało jej się zapiąć wszystkie guziki. Jej palce nie poruszały się sprawnie. Miu nie pomogła jej, tylko siedziała, patrząc. Sumire zapinała piżamę z taką uwagą, że Miu odebrała to jako niemalże religijną ceremonię. W świetle księżycy jej sutki wyglądały na dziwnie twarde. Może jest dziewicą, pomyślała nagle Miu.

Sumire ubrała się w jedwabną piżamę i z powrotem weszła do łóżka, zajmując jego najdalszy koniec. Miu położyła się koło niej, nadal czując silny zapach potu.

- Czy mogę się na chwilę przytulić? - spytała Sumire.

- Przytulić?

- Tak.

Podczas gdy Miu zastanawiała się nad odpowiedzią, Sumire wyciągnęła rękę i ujęła jej dłoń. Ręka Sumire nadal była spocona, ciepła i miękka. Obu ramionami objęła Miu. Jej piersi przywarły do ciała Miu tuż nad brzuchem. Wcisnęła policzek między piersi przyjaciółki. Leżały tak przez dłuższy czas. Sumire lekko drżała. Pewnie płacze, pomyślała Miu. Najwyraźniej jednak Sumire nie mogła zapłakać na głos. Miu otoczyła ją ramieniem i przyciągnęła bliżej do siebie. To jeszcze dziecko, pomyślała. Samotne i wystraszone, potrzebuje ciepła. Jak ten kotek uczepiony gałęzi drzewa.

Sumire podciągnęła się nieco wyżej. Czubkiem nosa otarła się o szyję Miu. Ich piersi przywarły do siebie. Miu głośno przełknęła ślinę. Dłoń Sumire błędziła po jej plecach.

- Bardzo cię lubię - powiedziała cichutko Sumire.

- Ja też cię lubię - odparła Miu, nie wiedząc, co dodać. Mówiła prawdę.

Palce Sumire zaczęły rozpinać górę od pizamy Miu.

Miu próbowała ją powstrzymać, lecz Sumire nie ustąpiła.

- Tylko troszeczkę - powiedziała. - Proszę, tylko troszeczkę.

Miu leżała, nie opierając się. Palce Sumire delikatnie śledziły zarys jej piersi. Nosem przesuwiała tam i z powrotem po jej szyi. Dotknęła sutka Miu, pogłaskała go lekko i ujęła w dwa palce. Początkowo z wahaniem, potem śmieiej.

Miu przerwała swoją opowieść. Podniosła wzrok i badawczo na mnie spojrzała. Miała lekko zarumienione policzki.

- Muszę ci coś wyjaśnić. Dawno temu przeżyłam coś niezwykłego i wtedy zupełnie osiwiłam. W ciągu jednej nocy, całkowicie. Od tamtej pory farbuję sobie włosy.

Sumire o tym wiedziała, a ponieważ na tej wyspie farbowanie włosów jest zbyt kłopotliwe, przestałam to robić. Nikt mnie tu nie zna, więc nie ma to znaczenia.

Wiedząc jednak, że przyjedziesz, znowu je ufarbowałam. Nie chciałam podczas pierwszego spotkania wyrzucić na tobie złego wrażenia.

Następne minuty upłynęły w ciszy.

- Nigdy przedtem nie miałam homoseksualnych doświadczeń i nigdy nie uważałam, że mogę mieć takie skłonności. Pomyślałam jednak, że ustąpię, skoro Sumire tego pragnie. W każdym razie nie wydawało mi się to odrażające. To znaczy, jeśli miałam to robić z Sumire. Nie opierałam się więc, kiedy zaczęła mnie pieścić ani kiedy włożyła mi język do ust. Było to dziwne uczucie, ale starałam się do niego przyzwyczaić. Pozwalałam jej robić wszystko, na co miała ochotę. Lubiłam Sumire, a jeżeli dzięki temu czuła się szczęśliwa, to nie sprzeciwiałam się. Jednak moje ciało i umysł to dwie różne rzeczy.

Z jednej strony cieszyłam się, że Sumire pieści mnie z taką czułością. Z drugiej jednak, choć mój umysł się radował, ciało stawiało opór. Nie chciało się jej poddać. Moje serce i głowa były podniecone, lecz cała reszta przypominała twardą, suchą skałę. To smutne, ale nic nie mogłam na to poradzić. Oczywiście Sumire zdała sobie z tego sprawę. Była zarumieniona i lekko wilgotna, ja jednak nie reagowałam.

Powiedziałam jej, jak się czuję. „Nie odrzucam cię - wyjaśniłam - ale po prostu nie potrafię robić takich rzeczy”. Odkąd, czternaście lat temu, przydarzyło mi się tamto, nie potrafiłam oddać się fizycznie nikomu na tym świecie. Nie mam na to żadnego wpływu, taka decyzja zapadła gdzieś indziej. Powiedziałam jej, że jeżeli mogę coś zrobić, wiesz, palcami czy językiem, to zrobię. Ale ona nie chciała. Już o tym wiedziałam.



Pocałowała mnie w czoło i przeprosiła.

- Po prostu tak bardzo cię lubię - powiedziała.

- Męczyło mnie to tak długo, że musiałam spróbować.

- Ja też cię lubię - odparłam. - Więc o nic się nie martw. Nadal chcę być z tobą.

Zupełnie jakby pękła tama, Sumire rozplakała się w poduszkę. Głaskałam ją po nagich plecach, od ramion aż do talii, czując pod palcami wszystkie kości. Chciałam płakać razem z nią, ale nie mogłam.

I wtedy przyszło mi coś do głowy. Co prawda jesteśmy dla siebie nawzajem doskonałymi towarzyszami podróży, lecz ostatecznie przypominamy samotne bryły metalu krążące po osobnych orbitach. Z oddali wyglądamy jak piękne spadające gwiazdy, które jednak w rzeczywistości są więzieniami, gdzie każda z nas tkwi zamknięta samotnie, zmierzając donikąd. Kiedy przecinają się orbity tych satelitów, możemy się spotkać. Może nawet otworzyć przed sobą serca. Ale tylko na krótką chwilę. Już w następnej pograżamy się w absolutnej samotności. Dopóki nie spłonimy i nie obrócimy w nicłość.

- Sumire wyplakała się, wstała, podniosła z podłogi swoją piżamę i z powrotem ją włożyła - ciągnęła Miu.

- Powiedziała, że chce zostać sama i wraca do swojego pokoju. „Nie roztrzęsaj tego - poradziłam jej. - Jutro jest nowy dzień, wszystko będzie jak przedtem. Sama zobaczysz”. „Też tak myślę”, powiedziała Sumire. Wychyliła się do przodu i przytuliła policzek do mojego. Był mokry

i ciepły. Chyba szepnęła mi coś do ucha, lecz tak cichutko, że nie mogłam zrozumieć słów. Już miałam spytać, co powiedziała, kiedy się odwróciła.

Sumire wytarła łzy ręcznikiem kąpielowym i zostawiła go w pokoju. Zamknęłam drzwi, z powrotem zagrzebałam się w pościeli i zamknęłam oczy. Myślałam, że po takim doświadczeniu trudno mi będzie usnąć, ale, co dziwne, usnęłam niemal natychmiast.

Kiedy obudziłam się o siódmej rano następnego dnia, Sumire nie było w domu. Może wstała wcześniej - albo w ogóle nie kładła się spać - i poszła sama na plażę. Pewnie chciała jakiś czas pobyć w samotności. Dziwne, że nie zostawiła żadnej wiadomości, lecz mając w pamięci minioną noc, pomyślałam, że nadal musi być dość zdenerwowana i oszołomiona.

Uprałam jej pościel i wywiesiłam, by wyschła, po czym usiadłam z książką na werandzie, czekając na powrót Sumire. Minał cały ranek, ona jednak się nie pojawiła. Martwiłam się, więc przeszukałam jej pokój, chociaż wiedziałam, że nie powinnam. Obawiałam się, że może opuściła wyspę, lecz jej walizki nadal stały otwarte, paszport był w torebce, a w kącie pokoju suszyły się skarpetki i kostium kąpielowy. Na biurku leżały rozrzucone monety, notes i pęk kluczy. Jeden z nich był do drzwi frontowych naszego domu.

Wszystko to wydawało mi się dziwne. Za każdym razem, kiedy wybierałyśmy się na plażę, na drogę przez

góry wkładałyśmy solidne tenisówki, na kostiumy narzucałyśmy T-shirty, a do płóciennej torby chowałyśmy ręczniki i wodę mineralną. Ona zostawiła wszystko - torbę, buty i kostium kąpielowy. Brakowało tylko pary tanich sandałów, kupionych w miejscowym sklepie, i cienkiej jedwabnej piżamy, którą jej pożyczyłam. Nawet gdyby zamierzała tylko przejść się, nie wyszłaby na długo ubrana w ten sposób, prawda?

Po południu wyruszyłam na poszukiwania. Zrobiłam kilka rundek po najbliższej okolicy, poszłam na plażę, po czym zaczęłam w tę i z powrotem przemierzać ulice miasteczka i wreszcie wróciłam do domu. Nigdzie nie znalazłam Sumire. Słońce już zachodziło i zapadała noc. Zerwał się wiatr. Przez całą noc słyszałam szum fal. Budził mnie najcichszy dźwięk. Nie zamknęłam na klucz drzwi wejściowych. Przyszedł świt, a Sumire nadal nie było. Jej łóżko wyglądało tak, jak je zostawiła. Poszłam więc na posterunek policji koło portu.

Opowiedziałam wszystko jednemu z policjantów, jedynemu, który znał angielski. „Zaginęła dziewczyna, która ze mną podróżowała - powiedziałam. - Nie ma jej od dwóch nocy”. Nie potraktował mnie poważnie. „Pani znajoma na pewno wróci - odparł. - Takie rzeczy zdarzają się bardzo często. Tutaj wszyscy się wyluzowują. Mamy lato, turyści są młodzi, czego można się spodziewać?”.

Następnego dnia poszłam tam ponownie i tym razem poświęcili mi nieco więcej uwagi. Nie wyglądało jednak

na to, by zamierzali cokolwiek z tym zrobić. Zadzwoiłam do japońskiej ambasady w Atenach i przedstawiłam całą sytuację. Na szczęście mężczyzna, z którym rozmawiałam, okazał się życzliwy. Stanowczym tonem powiedział coś po grecku szefowi policji i policjanci wreszcie rozpoczęli śledztwo.

Nie mieli żadnego punktu zaczepienia. Przesłuchali ludzi w porcie i w naszej wiosce, lecz nikt nie widział Sumire. Kapitan promu i mężczyzna, który sprzedawał bilety, nie przypominali sobie, by w ciągu ostatnich paru dni jakaś młoda Japonka wsiadała na prom. Sumire musiała nadal znajdować się na wyspie. Przede wszystkim nie miała przy sobie pieniędzy, więc nie mogła kupić biletu. Na tak małej wysepce młoda Japonka wędrująca w pizamie po okolicy nie umknęłaby niczyjej uwagi. Policjanci przesłuchali też parę Niemców, którzy tamtego ranka długo pływali w morzu. Nie widzieli żadnej Japonki - ani na plaży, ani na pobliskiej drodze. Policjanci obiecali mi, że zrobią, co w ich mocy, i myślę, że dotrzyмали słowa. Czas jednak mijał, a oni nie wpadli na żaden trop. Miu wzięła głęboki oddech i na wpół ukryła twarz w dłoniach.

- Mogłam już tylko zadzwonić do ciebie do Tokio i poprosić cię o przyjazd. Odchodziłam od zmysłów. Wyobraziłem sobie Sumire, wędrującą samotnie urwistymi wzgórzami w jedwabnej pizamie i plażowych sandałach.

152



- Jakiego koloru była ta piżama? - spytałem.
 - Jakiego była koloru? - powtórzyła Miu z niepewnym wyrazem twarzy.
 - Ta piżama, którą Sumire miała na sobie, gdy zniknęła.
 - Jakiego była koloru? Nie jestem pewna. Kupiłam ją w Mediolanie i ani razu nie zdążyłam jej włożyć. Jakiś jasny kolor. Może jasnozielona? Bardzo cienka, bez kieszeni.
 - Chciałbym, żebyś jeszcze raz zadzwoniła do ambasady w Atenach i poprosiła, żeby kogoś tu przysłali. Nalegaj na to. Potem niech ambasada skontaktuje się z rodzicami Sumire. Przeżyją szok, ale nie można dłużej tego przed nimi ukrywać.
- Miu lekko kiwnęła głową.
- Jak wiesz, Sumire niekiedy zachowuje się dość ekstrawagancko - powiedziałem - i robi szalone rzeczy, ale nie wyjechałaby bez słowa na cztery dni. Nie jest aż tak nieodpowiedzialna. Nie zniknęłaby, gdyby nie miała ważnego powodu. Nie wiem, jaki to powód, ale musiał być istotny. Może wpadła do studni gdzieś na wsi i teraz czeka, aż ktoś ją znajdzie. Może ktoś ją porwał albo zamordował i gdzieś zakopał. Młoda dziewczyna włączająca się nocą w piżamie - wszystko mogło się zdarzyć. W każdym razie musimy opracować plan działania. Ale najpierw prześpijmy się z tym. Jutro czeka nas długi dzień.
 - Myślisz, że Sumire... mogła... się zabić? - spytała Miu.
 - Nie możemy tego wykluczyć. Ale w takim wypadku napisałaby list. Nie zostawiłaby po sobie takiego bałaganu,

żebyś musiała po niej sprzątać. Lubiała cię i wiem, że uszanowałyby twoje uczucia.

Miu przez jakiś czas patrzyła na mnie ze splecionymi rękoma.

- Naprawdę -tak uważasz?
- Oczywiście. - Kiwnąłem głową. - Ona już taka jest.
- Dziękuję. To właśnie najbardziej chciałam usłyszeć.

Miu zaprowadziła mnie do pokoju Sumire. Pozbawiony wszelkich elementów ozdobnych, przypominał mi duży sześcian. Stało tam małe drewniane łóżko, biurko, szafa i niewielka toaleta. W nogach łóżka leżała średniej wielkości czerwona walizka. Z frontowego okna otwierał się widok na wzgórze w oddali. Na biurku znajdował się nowiutki powerbook firmy Macintosh.

- Trochę posprzątałam, żebyś mógł tu przenocować.

Kiedy zostałem sam, nagle ogarnęła mnie senność.

Zbliżała się północ. Rozebrałem się i wszedłem pod kołdrę, ale nie mogłem usnąć. Pomyślałem, że jeszcze nie tak dawno temu w tym łóżku spała Sumire. Nadal czułem podniecenie wywołane długą podróżą. Uderzyła mnie myśl, że wyruszyłem w podróż bez końca.

W łóżku przemyślałem sobie wszystko, co mi opowiedziała Miu, sporządziłem w pamięci listę ważnych punktów, ale mój umysł odmawiał współpracy. Uporządkowane myślenie znajdowało się poza zasięgiem moich możliwości. Doszedłem do wniosku, że zostawię to do jutra. Ni z tego, ni z owego w mojej wyobraźni pojawił

się obraz języka Sumire w ustach Miu. Zapomnij o tym, nakazałem swojemu mózgowi. To też odłóż do jutra. Ale szansę na to, że następny dzień okaże się lepszy od minionego, niestety były mizerne. Ponure myśli donikąd mnie nie zaprowadzą, pomyślałem i zamknąłem oczy. Wkrótce zapadłem w głęboki sen.

Kiedy się obudziłem, Miu nakrywała do stołu na werandzie, przygotowując śniadanie. Było wpół do dziewiątej i słońce zalewało świat swym blaskiem. Usiedliśmy i zjedliśmy śniadanie, spoglądając na jasne morze. Były tosty, jajka i kawa. Ze stoku w stronę wybrzeża spływały dwa białe ptaki. Nieopodal grało radio, prezenter mówił coś szybko, czytając po grecku wiadomości.

Moją głowę wypełniło dziwne odrętwienie spowodowane zmianą strefy czasowej. Nie potrafiłem znaleźć granicy między tym, co realne, a co jedynie takie się wydawało. Oto siedziałem na greckiej wyspie, jedząc śniadanie z piękną kobietą w średnim wieku, którą poznałem zaledwie dzień wcześniej. Ta kobieta kochała Sumire. Nie czuła jednak wobec niej pożądania. Sumire kochała tę kobietę i jej pożądała. Ja zaś kochałem Sumire i jej pożądałem. Sumire lubiła mnie, ale nie kochała ani nie pożądała. Ja pożądałem kobiety, która pozostanie

anonimowa, ale jej nie kochałem. Sytuacja była tak skomplikowana, jak żywcem wyjęta ze sztuki egzystencjalistów. Wszyscy zabrnęliśmy w ślepią uliczkę i nie mieliśmy żadnego wyjścia. A Sumire już zeszła ze sceny. Miu ponownie napełniła kawą moją filiżankę. Po-dziękowałem jej.

- Lubisz Sumire, prawda? - spytała. - To znaczy jako kobietę.

Lekko kiwnąłem głową, smarując tost masłem. Było zimne i twarde i minęło trochę czasu, zanim zdążyłem je rozprowadzić po toście. Podniosłem wzrok i dodałem:

- Oczywiście na to się nie ma wpływu. To przychodzi samo.

W milczeniu wróciliśmy do śniadania. Skończyły się wiadomości radiowe i rozległa się grecka muzyka. Wiatr przybrał na sile i zaczął potrząsać bugenwillą. Jeśli się wyężyło wzrok, można było w oddali dojrzeć grzywiaste fale przy brzegu.

- Długo się nad tym zastanawiałam i doszłam do wniosku, że powinnam od razu pojechać do Aten - powiedziała Miu, obierając pomarańczę. - Przez telefon pewnie niczego nie załatwię, więc lepiej pójdę prosto do ambasady i porozmawiam z nimi osobiście. Może ktoś stamtąd zgodzi się przyjechać tu ze mną, albo zaczekam, aż rodzice Sumire przyjadą do Aten i wrócę razem z nimi. W każdym razie chciałabym, żebyś został tu tak długo, jak tylko zdołasz. Policja zechce zapewne się ze

mną skontaktować, no i zawsze istnieje taka szansa, że Sumire wróci. Zrobiłbyś to dla mnie?

- Oczywiście - odparłem.
- Pójdę znowu na policję i sprawdzę, jak idzie śledztwo, a potem wsiądę na prom na Rodos. Podróż do Aten i z powrotem trochę potrwa, więc najprawdopodobniej zarezerwuję pokój w hotelu i zatrzymam się tam na parę dni.

Kiwnąłem głową.

Miu skończyła obierać pomarańczę i starannie wytarła ręce serwetką.

- Poznałeś rodziców Sumire?
- Nie, nigdy - odrzekłem.

Miu westchnęła jak wiatr gdzieś na końcu świata.

- Ciekawe, jak ja im to wszystko wytłumaczę. Rozumiałem jej niepewność. Jak można wytłumaczyć niewytłumaczalne?

Zeszliśmy razem do portu. Miu wzięła małą torbę z ubraniami na zmianę, torebkę na ramię firmy Mila Shón i włożyła skórzane buty na obcasie. Wstąpiliśmy na posterunek policji. Powiedzieliśmy, że jestem krewnym Miu, który przypadkowo znalazł się w okolicy. Jeszcze nie wpadli na żaden trop.

- Ale wszystko jest w porządku - tłumaczyli pogodnym tonem. - Nie ma powodów do zmartwienia. Niech się państwo rozejrzą. To bardzo spokojna wyspa. Oczywiście zdarzają się tu przestępstwa - kłótnie kochanków, pijacy, awantury na tle politycznym. W końcu mamy do

czynienia z ludźmi, a wszędzie jest tak samo. Ale to tylko miejscowe konflikty. W ciągu ostatnich piętnastu lat na tej wyspie ani jeden obcokrajowiec nie padł ofiarą przestępstwa.

Bardzo możliwe, że mówili prawdę, gdy jednak przyszło do wyjaśnienia sprawy zaginięcia Sumire, nie mieli nic do powiedzenia.

- W północnej części wybrzeża znajduje się duża wapienna jaskinia - zasugerował jeden z policjantów.

- Jeżeli tani weszła, to może nie potrafi znaleźć wyjścia. Tam jest jak w labiryncie. Ale to bardzo, bardzo daleko. Dziewczyna nie pokonałaby takiej odległości.

- Czy mogła utonąć? - spytałem.

Policjanci pokręcili głowami. „Tutaj nie ma silnych prądów - powiedzieli. - Pogoda w zeszłym tygodniu była łagodna, morze spokojne. Codziennie mnóstwo rybaków wypływa na połów, więc gdyby dziewczyna utonęła, któryś znalazłby jej ciało”.

- A co ze studniami? - spytałem. - Czy mogła podczas spaceru wpaść do głębokiej studni?

Szef policji zaprzeczył.

- Na tej wyspie nie ma ani jednej. Mamy wiele źródeł naturalnych, więc nie było potrzeby kopać. Poza tym tutejsze podłoże skalne jest twarde i wykopanie studni oznaczałoby duże przedsięwzięcie.

Kiedy wyszliśmy z posterunku, powiedziałem Miu, że jeżeli to możliwe, chciałbym rano pójść na plażę, którą

tak często odwiedzała z Sumire. Miu kupiła w kiosku prostą mapę wyspy i pokazała mi drogę. Ostrzegła mnie, że spacer w jedną stronę trwa czterdzieści pięć minut, powinienem więc włożyć solidne buty. Potem poszła do portu i łamanym francuskim i angielskim szybko umówiła się z kapitanem małej łodzi taksówkowej, że ten zabierze ją na Rodos.

- Żeby tylko wszystko się dobrze skończyło - powiedziała, wychodząc, choć jej oczy mówiły zupełnie co innego. Wiedziała, że to nie takie proste. Ja też miałem taką świadomość. Silnik łodzi zaczął pracować. Miu lewą ręką przytrzymała kapelusz, a prawą pomachała do mnie. Kiedy łódź zniknęła na pełnym morzu, poczułem się tak, jakby zabrakło mi paru fragmentów wnętrza. Przez jakiś czas spacerowałem po porcie i w sklepie z pamiątkami kupiłem ciemne okulary przeciwsłoneczne. Potem wspiąłem się na strome schody i ruszyłem z powrotem do domu.

Kiedy słońce wzniosło się wyżej, zapanował przeźrażliwy upał. Włożyłem kąpielówki, bawełnianą koszulkę z krótkim rękawem, okulary przeciwsłoneczne i buty do joggingu i ruszyłem stromą górską drogą w kierunku plaży. Wkrótce pożałowałem, że nie wziąłem kapelusza, lecz postanowiłem mimo to iść dalej. Wspinając się pod górę, poczułem pragnienie. Przystanąłem, napiłem się i posmarowałem twarz i ręce olejkiem, który mi zostawiła Miu. Ścieżka była biała od pyłu,

który z każdym podmuchem wiatru wzbijał się w powietrze. Co jakiś czas mijałem wieśniaków prowadzących osły. Witali mnie głośno: „Kali mera!”, na co odpowiadałem tym samym. Domyśliłem się, że tak trzeba.

Zbocze góry było porośnięte niskimi, powykęcanymi drzewami. Po urwistym stoku wdrapywały się kozy i owce z wyraźnym niezadowoleniem na pyskach. Dzwonki na ich szyjach wydawały suche, ciche, blaszane dźwięki. Pasterzami tych stad były albo dzieci, albo starszankowie. Kiedy się mijaliśmy, zerkali na mnie z ukosa, po czym lekko unosili ręce w powitalnym geście, który powtarzałem. Sumire nie mogła przejść tędy niezauważona. Nie miałyby się gdzie ukryć i na pewno ktoś by ją spostrzegł. Plaża była opustoszała. Zdjąłem koszulę i kąpielówkę i poszedłem popływać nago. Woda była czysta i cudowna. Tak przejrzysta, że widziałem kamyki na dnie. U wylotu zatoczki stał zakotwiczony jacht ze zwiniętym żaglem; wysoki maszt kiwał się do przodu i do tyłu niczym ogromny metronom. Na pokładzie nie było nikogo. Każda fala zostawiała po sobie niezliczone kamyczki, które grzechotały bezwolnie. Po kąpeli wróciłem na plażę, położyłem się nago na ręczniku i spojrzałem w czyste, błękitne niebo wysoko nade mną. Nad zatoczką krążyły mewy szukające ryb. Niebo było całkowicie bezchmurne. Zdrzemnąłem się jakieś pół godziny i w tym czasie na plaży nikt się nie pojawił. Wkrótce spowiła mnie dziwna cisza. Plaża ta była zbyt spokojna na to, by ją odwiedzać

160

w pojedynkę, nieco zbyt piękna. Kojarzyła mi się z umiarem. Ubrałem się i ruszyłem górskim szlakiem z powrotem w stronę domu. Skwar był jeszcze większy niż przedtem. Mechanicznie stawiając jedną nogę przed drugą, próbowałem sobie wyobrazić, o czym rozmawiały Sumie i Miu, idąc razem tą samą drogą.

Sumire pewnie zastanawiała się nad pożądaniem, które ją ogarniało. Tak samo jak ja dumałem nad własnym pożądaniem, kiedy przebywałem w jej towarzystwie. Nietrudno mi było zrozumieć, co czuła. Wyobrażała sobie Miu leżącą nago obok i niczego nie pragnęła bardziej, niż ją przytulić. Miała pewne oczekiwania przemieszane z wieloma innymi emocjami - podnieceniem, rezygnacją, wahaniem, oszołomieniem, strachem - które w niej nabrzmiewały, po czym więdły. W jednej chwili czuje się optymizm, by już w następnej poddać się przekonaniu, że wszystko rozsypie się w gruzy. I w końcu tak się właśnie dzieje.

Wszedłem na szczyt góry, zrobiłem sobie przerwę, napiłem się wody i ruszyłem w dół. Kiedy tylko ujrzałem dach domu, przypomniało mi się, że Miu powiedziała, iż od przyjazdu na wyspę Sumire coś gorączkowo pisała w swoim pokoju. Co to mogło być? Miu nie zdradziła nic więcej, a ja się nie dopytywałem. Może - ale tylko może - w jej zapiskach znajdę jakiś trop. Miałem ochotę samego siebie kopnąć za to, że nie pomyślałem o tym wcześniej.

Po powrocie do domu poszedłem do pokoju Sumire, włączyłem jej powerbooka i otworzyłem twardego dysk. Nic tu nie zwróciło mojej uwagi. Znalazłem listę wydatków z podróży po Europie, adresy, rozkład zajęć. Same informacje związane z pracą u Miu. Żadnych prywatnych plików. Otworzyłem menu zatytułowane OSTATNIE DOKUMENTY - nic. Pewnie Sumire nie chciała, by ktoś przeczytał to, co napisała, i wszystko skasowała, co oznaczało, że zachowała swoje prywatne pliki na dyskietce, którą gdzieś schowała. Było mało prawdopodobne, że zabrała dyskietkę ze sobą - choćby dlatego, że jej piżama nie miała kieszeni. Przeszukałem szuflady biurka. Znalazłem parę dyskietek, lecz były na nich tylko kopie dokumentów z twardego dysku lub inne pliki dotyczące pracy. Nic interesującego. Usiadłem przy biurku i zacząłem się zastanawiać. Gdzie bym schował tę dyskietkę na miejscu Sumire? Pokój był mały; nie miała zbyt wielkiego wyboru. Sumire z wielką starannością wybierała osoby, którym pozwalała przeczytać to, co pisała. Oczywiście - czerwona walizka. Jedyna rzecz w pokoju, którą dało się zamknąć na klucz. Sprawiała wrażenie pustej, taka była lekka. Potrząsnąłem nią, lecz nie wydobył się z niej żaden dźwięk. A jednak czterocyfrowy zamek szyfrowy był zamknięty. Wypróbowałem parę kombinacji cyfr, które mogła wykorzystać Sumire - data jej urodzin, adres, numer telefonu, kod pocztowy - ale żadna z nich nie zadziałała. Nic dziwnego, numer, który ktoś z łatwością mógłby odgadnąć, nie stanowił dobrej kombinacji. Musiał to być układ

cyfr, który mogła zapamiętać, który jednak nie dotyczył żadnych osobistych danych. Długo się nad tym zastanawiałem i w końcu mnie olśniło. Wypróbowałem kod pocztowy Kunitachi - mój kod pocztowy, czyli 0-4-2-5. Zamek otworzył się z kliknięciem.

W wewnętrznej kieszeń walizki była wepchnięta mała torebka z materiału. Odsunąłem zamek błyskawiczny i znalazłem w środku zielony notesik i dyskietkę. Najpierw zajrzałem do notesu. Był wypełniony jej zwykłym pismem. Nic mnie w nim nie uderzyło. Zwykle informacje o tym, dokąd się wybierały, z kim się spotykały, nazwy hoteli, ceny benzyny, jadłospisy, marki wina i ich smak. Zwykła lista. Wiele stron pozostało pustych. Najwyraźniej prowadzenie pamiętnika nie należało do mocnych stron Sumire. Dyskietka nie była zatytułowana. Na naklejce znajdowała się data skreślona rozpoznawalnym charakterem pisma Sumire. 19 sierpnia. Wsunąłem dyskietkę do powerbooka i ją otworzyłem. Zawierała dwa dokumenty. Żaden z nich nie miał tytułu. Po prostu Dokument 1 i Dokument 2.

Zanim je otworzyłem, powoli rozejrzałem się po pokoju. W szafie wisiał płaszcz Sumire. Widziałem jej okulary, włoski słownik i paszport. W biurku leżały długopis i ołówek automatyczny. Za oknem nad biurkiem rozciągało się łagodne skaliste zbocze. Po murze otaczającym sąsiedni dom spacerował czarny kot. Pustawy sześciennej pokoik spowijała popołudniowa cisza. Kiedy zamknąłem

163

oczy, usłyszałem szum fal na opustoszałej plaży, gdzie byłem tego ranka. Znowu otworzyłem oczy i tym razem zacząłem nasłuchiwać odgłosów rzeczywistego świata. Nic nie usłyszałem.

Umieściłem kursor na Dokumentcie 1 i dwa razy kliknąłem w ikonę.

DOKUMENT 1

**WIDZIELIŚCIE KIEDYŚ POSTRZELONEGO,
KTÓRY NIE KRWAWIŁ?**

Los doprowadził mnie do pewnego wniosku - i to wniosku ad hoc (czy w ogóle istnieje jakiś inny rodzaj wniosku? To ciekawe pytanie, ale tymczasem zostawię je na kiedy indziej) - i oto znalazłam się na greckiej wyspie. To mała wysepka, której nazwy aż do tej pory nawet nie słyszałam. Jest... nieco po czwartej rano. Oczywiście jeszcze ciemno. Niewinne kózki zapadły w spokojny zbiorowy sen. Rząd drzew oliwkowych na polu sący pokarm, jakiego dostarcza mu mrok. A księżyc, niczym melancholijny ksiądz, usadowił się nad dachem, wyciągając ręce ku jałowemu morzu.

Niezależnie od tego, gdzie się właśnie znajduję, to pora dnia, którą kocham najbardziej. Pora dnia, która

należy tylko do mnie. Wkrótce zacznie świtać, a ja siedzę i piszę. Słońce, jak Budda, który wyszedł z boku matki (nie pamiętam, lewego czy prawego), dźwignie się w górę i będzie zerkać znad krawędzi wzgórz. A dyskretna Miu cicho się obudzi. O szóstej razem przyrządzimy skromne śniadanie, a potem powędrujemy wzgórzami na naszą przepiękną plażę. Zanim rozpoczniemy swe zwykłe zajęcia, chciałabym zakasać rękawy i dokończyć swoją pracę.

Minęło dużo czasu, odkąd, poza paroma listami, napisałam coś tylko dla siebie, i nie jestem pewna, czy uda mi się wyrazić to, co czuję. Nie żebym dotąd miała taką pewność. A jednak coś mnie pcha do pisania.

Dlaczego? To proste, naprawdę. Po to, by coś przemyśleć, najpierw muszę to spisać.

Jest tak od dzieciństwa. Kiedy nie mogłam czegoś zrozumieć, zbierałam słowa rozsypane u moich stóp i układałam je w zdania. Jeżeli to nie pomagało, znowu je rozrzucałam i układałam w innym porządku. Po kilku powtórkach mogłam już myśleć jak większość ludzi. Pisanie nigdy nie sprawiało mi trudności. Inne dzieci zbierały ładne kamyczki albo żółędzie, a ja pisałam. Z równą łatwością, z jaką przychodziło mi oddychanie, skrobałam jedno zdanie po drugim. I myślałam.

Bez wątpienia uważacie, że dojdzie do jakiegokolwiek wniosku to dla mnie czasochłonny proces, skoro za każdym razem, kiedy o czymś myślałam, musiałam pokonać

wszystkie te etapy. A może wcale tak nie uważacie. Ale w praktyce rzeczywiście zabierało mi to dużo czasu. Tak dużo, że kiedy poszłam do podstawówki, niektórym się wydawało, że jestem upośledzona. Nie mogłam nadążyć za innymi dziećmi.

Kiedy skończyłam podstawówkę, uczucie wyalienowania spowodowane moją odmiennością w dużym stopniu się zmniejszyło. Wtedy znalazłam już sposób na dostrzymywanie kroku otaczającemu mnie światu. Mimo to aż do ukończenia college'u i zerwania wszelkich związków z biurokracją ta luka istniała we mnie - niczym wąż cicho leżący w trawie.

Mój tymczasowy temat: piszę codziennie po to, by zrozumieć, kim jestem.

Jasne?

Jasne!

Aż do tej pory pisałam niewiarygodnie dużo. Niemal codziennie. Zupełnie jakbym stała na ogromnym pastwisku, samotnie kosząc trawę, która odrastała niemal w tej samej chwili. Dzisiaj koszę tu, jutro tam... Zanim skosiłam całe pastwisko, trawa w miejscu, gdzie zaczęłam, stawała się tak samo wysoka jak na początku.

Ale odkąd poznałam Miu, nie piszę prawie wcale.

Dlaczego tak się dzieje? Teoria, którą mi przedstawił K., o tym, że Fikcja = Przeniesienie, naprawdę ma sens. Na jednym poziomie istnieje w niej pewna prawda, ale nie

tłumaczy wszystkiego. Muszę uprościć swój sposób myślenia.

Upraszczać, upraszczać.

Po poznaniu Miu przestałam myśleć. (Oczywiście korzystam tu z własnej definicji myślenia). Miu i ja zawsze byliśmy razem, jak dwie przylegające do siebie łyżeczki, w jej obecności przenosiłam się w jakieś inne miejsce - miejsce, którego nie potrafiłam sobie wyobrazić - i myślałam, OK, daj się ponieść prądowi.

Innymi słowy, musiałam się pozbyć mnóstwa bagażu, by się do niej zbliżyć. Nawet sam akt myślenia stał się brzemieniem. Myślę, że to wszystko tłumaczy. Trawa rosła i rosła, lecz mnie to nie obchodziło. Rozwalałam się na plecach, spoglądałam w niebo i patrzyłam, jak płyną po nim kłębiaste chmury. Powierzałam swój los chmurom. Oddawałam się ostrej woni trawy, szumowi wiatru. I po jakimś czasie przestała mnie obchodzić różnica między tym, co wiedziałam, i tym, czego nie wiedziałam.

Nie, to nieprawda. Już od pierwszego dnia nic mnie nie obchodziło. Muszę być bardziej precyzyjna w swojej relacji.

Precyzja, precyzja.

Teraz widzę, że moją podstawową praktyczną zasadą w pisaniu zawsze było takie podejście do pewnych spraw, jakbym nic o nich nie wiedziała - i dotyczy to również rzeczy, które znałam, czy też tak mi się wydawało. Gdybym

od samego początku mówiła: „Och, znam to, nie ma sensu marnować mojego cennego czasu na pisanie o tym”, nigdy nie ruszyłabym z miejsca ze swoją pisaniną. Na przykład, jeżeli piszę o kimś: „Znam tego faceta, nie ma potrzeby zastanawiać się nad nim, już go rozgryzłam”, narażam się na to, że mogę paść ofiarą pomyłki (co odnosi się również do was). Wydaje nam się, że już doskonale poznaliśmy drugą stronę płyty, lecz nadal kryją się na niej niezbadane obszary.

Zrozumienie to jedynie suma nieporozumień.

A tak między nami - takie jest moje widzenia świata.

Mniej więcej.

Na świecie, w którym żyjemy, to, co wiemy, i to, czego nie wiemy, przypomina bliźnięta syjamskie, nierozdzielne, tkwiące w stanie chaosu.

Chaos, chaos.

Kto potrafi oddzielić morze od tego, co się w nim odbija? Albo określić różnicę między padającym deszczem i samotnością?

Tak więc bez zbędnego gadania przestałam się gnębić różnicą między wiedzą a jej brakiem. Od tego zaczęłam. Początek może i beznadziejny, ale czasami potrzebujemy podobnie prowizorycznego punktu wyjścia, prawda?

A wszystko to tłumaczy, jak osiągnęłam stan, w którym zaczęłam postrzegać takie dwoistości, jak temat i styl, podmiot i przedmiot, przyczyna i skutek, stawy w mojej ręce i reszta mojego ciała, nie jako parę czarne-białe, lecz

jako nierozdzielna całość. Wszystko wysypało się na podłogę w kuchni - sól, pieprz, mąka, krochmal. I wszystko zmieszało się w jedną breję.

Stawy w mojej ręce i reszta mojego ciała... Siedząc przy komputerze, spostrzegam, że wróciłam do swojego starego nawyku, jakim jest wyłamywanie palców. Ten fatalny nawyk przeżył swój wielki come back, kiedy rzuciłam palenie. Najpierw wyłamuję sobie stawy pięciu palców prawej ręki - trach trach - a potem lewej. Nie chcę się chwalić, ale potrafię trzaskać stawami tak głośno, że brzmi to, jakby komuś łamano kark. W podstawówce byłam w tym mistrzem. Zawstydziałam nawet chłopców. Kiedy chodziłam do college'u, K. dał mi jasno do zrozumienia, że nie jest to umiejętność, którą należałoby się szczycić. Kiedy dziewczyna osiąga pewien wiek, nie powinna ciągle wyłamywać sobie palców. Zwłaszcza przy ludziach. Inaczej skończy jak Lotte Lenya z filmu *Pozdrowienia z Moskwy*. Dlaczego nikt mi wcześniej tego nie powiedział? Próbowałam pozbyć się tego nawyku. Bardzo lubię Lotte Lenya, ale nie na tyle, by się w nią przemienić. Kiedy jednak rzuciłam palenie, odkryłam, że za każdym razem, kiedy siadam do pisania, znowu nieświadomie wyłamuję sobie palce. Trach trzask trach pyk!

Nazywam się Bond. James Bond.

Wróć jednak do tego, o czym pisałam wcześniej.

Mam ograniczony czas - brakuje tu miejsca na dygresje.

Zapomnijmy o Lotte Lenya. Wybaczcie metafory - musimy się rozstać. Jak już powiedziałam, w naszym wnętrzu to, co wiemy, i to, czego nie wiemy, przeplata się ze sobą. Większość ludzi dla wygody stawia między nimi mur. W ten sposób jest łatwiej. Ale ja ten mur zburzyłam. Musiałam. Nienawidzę murów. Już taka jestem. Wracając jeszcze do bliźniąt syjamskich - nie zawsze dogadują się ze sobą. Nie zawsze próbują się nawzajem zrozumieć. Właściwie najczęściej jest wręcz odwrotnie. Prawa ręka nie próbuje zrozumieć, co robi lewa - i na odwrót. Panuje chaos, w którym się zupełnie gubimy - i z hukiem wpadamy na coś. Łup!

Zmierzam do tego, że ludzie powinni stworzyć sobie mądrą strategię, jeżeli chcą, by to, co wiedzą, i to, czego nie wiedzą, żyło ze sobą w zgodzie. A tą strategią - tak, zgadliście! - jest zrozumienie. Musimy sobie znaleźć spokojny port. Inaczej, bez najmniejszych wątpliwości, znajdziemy się na strasznym kursie kolizyjnym.

Pytanie.

Co więc mają robić ludzie, by uniknąć zderzenia (łup!), czy nadal leżeć sobie na łące, radować oczy widokiem chmur płynących po niebie, słuchać, jak trawa rośnie - innymi słowy, nie myśleć? Wydaje się trudne? Wcale nie. Logicznie rzecz biorąc, to proste. *C'est simple*. Odpowiedź brzmi: marzenia. Należy marzyć bez ustanku.

170

Wkroczyć do świata marzeń i nigdy go nie opuszczać.

Żyć marzeniami już do końca.

W marzeniach nie musisz ustanawiać żadnych podziałów. Żadnych. Granice nie istnieją. Tak więc w marzeniach kolizje prawie się nie zdarzają. A nawet jeżeli, to nie bolą. Rzeczywistość jest inna. Rzeczywistość kasa.

Rzeczywistość, rzeczywistość.

Po premierze filmu *Dzika banda* Sama Peckinpaha, na konferencji prasowej jakaś dziennikarka podniosła rękę i zadała następujące pytanie: „Dlaczego, do diabła, musi pan pokazywać w swoich filmach tyle krwi?”. Była niezłe zdenerwowana. Jeden z aktorów, Ernest Borgnine, nieco skonsternowany, odparował: „Droga pani, a czy widziała pani kiedyś postrzelonego, który nie krwawił?”. Ten film powstał w kulminacyjnym momencie wojny w Wietnamie. Uwielbiam tę kwestię. Powinna to być jedna z zasad rządzących rzeczywistością. Należy zaakceptować rzeczy, które trudno zrozumieć, i już do nich nie wracać. I krwawić. Strzelać i krwawić.

Widzieliście kiedyś postrzelonego, który nie krwawił?

Co wyjaśnia moją postawę jako pisarza. Myślę - w bardzo zwyczajny sposób - i dochodzę do punktu, gdzie, w wymiarze, którego nawet nie potrafię nazwać, poczynam marzenie, ślepy płód zwany zrozumieniem, dryfujący w uniwersalnym, wszechogarniającym płynie owodniowym niezrozumienia. I to pewnie dlatego moje powieści są tak absurdalnie długie i, przynajmniej do tej pory, nigdy

nie miały żadnego właściwego zakończenia. Techniczne i moralne umiejętności niezbędne do stworzenia takiego zakończenia leżą poza moim zasięgiem.

Oczywiście to, co teraz piszę, nie jest powieścią. Nie wiem, jak to nazwać. Po prostu piszę. Myślę na głos, nie ma więc potrzeby starannie dobierać słów. Nie mam żadnych moralnych zobowiązań. Po prostu - hmm - myślę. Już od dawna nie myślałam tak na poważnie i pewnie nie będę w dającej się przewidzieć przyszłości. Teraz jednak, w tej właśnie chwili, myślę. I zamierzam to robić aż do rana. Myśleć.

Powiedziawszy to, nie mogę się jednak pozbyć swych starych, znajomych, mrocznych wątpliwości. Może marnuję czas i energię na bezcelowe poszukiwania? Może wylewam wiadro wody na miejsce już zagrożone powodzią? Może powinnam porzucić te bezużyteczne wysiłki i popłynąć z prądem?

Zderzenie? Co to takiego?

Ujmę to inaczej.

Okay - w jaki sposób chciałam to ująć?

Aha, pamiętam - już wiem.

Jeżeli zamierzam tylko pleść bez ładu i składu, to może powinnam po prostu zagrzebać się w ciepłej pościeli, wyobrazić sobie Miu i zabawić się sama z sobą. To właśnie chciałam powiedzieć.

Uwielbiam zarys pupy Miu. Cudowny kontrast między jej kruczoczarnymi włosami łonowymi a siwiuteńkimi włosami nagłowię, ładnie ukształtowane pośladki odziane w skąpe czarne majteczki. To jest dopiero seksowne! Jej owłosienie łonowe w kształcie litery T w tych czarnych majtkach, każdy włoszek tak samo czarny.

Muszę przestać o tym myśleć. Wyłączyć obwód bezsensownych seksualnych fantazji (pstryk) i skupić się na pisaniu. Nie mogę sobie pozwolić na to, by mi się wymknęły te cenne chwile przed świtem. Niech ktoś inny, w innej sytuacji, zdecyduje, co jest efektywne, a co nie jest. W tej chwili to, co mógłby powiedzieć, nie jest warte nawet kubka napoju jęczmiennego.

Racja?

Racja!

No to - jedziemy dalej.

Podobno to niebezpieczny eksperyment, włączać sny (prawdziwe lub nie) do tego, co się pisze. Jedynie garstce pisarzy - i mówię tu tylko o najbardziej utalentowanych - udaje się oddać tę irracjonalną syntezę, jaką znajdujemy w snach. Brzmi to rozsądnie. Mimo wszystko chciałabym opisać sen, jaki miałam niedawno. Chciałabym zrelacjonować ten sen po prostu jako pewien fakt, który dotyczy mnie i mojego życia. Nie obchodzi mnie, czy będzie to dzieło literackie, czy nie. Jestem tylko strażnikiem wypatrującym pożaru w lesie.

Często śni mi się to samo. Różnią się szczegóły, łącznie z otoczeniem, lecz schemat pozostaje ten sam. I taki sam jest ból, który czuję po przebudzeniu. Ten sam temat powtarza się na okrągło, niczym gwizd pociągu, który noc w noc wjeżdża w ten sam ślepy zakręt.

SEN SUMIRE

(Opisałam go w trzeciej osobie. W ten sposób zyskuje na autentyczności).

Sumire wspina się po długich, kręconych schodach na spotkanie ze swą matką, która umarła dawno temu.

Matka czeka na szczycie schodów. Chce coś powiedzieć córce, przekazać jej istotną informację, niezbędną Sumire do życia. Sumire nigdy jeszcze nie widziała zmarłego, więc się boi. Nie wie, jakim człowiekiem jest jej matka.

Może - z powodu, którego Sumire nie potrafi sobie wyobrazić - matka jej nienawidzi. Musi jednak się z nią spotkać. To jej jedyna szansa.

Schody ciągną się w nieskończoność. Sumire wspina się i wspina, lecz nie może dotrzeć do ich szczytu. Bez tchu biegnie po schodach. Jej czas się wyczerpuje. Matka nie będzie wiecznie stała w tym budynku. Czoło Sumire pokrywa się potem. I wreszcie schody się urywają.

Na górze znajduje się szeroki podest, a na jego końcu - gruby kamienny mur. Na poziomie jej oczu jest okrągła

dziura, coś w rodzaju szybu wentylacyjnego. Mała dziura o średnicy mniej więcej pół metra. Matka Sumire, jakby została tam wepchnięta stopami do przodu, tkwi w tej dziurze. Sumire uświadamia sobie, że jej czas już prawie się skończył.

W tej ciasnej przestrzeni matka zwraca twarz ku Sumire. Spogląda na nią jakby błagalnie. Sumire wystarczy jeden rzut oka, by przekonać się, że to rzeczywiście jej matka. To osoba, która dała mi życie i ciało, uświadamia sobie. A jednak ta kobieta nie jest tą matką z rodzinnego albumu ze zdjęciami. Moja matka jest piękna i młoda. A więc osoba z albumu nie była moją matką, dochodzi wreszcie do wniosku. Ojciec mnie oszukał.

- Mamo! - Sumire krzyczy dzielnie. Czuje, jak gdzieś w jej wnętrzu kruszeje mur. Kiedy tylko wypowiada to słowo, jej matka zostaje wciągnięta głębiej w dziurę, jakby wessana przez olbrzymi odkurzacz po drugiej stronie. Ma otwarte usta i woła coś do Sumire. Ale głuchy szum wiatru dmącego z dziury zagłusza jej słowa. Chwilę później matka zostaje wchłonięta w mrok dziury i znika.

Sumire ogląda się: schody zniknęły. Otaczają ją kamienne ściany. Tam, gdzie przedtem znajdowały się schody, teraz są drewniane drzwi. Sumire przekreśla gałkę i otwiera drzwi, za nimi jest niebo. Sumire stoi na szczycie wysokiej wieży. Tak wysokiej, że od spoglądania w dół Sumire kręci się w głowie. Po niebie lata mnóstwo małych

przedmiotów przypominających samoloty. Zwykle małe samolociki, jakie można zrobić z bambusa i lekkich deszczulek. Na ogonie każdego z nich znajduje się mały silnik wielkości pięści i śmigło. Sumire krzyczy do jednego z pilotów, by ją uratował. Ale żaden nie zwraca na nią uwagi.

To pewnie dlatego, że jestem tak ubrana, dochodzi do wniosku. Nikt mnie nie widzi. Ma na sobie nijaką, białą, szpitalną koszulę. Zdejmuje ją i zostaje naga - pod spodem nie ma nic. Rzuci koszulę na ziemię przy drzwiach, a ta, jak już niczym nieskrępowana dusza, daje się porwać ciągowi powietrza i znika jej z oczu. Ten sam wiatr pieści ciało Sumire, porusza włosami między jej nogami. Sumire z przestraszonym spojrzeniem, że wszystkie samolociki przemieniły się w ważki. Na niebie pełno jest wielobarwnych ważek, ich ogromne, wylupiate oczy lśnią, gdy owady się rozglądają. Bzyczenie wydawane przez ich skrzydła stopniowo przybiera na sile jak głos z radia, gdy podkręcić gałkę. W końcu przeradza się w ogłuszający ryk. Sumire przykuca z zamkniętymi oczami i zasłania uszy.

I wtedy się budzi.

Sumire zapamiętała każdy najdrobniejszy szczegół tego snu. Mogłaby go namalować. Nie potrafiła tylko przypomnieć sobie twarzy matki, gdy kobieta była wchłaniana w czarną dziurę. Znaczące słowa, które matka wypowie-

działa, również już na zawsze zginęły w tej próżni. W łóżku Sumire mocno zacisnęła zęby na poduszce i płakała, płakała.

KRECIK NIE BĘDZIE JUŻ RYŁ NA OŚLEP

Po tym śnie podjęłam ważną decyzję. Ostrze mojego kilofoa w końcu zacznie kruszyć twarde klif. Trach. Postanowiłam jasno dać do zrozumienia Mi u, czego chcę. Nie mogę bez końca trwać w takim zawieszeniu. Nie mogę być jak krecik bez kręgosłupa, który ryje w ziemi w ogródku za domem. Muszę przed kimś wyznać fakt, że kocham Miu. Jeżeli nadal będę się tak zachowywać, to powoli, lecz niechybnie zmarnieję. Wszystkie świty i wszystkie zmierzchy zaczną, kawałek po kawałku, okradać mnie ze mnie samej i już bardzo niedługo moje życie całkowicie przestanie istnieć - i zostanę z pustymi rękami.

Sytuacja jest jasna jak słońce.

Słońce, słońce.

Chcę się kochać z Miu i chcę, by mnie tuliła. Wyrzekłam się tylu ważnych dla mnie rzeczy. Nie mam już czego poświęcać.

Jeszcze nie jest za późno. Muszę byc z Miu, wejść w nią.

I ona musi wejść we mnie. Jak dwa łąpczywe, lśniące węże.

A jeżeli Miu mnie nie zaakceptuje - co wtedy?

Przekroczę ten most, gdy nadejdzie pora.

„Widzieliście kiedyś postrzelonego, który nie krwawił?”.

Musi polać się krew. Zaostrzę nóż i przygotowuję się, by gdzieś poderżnąć gardło psu.

Słusznie?

Słusznie!

To, co tu napisałam, jest wiadomością dla mnie samej. Ciskam ją w powietrze niczym bumerang. Przecina mrok, ogłusza jakiegoś biednego kangurka i w końcu wraca do mnie.

Ale bumerang, który wraca, nie jest tym, który rzuciłam.

Bumerang, bumerang.

DOKUMENT 2

Wpół do trzeciej po południu. Na dworze jest jasno i gorąco jak w piekle. Klify, niebo i morze skrzą się. Jeśli się na nie patrzy wystarczająco długo, nikną granice między nimi, wszystko roztapia się w bezkształtną magmę. Świadomość wnika w senne cienie, by schować się przed światłem. Nawet ptaki rezygnują z fruwania. W domu jednak panuje przyjemny chłód. Miu słucha w salonie Brahmisa. Ma na sobie letnią niebieską sukienkę na cienkich ramiączkach, siwe włosy zaciesała zwyczajnie do tyłu. Ja siedzę przy biurku, pisząc te słowa.

- Czy ta muzyka ci nie przeszkadza? - pyta mnie.
- Brahms nigdy mi nie przeszkadza - odpowiadam.

Przezesuję pamięć, by zrekonstruować historię, którą Miu opowiedziała mi parę dni temu w wiosce w Burgundii. Nie jest to łatwe. Opowiedziała mi ją po kawałku, zupełnie zaburzając chronologię. Niekiedy nie mogę dojść, co wydarzyło się na początku, a co później, co było przyczyną, a co skutkiem. Ale nie winie jej. Zraniła ją okrutna brzytwa pogrzebana gdzieś w jej pamięci i kiedy z nadejściem świtu gwiazdy zbladły nad winnicą, z twarzy Miu uszło całe życie, gdy już skończyła swą opowieść.

Zrobiła to tylko dlatego, że nalegałam. Musiałam zastosować cały repertuar sztuczek, by ją do tego nakłonić - na przemian zachęcałam ją, szantażowałam, schlebiałam, chwaliłam i kusiłam, by tylko mówiła dalej. Piłyśmy czerwone wino i rozmawialiśmy do rana. Ze splecionymi _dłońmi śledziłyśmy szlak jej wspomnień, składając je w jedną całość, analizując rezultaty. Mimo wszystko pozostały fragmenty, których Miu nie mogła wygrzebać z pamięci. Za każdym razem, kiedy usiłowała się do nich dokopać, ogarniał ją chaos, milkła i opróżniała kolejny kieliszek wina. Były to niebezpieczne strefy pamięci. Kieczy się na nie natykałyśmy, zaprzestawałyśmy naszych poszukiwań i ostrożnie wycofywałyśmy się na wyższy poziom.

Namówiłam Miu, by opowiedziała mi tę historię, kiedy sobie uświadomiłam, że farbuję włosy. Miu jest tak dyskretna, że zaledwie kilka osób z jej otoczenia miało o tym pojęcie. Ale ja to zauważyłam. Kiedy się podróżuje razem przez tak długi czas i razem spędza każdy dzień, w końcu dostrzega się takie zmiany. A może Miu w ogóle nie próbowała tego ukryć. Gdyby chciała, mogła bardziej uważać. Może myślała, że i tak się o tym dowiem, a może sama tego chciała. (Hmm, to tylko moje domysły). Spytałam ją wprost. Już taka jestem - nigdy niczego nie owijam w bawełnę. Ile masz siwych włosów? - spytałam. Od jak dawna je farbujesz? Od czternastu lat - odparła. Czternaście lat temu całkowicie osiwiłam, co do jednego włoska. Byłaś chora? Nie, to nie tak. Coś się wydarzyło 1 wtedy całkiem osiwiłam. W ciągu jednej nocy. Powiedziałam, że pragnęłabym usłyszeć prawdę. Chcę wiedzieć o tobie wszystko. Wiesz, że ja bym przed tobą niczego nie ukrywała. Ale Miu w milczeniu pokręciła głową. Nigdy nikomu się nie zwierzyła; nawet jej mąż nie wie, co wtedy zaszło. Przez czternaście lat był to jej sekret. Ale w końcu przegadałyśmy całą noc. Przekonałam ją, że każdą historię trzeba w końcu kiedyś opowiedzieć, inaczej już na zawsze pozostanie się więźniem swej tajemnicy. Miu spojrzała na mnie jak z wielkiej odległości. Coś pojawiło się w jej oczach, po czym powoli znowu osiadło

w ich głębi. Ja niczego nie muszę wyjaśniać - powiedziała.

- To oni mają rachunki do wyrównania, nie ja.

Nie mogłam zrozumieć, do czego zmierza.

- Jeżeli jednak opiszę ci tamten incydent - powiedziała - już na zawsze pozostanie naszą wspólną tajemnicą. A nie wiem, czy tak wolno. Jeżeli teraz uchylę wieko, wciągnę cię do środka. Naprawdę chcesz wszystkiego się dowiedzieć, choć poświęciłam tak wiele, by o tym zapomnieć?

- Tak - odparłam. - Cokolwiek to jest, chcę tę tajemnicę dzielić z tobą. Nie chcę, byś cokolwiek przede mną ukrywała.

Miu upiła łyk wina i, najwyraźniej oszołomiona, zamknęła oczy. Zapadła cisza, w której czas zdawał się przekrzywiać i odkształcać.

W końcu zaczęła swą opowieść. Kawałeczek po kawałeczku, po jednym fragmencie na raz. Pewne elementy tej historii żyły własnym życiem, inne nigdy nawet się nie narodziły. Pojawiały się nieuchronne luki i opuszczenia, a niektóre z nich miały własne wyjątkowe znaczenie.

Teraz moim zadaniem jako narratora jest - z wielką starannością - poskładać te fragmenty w jedną całość.

OPOWIEŚĆ O MIU I DIABELSKIM MŁYNIE

Latem pewnego roku Miu znalazła się sama w małym miasteczku w Szwajcarii nieopodal francuskiej granicy.

Miała dwadzieścia pięć lat i mieszkała w Paryżu, gdzie

uczyła się gry na fortepianie. Przyjechała do tego miasteczka na prośbę ojca, by załatwić interesy. Sprawa była prosta, zasadniczo polegała na spotkaniu przy kolacji z drugą stroną i nakłonieniu jej do podpisania umowy. Miasteczko spodobało się Miu w tej samej chwili, kiedy je ujrzała. Było przytulne i urocze; niedaleko znajdowało się jezioro i średniowieczny zamek. Pomyślała, że przyjemnie byłoby tam pomieszkać, i zaryzykowała. Poza tym w pobliskiej wiosce odbywał się festiwal muzyczny, więc gdyby wynajęła samochód, codziennie mogłaby chodzić na koncerty.

Miała szczęście: znalazła umeblowany apartament do wynajęcia na krótko w ładnym, czystym budyneczku na szczycie wzgórza na przedmieściach. Z jego okien rozciągał się cudowny widok. Niedaleko trafiło się miejsce, gdzie mogła ćwiczyć grę na fortepianie. Czyny nie należał do niskich, ale gdyby zabrakło jej pieniędzy, zawsze mogła liczyć na pomoc ojca.

Tak oto Miu rozpoczęła swój tymczasowy, lecz miły pobyt w miasteczku. Chodziła na koncerty festiwalowe, spacerowała po okolicy i wkrótce zaprzyjaźniła się z paroma osobami. Znalazła ładną, małą restaurację i kawiarnię, które zaczęła odwiedzać. Z okna swego mieszkania widziała lunapark na obrzeżach miasta. Stał tam olbrzymi diabelski młyn. Barwne wagoniki z drzwiczkami, przymocowane do ogromnego koła, powoli płynęły w powietrzu. Kiedy jeden z nich osiągał najwyższy punkt, zaczynał zjeżdżać w dół. Naturalnie. Diabelskie młyny donikąd nie

zmierzają. Gondole windują się na górę i wracają na dół. Taka wycieczka po okręgu dla większości osób - z jakichś dziwnych powodów - jest niezwykle przyjemna.

Wieczorami diabelski młyn był najeżony niezliczonymi lampkami. Nawet już po zamknięciu, kiedy lunapark był nieczynny, młyn błyszczał przez całą noc, jakby rywalizował z gwiazdami na niebie. Miu siadała przy oknie, słuchała muzyki z radia i bez końca spoglądała na kręcący się młyn. Albo, kiedy stał nieruchomo, podziwiała jego monumetalność.

Poznała pewnego mężczyznę z tego miasteczka. Był to przystojny, wysoki pięćdziesięciolatek o latynoskim typie urody; miał zgrabny nos i ciemne, proste włosy. Przedstawił się jej w kawiarni. Skąd pani jest? - spytał. Z Japonii, odparła i zaczęli rozmawiać. Miał na imię Ferdinando. Pochodził z Barcelony, a do miasteczka sprowadził się przed pięcioma laty i rozpoczął pracę w dziedzinie wzornictwa meblowego. Mówił swobodnie, często żartował. Gawędzili przez jakiś czas, po czym się pożegnali. Dwa dni później wpadli na siebie w tej samej kawiarni. Dowiedziała się, że jest samotny, rozwiedziony. Oświadczył, że wyjechał z Hiszpanii, żeby rozpocząć nowe życie. Nie wywarł na niej zbyt dobrego wrażenia. Domyślała się, że próbuje ją poderwać. Wyczuła jego pożądanie i to ją wystraszyło. Postanowiła unikać tej kawiarni.

Mimo to wiele razy natykała się w mieście na Ferdinanda - na tyle często, by uznać, że ją śledzi. Może miała tylko

głupie przywidzenia. W tak małej miejscowości częste spotkanie kogoś na ulicy nie było niczym dziwnym. Za każdym razem, kiedy ją dostrzegał, uśmiechał się szeroko i serdecznie się z nią witał. Miu powoli zaczęło to irytować i budzić w niej niepokój. Widziała w nim zagrożenie dla swego spokojnego życia. Niczym fałszywa nuta na początku utworu muzycznego, na jej miłe lato padł złowieszczy cień. A jednak okazało się, że Ferdinando to zaledwie zapowiedź większego cienia. Po dziesięciu dniach pobytu w tej miejscowości Miu zaczęła natykać się na rozmaite przeszkody. Przeurocze, czyściutkie miasteczko teraz wydawało jej się ograniczone i obłudne. Ludzie byli przyjaźni i dość uprzejmi, lecz zaczęła odczuwać atmosferę uprzedzenia do niej jako Azjatki. Wino, które piła w restauracjach, nabrało gorzkiego posmaku. W warzywach, które kupowała, znajdowała robaki. Koncerty na festiwalu muzycznym brzmiały mdło. Nie mogła się skupić na własnej grze. Nawet mieszkanie, które do tej pory uważała za tak wygodne, teraz sprawiało na niej wrażenie brzydko umeblowanego i nędznego. Wszystko straciło swój początkowy blask. Złowieszczy cień się rozprzestrzenił, a ona nie mogła przed nim uciec.

Nocami dzwonił telefon. Odbierała go i mówiła „Allo”, ale w słuchawce zalegała cisza. Powtarzało się to na okrągło. Myślała, że to na pewno Ferdinando, ale nie miała dowodu. Skąd miałby numer jej telefonu? Jej aparat telefoniczny był starego typu i nie mogła go po

prostu wyłączyć. Miała problemy z zasypianiem, musiała brać tabletki na sen. Straciła apetyt.

Doszła do wniosku, że musi wyjechać. Ale z przyczyn, których sama nie mogła zrozumieć, nie potrafiła się wyprowadzić. Sporządziła listę powodów, dla których powinna zostać: zapłaciła czynsz za miesiąc z góry, kupiła karnet na festiwal i wynajęła na lato swoje mieszkanie w Paryżu. Powtarzała sobie, że nie może tak po prostu wstać i wyjechać. Poza tym nic takiego się nie stało. Przecież nikt jej nie zrobił krzywdy, prawda? Nikt jej nie groził. Po prostu jestem przewrażliwiona, wma- wiała sobie.

Pewnego wieczora, w jakieś dwa tygodnie, odkąd tam zamieszkała, jak zwykle poszła na kolację do pobliskiej restauracji. Po kolacji postanowiła dla odmiany zaczerpnąć świeżego powietrza i udała się na długi spacer. Chodziła ulicami, pogrążona w myślach. Zanim się obejrzała, znalazła się przy wejściu do lunaparku -tego z diabelskim młynem. W powietrzu rozbrzmiewały dźwięki radosnej muzyki, okrzyki osób zachwalających swoje stoiska i wesołe piski dzieci. Wśród odwiedzających były głównie rodziny i kilka par z miasteczka. Miu przypomniała sobie, jak kiedyś, gdy była mała, ojciec zabrał ją do lunaparku.

Nawet teraz potrafiła przywołać w pamięci zapach tweedowego płaszcza ojca, gdy jeździli w wirujących filiżankach. Przez cały czas trzymali się krawędzi, a Miu kurczowo czepiała się rękawa jego płaszcza. Dla małej Miu zapach

ten był symbolem odległego świata dorosłych, symbolem bezpieczeństwa. Nagle zatęskniła za ojcem.

Dla kaprysu kupiła bilet w kasie i weszła na teren wesołego miasteczka. Pełno w nim było rozmaitych sklepików i stoisk - strzelnica, pokaz węży, budka wróżki. Wróżka, dość potężnie zbudowana kobieta, przed którą stała kryształowa kula, skinęła na Miu: „Mademoiselle, proszę tutaj. To bardzo ważne. Pani los niedługo się odmieni”. Miu tylko się uśmiechnęła i poszła dalej.

Kupiła sobie lody i usiadła na ławce, by je zjeść, patrząc na mijających ją ludzi. Czuła się niezwykle oddalona od tłumu falującego wokół niej. Jakiś mężczyzna zagadnął ją po niemiecku. Około trzydziestki, niski, z jasnymi włosami i wąsami, typ, który dobrze wyglądałby w mundurze. Pokręciła głową, uśmiechnęła się i wskazała na zegarek. „Czekam na kogoś” - wyjaśniła po francusku. Jej głos brzmiał wysoko i obco. Mężczyzna nie powiedział już nic więcej, uśmiechnął się z zakłopotaniem, lekko pomachał do niej ręką i poszedł.

Miu wstała i zaczęła się przechadzać. Ktoś rzucał strzałkami, pękł balonik. Tresowany niedźwiedź przeprował z nogi na nogę w swoistym tańcu. Katarynka grała *Nad pięknym modrym Dunajem*. Miu podniosła głowę i zobaczyła diabelski młyn leniwie obracający się w powietrzu. Fajnie byłoby zobaczyć moje mieszkanie z tego koła, a nie na odwrót, pomyślała. Traf chciał, że w torebce

miała małą lornetkę, którą nosiła od ostatniego koncertu
- przydawała się do oglądania sceny z dalekiego miejsca
na trawniku. Była lekka i wystarczająco mocna. Dzięki niej
powinno jej się udać zajrzeć do swojego pokoju.
Poszła kupić bilet w budce przed diabelskim młynem.
- Niedługo zamykamy, mademoiselle - powiedział
bileter w podeszłym wieku. Mamrocząc te słowa, patrzył
w dół, jakby mówił do siebie. Pokręcił głową. - Na dzisiaj
już prawie skończyliśmy. To ostatnia runda. Jeszcze tylko
jedno okrążenie i zamykamy. - Jego brodę pokrywała
siwa szczecina, a baczki były pożółkłe od dymu tytonio-
wego. Zakasłał. Policzki miał tak czerwone, jakby przez
lata smagał je północny wiatr.
- Nie szkodzi. Jedno okrążenie mi wystarczy - odparła
Miu. Kupiła bilet i weszła na podest. Była jedyną osobą
czekającą na przejażdżkę i, o ile mogła się zorientować,
wszystkie wagoniki świeciły pustkami. Obracając się na
młynie, kołysały się bezwładnie w powietrzu, jakby to
sam świat ze świstem zmierzał ku końcowi.
Weszła do czerwonej gondoli i usiadła na ławeczce.
Staruszek podszedł, zatrzasnął drzwiczki i zamknął je od
zewnątrz na klucz. Bez wątpienia dla bezpieczeństwa.
Diabelski młyn, niczym prehistoryczne zwierzę, które
wróciło do życia, zawarczał i ruszył z miejsca. Gęstwina
najrozmaitszych s/oisk i atrakcji w dole zaczęła się kurczyć,
przed nią zaś pojawiły się światła miasta. Po jej lewej
stronie znajdowało się jezioro, widziała lampki na statku

wycieczkowym odbijające się łagodnie na powierzchni wody. Odległe góry były upstrzone światłami małych wiosek. Na widok takiego piękna aż jej się ścisnęło serce. Pojawiła się okolica na wzgórzu, w której mieszkała. Miu dostosowała ostrość lornetki i zaczęła szukać swojego mieszkania, lecz nie było to proste. Diabelski młyn obracał się powoli, unosząc ją coraz wyżej i wyżej. Musiała się pośpieszyć. Gorączkowo przesuwała lornetkę na wszystkie strony. W miasteczku znajdowało się jednak zbyt wiele domów wyglądających podobnie. Wylądowała już na samym szczycie diabelskiego młyna i zaczęła jazdę w dół. W końcu wypatrzyła swój dom. To ten! Z jakiegoś powodu było w nim więcej okien, niż zapamiętała. Mnóstwo ludzi otworzyło okna, by wpuścić letnią bryzę. Przeskakiwała lornetką od okna do okna, aż wreszcie odnalazła drugie mieszkanie od prawej na trzecim piętrze. Ale wtedy już zbliżała się do ziemi. Widok przesłoniły jej ściany innych budynków. Co za szkoda - jeszcze parę sekund i zjrzałaby prosto do swojego pokoju. Jej gondola powolutku opuszczała się w dół. Miu chciała otworzyć drzwiczki i wysiąść, te jednak ani drgnęły. Oczywiście - od zewnątrz były zamknięte na klucz. Zaczęła się rozglądać za staruszką z budki, lecz nigdzie nie mogła go dojrzeć. Światło w kasie było zgaszone. Już miała zawołać, ale nie widziała nikogo. Diabelski młyn



zaczął następne okrążenie. Co za bajzel, pomyślała. Jak to możliwe? Westchnęła. Może staruszek poszedł do toalety i przegapił godzinę. Teraz będzie musiała zaliczyć kolejne okrążenie.

W porządku, pomyślała. Dzięki roztrzepaniu staruszka ma darmową przejażdżkę na karuzeli. Tym razem już na pewno wypatrzy swoje mieszkanie. Mocno chwyciła lornetkę i wystawiła głowę za okno. Ponieważ poprzednio już zlokalizowała ogólny kierunek i położenie, tym razem znalezienie pokoju okazało się łatwym zadaniem. Okno było otwarte, a światło - zapalone. Nie cierpiała przychodzić do ciemnego mieszkania, a planowała wrócić zaraz po kolacji.

Czuła się winna, obserwując z daleka przez lornetkę swoje mieszkanie, zupełnie jakby podglądała samą siebie. Ale mnie tam nie ma, zapewniła siebie. Oczywiście, że nie. Na stole stoi telefon. Strasznie chciałabym tam zadzwonić. Na stole zostawiłam list. Chciałabym go stąd przeczytać, pomyślała. Ale naturalnie nie widziała aż tak szczegółowo.

W końcu jej wagonik minął najwyższy punkt na diabelskim młynie i zaczął zjeżdżać w dół. Opuścił się tylko trochę i nagle stanął. Miu rzuciło na jedną stronę wagonika; uderzyła się w piętę i niemal upuściła lornetkę na podłogę. Silnik młyna zatrzymał się ze zgrzytem i wszystko spowiła nieziemiska cisza. Radosna muzyka w tle, którą

V^

słyszała wcześniej, ucichła. Większość świateł w budkach na dole była zgaszona. Miu nadstawiała ucha, ale docierał do niej tylko cichy szum wiatru i nic więcej. Panował całkowity bezruch. Ani głosów tych, którzy naganiają klientów, ani radosnych pisków dzieci. Początkowo nie mogła zrozumieć, co się stało. I wtedy ją olśniło: została porzucona.

Wychyliła się przez na wpół otwarte okno i znowu spojrzała w dół. Uświadomiła sobie, jak wysoko się znajduje. Przyszło jej do głowy, żeby zacząć krzyczeć o pomoc, ale wiedziała, że nikt jej nie usłyszy. Była zbyt wysoko i miała za słaby głos.

Dokąd ten staruszek mógł pójść? Pewnie się upił. Kolor jego twarzy, ten oddech, gruby głos - nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Zupełnie zapomniał, że wsadził mnie na diabelski młyn, i wyłączył mechanizm. W tej chwili pewnie siedzi w barze przy piwie albo dzinie, upija się jeszcze bardziej i zapomina, co zrobił. Miu przygryzła wargę. Być może nie wydostanę się stąd aż do jutra po południu, pomyślała. A może i do wieczora? Kiedy otwierają wesołe miasteczko? Nie miała pojęcia.

Miu ubrana była tylko w cienką bluzkę i krótką bawełnianą spódnicę, a chociaż był środek lata, szwajcarskie nocne powietrze przeszywało ją chłodem. Wiatr przybrał na sile. Ponownie wychyliła się przez okno, by spojrzeć na okolicę w dole. Teraz paliło się jeszcze mniej świateł niż przedtem. Pracownicy lunaparku skończyli już na dzisiaj i poszli do domu. Gdzieś musiał być jakiś

strażnik. Wzięła głęboki oddech i z całych sił zaczęła wzywać pomocy. Nadstawiła ucha. Krzyknęła znowu. I jeszcze raz. Żadnej odpowiedzi.

Wyjęła z torebki mały notes i napisała po francusku: „Utknęłam na diabelskim młynie w lunaparku. Proszę o pomoc”. Wyrzuciła karteczkę przez okno. Pofrunęła z wiatrem, który dął w stronę miasteczka, więc jeżeli szczęście jej dopisze, może jej wiadomość tam wyląduje. Ale jeżeli ktoś w ogóle ją podniesie i przeczyta, czy w nią uwierzy? Na następnej kartce obok wiadomości napisała swoje nazwisko i adres. Teraz tekst zabrzmi bardziej wiarygodnie. Może ludzie nie wezmą go za żart, tylko zrozumieją, że znalazła się w poważnych tarapatach. Wyrzuciła w powietrze połowę kartek z notesu.

Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Wyjęła z portfela wszystko poza banknotem dziesięciofrankowym i włożyła do środka liścik: „Na szczycie diabelskiego młyna utknęła kobieta. Proszę o pomoc”. Wyrzuciła portfel przez okno. Upadł prosto na ziemię. Nie widziała jednak, w którym miejscu, i nie słyszała odgłosu, kiedy uderzył o ziemię. Taki sam liścik włożyła do portmonetki na monety, którą również wyrzuciła.

Spojrzała na zegarek. Było wpół do jedenastej. Zaczęła grzebać w torebce, żeby sprawdzić, co jeszcze tam ma. Trochę kosmetyków i lusterko, paszport. Okulary przeciwsłoneczne. Kluczyki do wypożyczonego samochodu i do mieszkania. Nóż wojskowy do obierania owoców. Małą plastikową torebkę z trzema krakersami. Francuską książkę

w miękkiej okładce. Wcześniej zjadła kolację, więc nie zgłodnieje aż do rana. Na chłodnym powietrzu nie poczuje zbyt silnego pragnienia. I na szczęście jeszcze nie musi skorzystać z toalety.

Usiadła na plastikowej ławeczce i oparła głowę o ścianę. Zaczęła sama sobie robić wyrzuty. Po co przyszła do tego wesołego miasteczka i wsiadła na diabelski młyn? Po wyjściu z restauracji powinna wracać prosto do domu. Przygotowałaaby sobie miłą gorącą kąpiel i zagrzebała się w pościeli z dobrą książką. Jak zwykle. Dlaczego tak nie postąpiła? I dlaczego, u diabła, zatrudniono tutaj takiego niepoprawnego pijaka jak ten staruszek?

Diabelski młyn skrzypiał na wietrze. Miu próbowała zamknąć okno, żeby wiatr nie wpadał do środka, ale nie ustępowało ani na centymetr. Podała się i usiadła na podłodze. Wiem, że powinnam wziąć ze sobą sweter, pomyślała. Wychodząc z mieszkania przystanąła, zastanawiając się, czy nie zarzucić na ramiona rozpinanego swetra. Ale letni wieczór był taki przyjemny, a restauracja znajdowała się zaledwie trzy przecznice od jej domu. W tamtej chwili nawet jej do głowy nie przyszło, żeby iść do lunaparku i wsiadać na diabelski młyn. Wszystko ułożyło się nie tak.

By się nieco rozluźnić, zdjęła zegarek, cienką srebrną bransoletkę i kolczyki w kształcie muszelek i schowała to wszystko do torebki. Skuliła się w kącie wagonika z nadzieją, że zdrzemnie się do rana. Oczywiście nawet nie



zmrzyła oka. Było jej zimno i czuła niepokój. Co jakiś czas podmuch wiatru kołysał gondolą. Zamknęła oczy i odegrała sobie w myślach Sonatę c-moll Mozarta, przesuwając palcami po nieistniejącej klawiaturze. Bez żadnego specjalnego powodu zapamiętała ten utwór, który wykonywała w dzieciństwie. Jednak w połowie drugiej części jej umysł się zmacił i usnęła.

Nie wiedziała, jak długo spała. Z pewnością niezbyt długo. Obudziła się raptownie i przez chwilę nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Powoli wróciła jej pamięć. Tak jest, pomyślała, utknęłam na diabelskim młynie w wesołym miasteczku. Wyciągnęła zegarek z torebki; minęła północ. Wstała powoli. Od spania w tak niewygodnej pozycji bolały ją wszystkie stawy. Ziewnęła parę razy, przeciągnęła się i roztarła nadgarstki.

Wiedząc, że nieprędko znowu zaśnie, wyjęła z torebki książkę, by oderwać się myślami od swojego kłopotliwego położenia, i podjęła lekturę w tym miejscu, w którym skończyła. Była to nowa powieść kryminalna, którą kupiła w księgarni w miasteczku. Na szczęście światła na diabelskim młynie paliły się przez całą noc. Po przeczytaniu paru stron uświadomiła sobie, że nie nadaża za akcją. Jej wzrok śledził linijki, ale umysł błądził wiele mil stąd. Poddała się i zamknęła książkę. Popatrzyła na nocne niebo. Przykrywała je cienka warstwa chmur i Miu nie widziała gwiazd. Na niebie wisiał niewyraźny plasterek księżycy. Światła rzucały jej odbicie na okna gondoli.

Długo spoglądała na swoją twarz. Kiedy to się skończy?
- zadała sobie pytanie. Po wszystkim stanie się to zabawną historyjką, jaką opowiada się znajomym. Tylko sobie wyobraźcie: utknęłam na diabelskim młynie w wesołym miasteczku w Szwajcarii!

Ale nie zrobiła się z tego zabawna dykteryjka.

I tu dopiero zaczyna się właściwa historia.

Nieco później wzięła lornetkę i zajrzała przez okno do swojego mieszkania. Nic się nie zmieniło. A czego ty oczekiwałaś? - spytała samą siebie i uśmiech przemknął po jej twarzy.

Popatrzyła na inne okna w budynku. Minęła północ i prawie wszyscy już spali. Większość okien była ciemna. Niektórzy jednak jeszcze się nie położyli, w ich mieszkaniach paliły się światła. Mieszkańcy niższych pięter przezornie zaciągnęli zasłony. Ci z wyższych pięter nie zwracali sobie tym głowy i przez odsunięte zasłony wpadał do środka chłodny nocny powiew wiatru. Życie w tych pokojach było całkowicie wystawione na widok publiczny. (Komu by przyszło do głowy, że w środku nocy ktoś się ukrywa na diabelskim młynie i podgląda ich przez lornetkę?). Miu jednak nie bardzo interesowało podglądanie prywatnego życia innych ludzi. Za bardziej frapujące uznała zerkanie do własnego pokoju.

Kiedy zakończyła obserwację wszystkich okien, wróciła do swojego mieszkania i aż jej dech zaparło w piersiach.

W sypialni stał nagi mężczyzna. Początkowo myślała, że wybrała niewłaściwe mieszkanie. Zaczęła przesuwać lornetkę w górę i w dół, w prawo i w lewo, ale bez wątpienia był to jej pokój, jej meble, jej kwiaty w wazonie, jej obrazy wiszące na ścianach. Mężczyzną tym był Ferdinando. Nie miała co do tego żadnych wątpiwości. Siedział na łóżku, zupełnie nagi. Miał owłosiony tors i brzuch, a jego długi penis zwisał miękko niczym drzemiące zwierzę.

Co on robi w moim pokoju? Jej czoło pokryło się cienką warstewką potu. Jak się tam dostał? Miu nie mogła tego zrozumieć. Najpierw się rozzłościła, ale potem ostupiała. W oknie pojawiła się jakaś kobieta. Miała na sobie białą bluzkę z krótkim rękawem i krótką niebieską spódnice z bawełny. Kobieta? Miu mocniej ścisnęła lornetkę i skupiła wzrok na tej scenie.

Zobaczyła samą siebie.

Czuła pustkę w głowie. Stoję tu, patrząc przez lornetkę na swój pokój. A w tym pokoju jestem ja. Miu przesuwała pokrętko regulujące ostrość, ale chociaż wiele razy spoglądała na pokój, nieodmiennie widziała w nim siebie.

W tym samym ubraniu, które nosiła w tej chwili. Ferdinando przyciągnął ją do siebie i zaniósł na łóżko.

Całując Miu, delikatnie ją rozebrał. Zdjął jej bluzkę, rozpiął stanik, ściągnął spódnice, pocałował w nasadę szyi, pieszcząc dłońmi piersi. Po chwili jedną ręką zdjął jej majtki - te same, które miała akurat na sobie. Miu nie mogła oddychać. Co się dzieje?

Zanim się obejrzała, penis Ferdinanda się uniósł, sztywny jak pręt. Jeszcze nigdy nie widziała tak ogromnego członka. Ferdinando ujął rękę Miu i położył ją sobie na penisie. Zaczął ją pieścić i całować od stóp do głów. Nie śpieszył się. Miu się nie opierała. Miu -ta w mieszkaniu - pozwalała mu na wszystko, napawając się rosnącą namiętnością. Od czasu do czasu wyciągała rękę i głaskała penis i jądra Ferdinanda. I pozwalała mu wszędzie się dotykać. Nie potrafiła oderwać oczu od tego dziwnego widoku. Zrobiło jej się niedobrze. Gardło miała tak wyschnięte, że nie mogła oddychać. Czuła, że za chwilę zwymiotuje. Wszystko było tak absurdalnie wyolbrzymione, groźne jak na średniowiecznym malowidle alegorycznym. I tak też pomyślała Miu: oni rozmyślnie przedstawiają jej tę scenę. Wiedzą, że patrzę. A jednak patrzyła jak urzeczona.

Pustka.

Co się stało potem?

Tego Miu nie pamiętała. W tym punkcie jej pamięć się urywała.

- Nie mogę sobie przypomnieć - powiedziała. Ukryła twarz w dłoniach. - Wiem tylko, że było to przerażające doświadczenie - dodała cicho. - Znajdowałam się w jednym miejscu, a druga ja była tam. A ten mężczyzna
- Ferdinando - robił ze mną różne rzeczy.
- Jak to - różne rzeczy?

- Po prostu nie pamiętam. Różne rzeczy. Utknęłam na tym diabelskim młynie, a on robił ze mną, co chciał- z tą mną w mieszkaniu. Nie chodzi o to, że boję się seksu. Był taki okres, kiedy bardzo lubiłam seks z przypadkowo poznanymi mężczyznami. Ale wyglądało to zupełnie inaczej niż scena, którą zobaczyłam w swoim pokoju. Tam wszystko było pozbawione znaczenia i obsceniczne, miało na celu tylko jedno - do cna mnie zbrukać. Ferdinando użył wszystkich sztuczek, jakie znał, by mnie uwalać swymi grubymi paluchami i mamucim penisem - chociaż tamta ja nie uważała, by przez to stawała się brudna. A w końcu to nawet już nie był Ferdinando.

- To nie był Ferdinando? - Spojrzałam na Miu. -Jeśli nie on, to kto?

- Nie wiem. Nie pamiętam. Ale w końcu to już nie był Ferdinando. Może od samego początku to nie był on. Następną rzeczą, jaką pamiętała Miu, było to, że leżała w szpitalnym łóżku, w białej szpitalnej koszuli na nagim ciele. Bolały ją wszystkie stawy. Lekarz wyjaśnił, co się wydarzyło. Rano jeden z pracowników lunaparku znalazł portfel, który wyrzuciła, i domyślił się, co się stało. Opuścił diabelski młyn i zadzwonił na pogotowie. Miu leżała bezwładnie w wagoniku, nieprzytomna. Wyglądało na to, że jest w szoku, jej źrenice nie reagowały na światło. Twarz i ręce miała pokryte zadrapaniami, bluzkę - całą we krwi. Zabrali ją do szpitala. Nikt nie mógł dojść, skąd wzięły się te rany. Na szczęście żadna z nich nie

pozostawiła trwałą bliznę. Policja wezwała na przesłuchanie staruszka, który obsługiwał diabelski młyn, lecz on nie pamiętał, by tuż przed zamknięciem wpuszczał ją na karuzelę.

Następnego dnia przyszło kilku miejscowych policjantów, by zadać jej parę pytań. Miu miała trudności z udzielaniem odpowiedzi. Kiedy porównali jej twarz ze zdjęciem z paszportu, zmarszczyli brwi, a na ich twarzach pojawił się jakiś dziwny wyraz, jakby połknęli coś obrzydliwego. Powiedzieli z wahaniem: Mademoiselle, proszę wybaczyć, że pytamy, ale czy na pewno ma pani dwadzieścia pięć lat? Tak, odparła, tak jak jest to napisane w moim paszporcie. Dlaczego musieli o to pytać?

Ale nieco później, kiedy poszła do łazienki umyć twarz, zrozumiała. Każdy włos na jej głowie był siwy. Białuteńki jak świeży śnieg. Początkowo myślała, że widzi w lustrze kogoś innego. Odwróciła się, ale była sama w łazience.

Raz jeszcze spojrzała w lustro i w tej chwili świat zawalił jej się na głowę. Ta siwa kobieta spoglądająca na nią z lustra to ona sama. Straciła przytomność i upadła na podłogę.

I wtedy Miu zniknęła.

- Wciąż byłam tutaj, po tej stronie, ale druga ja, może połowa mnie, przeszła na drugą stronę, zabierając ze sobą moje czarne włosy, pożądanie, moją menstruację, owulację, może nawet wolę życia. A połowa, która została, jest tą, którą widzisz teraz. Czuję od bardzo dawna, że na

diabelskim młynie w małym szwajcarskim miasteczku, z powodu, którego nie potrafię wytłumaczyć, już na zawsze pękłam na pół. Może było to coś w rodzaju transakcji. Nic mi nie zostało skradzione, bo to wszystko istnieje nadal, po drugiej stronie. Od tej drugiej strony dzieli nas tylko lustro. Ale już nigdy nie przekroczę granicy tej tafli szkła. Nigdy.

Zaczęła lekko skubać paznokcie.

- Może „nigdy” to za mocne słowo. Może kiedyś, gdzieś znowu się spotkamy i połączymy w jedną całość. Pozostaje jednak bardzo ważne pytanie, na które nie ma odpowiedzi: która ja, po której stronie, jest tą prawdziwą? Nie mam pojęcia. Czy prawdziwa ja to ta, która tuliła Ferdinando? Czy ta, w której wzbudzał on obrzydzenie? Nie czuję się na siłach, by to rozwikłać.

Kiedy wakacje się skończyły, Miu nie wróciła do szkoły. Rzuciła studia za granicą i pojechała z powrotem do Japonii. I już nigdy nie dotknęła klawiatury fortepianu. Moc tworzenia muzyki ją opuściła, by więcej nie powrócić. Rok później umarł jej ojciec i Miu przejęła po nim firmę.

- To, że już nie mogłam grać na fortepianie, oczywiście było dla mnie szokiem, ale nie roztrząsałam tego. Miałam niejasne wrażenie, że prędzej czy później musiało się tak stać. Któregoś dnia... - Miu się uśmiechnęła. - Na świecie jest pełno pianistów. Dwudziestu aktywnych zawodowo

pianistów światowej klasy to więcej niż dość. Wystarczy pójść do sklepu muzycznego i odnaleźć wszystkie wersje *Sonaty Waldsteinowskiej*, *Kreisleriany*, cokolwiek. Istnieje ograniczona liczba utworów muzyki poważnej, które można nagrać, i ograniczona przestrzeń na półkach z płytami. Z punktu widzenia przemysłu muzycznego dwudziestu najlepszych pianistów to bardzo dużo. Nikt by się nie przejął, gdybym nie dołączyła do ich grona. Miu rozłożyła przed sobą wszystkie dziesięć palców i zaczęła raz za razem odwracać dłonie. Jakby sprawdzała swoją pamięć.

- Po mniej więcej rocznym pobycie we Francji zauważyłam coś dziwnego. Pianiści, którzy mieli technikę gorszą niż moja i którzy nie ćwiczyli nawet połowy tego, co ja, potrafili wzruszać słuchaczy bardziej, niż mi się to kiedykolwiek udało. W końcu mnie pokonali. Początkowo myślałam, że to zwykłe nieporozumienie. Ale powtarzało się to tyle razy, że doprowadziło mnie do szału. Jakaż to niesprawiedliwość! - myślałam. A jednak powoli, choć nieuchronnie, zrozumiałam, że czegoś mi brakuje. Czegoś absolutnie niezbędnego, chociaż nie wiedziałam, co to takiego. Chyba pewnego rodzaju głębi emocji, dzięki której muzyka inspiruje innych. W Japonii tego nie dostrzegałam. Tam nigdy z nikim nie przegrałam, a już na pewno nie miałam czasu krytycznie oceniać własnej gry. Ale w Paryżu, otoczona przez tylu utalentowanych pianistów, w końcu zrozumiałam. Stało się to całkowicie jasne - jak fakt, że słońce wschodzi, a mgła się rozprasza.

Miu westchnęła. Podniosła wzrok, uśmiechając się.

- Od dzieciństwa lubiłam ustalać własne zasady i żyć zgodnie z nimi. Byłam bardzo niezależną, nad wiek poważną dziewczynką. Urodziłam się w Japonii, uczęszczałam do japońskich szkół, bawiłam się z japońskimi dziećmi. Pod względem emocjonalnym byłam do głębi Japonką, lecz pochodziłam z innego kraju. Ściśle mówiąc, Japonia zawsze pozostanie dla mnie obcym krajem. Moi rodzice nie byli zbyt zasadniczy, lecz odkąd pamiętam, zawsze wpajali mi jedno: jesteś tu cudzoziemką. Doszłam do wniosku, że po to, by przetrwać, muszę stać się silnym człowiekiem.

Miu ciągnęła cichym głosem.

- Siła sama w sobie nie jest niczym złym, lecz sięgając myślą wstecz, widzę, że za bardzo się do niej przyzwyczaiłam i nigdy nie starałam się wczuć w sytuację słabych. Za bardzo przywykłam do szczęścia i nie próbowałam zrozumieć tych, którzy mieli go mniej. Ciesząc się zawsze świetnym zdrowiem, nie starałam się zrozumieć cierpień tych, którzy zdrowi nie byli. Za każdym razem, kiedy widziałam osobę w tarapatach, kogoś sparaliżowanego przez bieg wydarzeń, uznawałam, że to tylko i wyłącznie jego wina - po prostu nie przykładał się wystarczająco mocno. Ludzie, którzy narzekali, byli po prostu leniwi. Mój pogląd na świat był niezachwiany i praktyczny, lecz brakowało mu ludzkiego ciepła. Ale ani jedna osoba z mojego otoczenia mi tego nie wytknęła.

Dziewictwo straciłam, mając siedemnaście lat i potem sypiałam z dość dużą liczbą mężczyzn. Miałam wielu chłopaków, a jeżeli byłam w odpowiednim nastroju, nie stroniłam od przygód na jedną noc. Ale nigdy nikogo szczerze nie pokochałam. Nie miałam na to czasu. Myślałam tylko o tym, żeby zostać pianistką światowej sławy i w ogóle nie brałam pod uwagę zejścia z tej ścieżki. Czegoś mi brakowało, ale kiedy dostrzegłam te niedostatki, było już za późno.

Znowu rozpostarła przed sobą obie dłonie i przez chwilę się zastanawiała.

- W tym sensie to, co się wydarzyło w Szwajcarii czternaście lat temu, równie dobrze mogłam stworzyć sama. Niekiedy w to wierzę.

Miu wyszła za mąż w wieku dwudziestu dziewięciu lat. Od tego incydentu w Szwajcarii stała się całkowicie oziębła i nie potrafiła już z nikim uprawiać seksu. Coś w niej umarło na zawsze. Podzieliła się tym faktem - i tylko nim - z mężczyzną, którego w końcu poślubiła. Dlatego nie mogę wyjść za mąż, wyjaśniła. Ale ten mężczyzna kochał Miu i chociaż ich związek musiał pozostać platoniczny, chciał z nią przeżyć resztę swojego życia. Miu nie mogła znaleźć istotnego powodu, dla którego miałyby odrzucić jego oświadczenia. Znała go od dzieciństwa i zawsze go lubiła. Niezależnie od formy tego związku, był jedyną osobą, z którą mogłaby dzielić swoją przyszłość. Poza tym, z praktycznego punktu widzenia, małżeństwo było ważne dla prowadzenia jej rodzinnej firmy.

Miu ciągnęła:

- Mój mąż i ja widzimy się tylko w weekendy i generalnie dobrze nam ze sobą. Jesteśmy jak starzy przyjaciele, życiowi partnerzy, którzy umieją miło spędzać czas razem. Rozmawiamy o rozmaitych rzeczach i całkowicie sobie ufamy. Nie wiem, gdzie i czy w ogóle prowadzi życie seksualne, i wcale mnie to nie obchodzi. Nigdy się nie kochamy - nigdy nawet się nie dotykamy. Źle mi z tym, ale nie chcę go dotykać. Po prostu nie chcę.

Zmęczona mówieniem, Miu w milczeniu ukryła twarz w dłoniach. Na zewnątrz niebo się rozjaśniło.

- W przeszłości byłam żywa, teraz też jestem żywa, rozmawiając z tobą. Ale to, co widzisz, nie jest prawdziwą mną. To tylko cień osoby, którą byłam kiedyś. Ty naprawdę żyjesz. Ja nie. Nawet słowa, które wypowiadałam w tej chwili, brzmią pusto jak echo.

Bez słowa otoczyłam Miu ramieniem. Nie znajdowałam odpowiednich słów, więc tylko ją przytuliłam.-^

Kocham Miu. Nie muszę dodawać, że Miu po tej stronie. Ale równie mocno kocham Miu z tamtej strony. W chwili, kiedy to pomyślałam, odniosłam wrażenie, jakbym usłyszała, że z wyraźnym trzaskiem pękam na pół. Jakby rozpad Miu dosięgnął mnie samej. Uczucie to było wszechogarniające i wiedziałam, że nie mogę zrobić nic, by je zwalczyć.

Pozostaje jednak pytanie. Jeżeli ta strona, po której teraz znajduje się Miu, nie jest prawdziwym światem

- jeżeli ta strona jest właściwie drugą stroną - to co ze mną, osobą, która dzieli z nią tę samą płaszczyznę czasu i przestrzeni?

Kim, u diabła, j a jestem?

Przeczytałem oba dokumenty dwa razy. Pierwszy szybko przeleciałem, potem przeanalizowałem powoli, zwracając uwagę na szczegóły, starając się wryć je sobie w pamięć. Dokumenty te bez wątpienia zostały napisane przez Sumire; aż roilo się w nich od zwrotów właściwych jej stylowi. W ogólnym tonie brzmiało jednak coś innego, coś, czego nie potrafiłem sprecyzować. Wydawał się bardziej powściągliwy, bardziej zdystansowany. Mimo wszystko nie miałem najmniejszych wątpliwości - autorką obu była Sumire.

Po chwili wahania wsunąłem dyskietkę do kieszeni swojej torby. Kiedy Sumire wróci, po prostu odłożę dyskietkę na miejsce. Pozostawał problem, co zrobić, jeżeli nie wróci. Jeśli ktoś przejrzy jej rzeczy, na pewno natknie się na tę dyskietkę, a nie zniósłbym, gdyby obce oczy miały obejrzeć to, co przed chwilą przeczytałem.

Po lekturze dokumentów musiałem wyjść z domu.

Przebrałem się w czystą koszulę i powlokłem się schodami do miasta. Wymieniłem czek podróżny za sto dolarów, kupiłem w kiosku kolorowe pismo po angielsku i usiad-

łem z lekturą pod parasolem w kawiarni. Zaspany kelner przyjął ode mnie zamówienie na lemoniadę i tost z topionym serem. Bez pośpiechu spisał zamówienie tępym ołówkiem. Na jego plecach przez koszulę przesiąkał pot, tworząc wielką plamę. Wyglądała tak, jakby przekazywała mi jakąś wiadomość, której jednak nie mogłem odszyfrować.

Zacząłem odruchowo przerzucać strony gazety, po czym z roztargnieniem przeniósłem wzrok na port. Znikąd pojawił się wychudzony czarny pies, który obwąchał mi nogi, po czym, straciwszy zainteresowanie, poczłapał dalej. Ludzie spędzali to ospałe letnie popołudnie, nie ruszając się z miejsca. W ruchu byli tylko kelner i pies, chociaż wątpiłem, czy długo wytrzymają. Staruszek w kiosku, gdzie kupiłem gazetę, mocno zasnął pod parasolem, szeroko rozstawiwszy nogi. Pomnik bohatera narodowego na placu stał obojętnie jak zwykle, odwrócony plecami do intensywnego słońca.

Ochłodziłem sobie dłonie i czoło szklanką-x zimną lemoniadą, analizując wszelkie możliwe powiązania między zniknięciem Sumire a tym, co napisała.

Sumire nie pisała przez długi czas. Kiedy spotkała Miu na tamtym weselu, jej pragnienie tworzenia wyfrunęło przez okno. A jednak tutaj, na tej małej wysepce, w krótkim czasie udało jej się napisać obie te rzeczy. To spory wyczyn, w ciągu dwóch dni skomponować tak długi tekst. Coś musiało popchnąć Sumire do tego, by usiadła i zabrała się do pracy. Jaka była jej motywacja?

A raczej - jaki temat łączył te dwa teksty? Podniosłem wzrok, spojrzałem na ptaki odpoczywające na nabrzeżu i zastanawiałem się przez jakiś czas.

Było za gorąco, by myśleć o tak skomplikowanych sprawach. Poza tym miałem mętlik w głowie i byłem zmęczony. Mimo to, jak gdyby mobilizując resztki swej pokonanej armii - bez trąbek i bębneków - pozbierałem rozproszone myśli. Skupiłem uwagę i zacząłem składać wszystkie elementy w jedną całość.

- Naprawdę ważne - szepnąłem na głos do siebie - są nie wielkie rzeczy, które wymyślają inni ludzie, lecz drobiazgi, które wymyślasz sam. - Moja standardowa maksyma, którą zawsze wpajałem swoim uczniom. Ale czy to na pewno prawda? Łatwo powiedzieć, trudniej wcielić w życie. Trudno zacząć nawet od drobiazgów, już nie wspominając o ogólnym obrazie. A może im mniejszy szczegół, tym trudniej go uchwycić? Poza tym nie pomaga mi to, że znajduję się tak daleko od domu.

Sen Sumire. Rozpad Miu.

Uświadomiłem sobie, że chodzi tu o dwa różne światy. I to jest wspólny element.

Dokument 1: dotyczy snu Sumire. Sumire wspina się po długich schodach na spotkanie ze zmarłą matką. Ale w chwili gdy dociera na górę, matka już wraca na drugą stronę. I Sumire nie może jej powstrzymać. Staje na

szczybie wieży, otoczona przez przedmioty z innego świata. Sumire miała wiele podobnych snów.

Dokument 2: dotyczy dziwnego doświadczenia, jakie Miu miała czternaście lat temu. Utknęła nocą na diabelskim młynie w lunaparku w szwajcarskim miasteczku i zaglądając przez lornetkę do własnego pokoju, zobaczyła w nim swoje drugie „ja”. Doppelgangera. To przeżycie zniszczyło Miu jako człowieka - a przynajmniej umożliwiło tę destrukcję. Jak to ujęła sama Miu, rozpadła się na pół, a między dwiema połówkami znalazło się lustro. Sumire namówiła Miu do opowiedzenia tej historii, a potem ją spisała, najlepiej jak potrafiła.

Ta strona - tamta strona. Oto wspólny wątek. Przejście z jednej strony na drugą. Sumire z pewnością zainspirował ten motyw, skoro spędziła tyle czasu nad jego opisaniem. Zapożyczając jej własne określenie, spisanie wszystkiego pomogło jej myśleć.

Przyszedł kelner, by sprzątnąć resztki mojego tostu, a ja zamówiłem dolewkę lemoniady. Poprosiłem o mnóstwo lodu. Kiedy przyniósł napój, upiłem łyk i znowu schłodziłem sobie czoło szklanką.

„A co, jeżeli Miu mnie nie zaakceptuje?” - napisała Sumire. „Przekroczę ten most, kiedy przyjdzie pora. Musi polać się krew. Zaostrzę nóż i przygotuję się, by gdzieś poderznąć gardło psu”.

Co próbowała przekazać? Czy dawała do zrozumienia, że może się zabić? Nie potrafiłem w to uwierzyć. Nad jej słowami nie unosił się ostry odór śmierci. Wyczuwałem raczej chęć zrobienia kroku do przodu, walkę o nowy początek. Psy i krew to tylko metafory, jak jej to wytłumaczyłem na ławce w parku Inogashira. Czerpią znaczenie z magicznych, życiodajnych sił. Opowieść o chińskich bramach była metaforą tego, jak historia nabiera magii. Gotowa gdzieś poderżnąć gardło psu.

Gdzie?

Moje myśli rozbiły się o twardy mur. Zabrnąłem w ślepią uliczkę.

Dokąd mogła odejść Sumire? Czy jest jakieś miejsce na tej wyspie, gdzie zdołałaby się ukryć?

Nie byłem w stanie pozbyć się wizji Sumire, która wpadła do studni na odludziu i czeka teraz na pomoc.

Ranna, samotna, umierająca z głodu i pragnienia. Myśl ta doprowadzała mnie do szaleństwa.

Policjanci dali mi jasno do zrozumienia, że na wyspie nie ma ani jednej studni. Nie słyszeli też o żadnych dołach w pobliżu miasteczka. Oznajmili, że gdyby takowe istniały, dowiedzieliby się o nich pierwsi. Musiałem przyznać im rację.

Postanowiłem zaryzykować pewną teorię.

Sumire przeszła na drugą stronę.

To by wiele tłumaczyło. Sumire przedostała się przez lustro i zawędrowała na drugą stronę, by spotkać drugą

Miu, która się tam znajdowała. Czyż nie było to logiczne posunięcie, skoro Miu po tej stronie ją odrzuciła?

Wydostałem z pamięci to, co napisała: „Co więc powinniśmy zrobić, by uniknąć zderzenia? Logicznie rzecz biorąc, to proste. Odpowiedź brzmi: marzenia. Należy marzyć bez ustanku. Wkroczyć do świata marzeń i nigdy go nie opuszczać. Żyć marzeniami już do końca". Pozostaje wszak jedno pytanie. Istotne pytanie. Jak się tam dostać?

Z logicznego punktu widzenia to łatwe. Niełatwo jednak to wytłumaczyć.

Wróciłem do punktu wyjścia.

Pomyślałem o Tokio. O swoim mieszkaniu, szkole, gdzie uczyłem, śmieciach z kuchni, które ukradkiem wrzuciłem do kosza na dworcu. Przebywałem poza Japonią zaledwie od dwóch dni, a już wydawało mi się, że jestem w innym świecie. Za tydzień miał się zacząć nowy semestr. Wyobraziłem sobie, jak stoję przed trzydziestoma pięcioma uczniami. Z tej odległości myśl o nauczaniu kogokolwiek - nawet dziesięciolatków - wydawała mi się absurdalna.

Zdjąłem okulary przeciwsłoneczne, otarłem chusteczką pot z czoła, założyłem je ponownie i spojrzałem na ptaki morskie.

Myślałem o Sumire. O tej kolosalnej erekcji, jaką miałem, siedząc koło niej, kiedy wprowadziła się do nowego mieszkania. Była to tak straszliwa, twarda jak kamień erekcja, jakiej nigdy przedtem nie doświadczyłem.

Zupełnie jakbym miał eksplodować. W tamtej chwili, w wyobraźni - w takim „świecie marzeń”, o jakim pisała Sumire - kochałem się z nią. A odczucie to było o wiele bardziej rzeczywiste niż każdy z aktów seksualnych, jakie kiedykolwiek przeżyłem.

Przełknąłem trochę lemoniady, żeby zwilżyć gardło. Wróciłem do swojej hipotezy i zrobiłem krok do przodu. Sumire w jakiś sposób znalazła wyjście. Jakie to wyjście i jak je znalazła, tego nie mogłem się dowiedzieć. Na tym muszę poprzestać. Przypuśćmy, że to pewnego rodzaju drzwi. Zamknąłem oczy i stworzyłem sobie w wyobraźni mentalny obraz - szczegółowy obraz drzwi. Zwykłych drzwi umieszczonych w zwykłej ścianie. Sumire znalazła je, przekreśliła gałkę i wślizgnęła się do środka - z tej strony na tamtą. Odziana tylko w cienką jedwabną piżamę i miękkie sandały.

To, co znajdowało się za tymi drzwiami, przekraczało granice mojej wyobraźni. Drzwi się zamknęły i Sumire już nie wróci.

W domu przyrządziłem sobie skromną kolację z produktów, które znalazłem w lodówce. Makaron z bazylią i pomidorami, sałatka, piwo Amstel. Usiadłem na werandzie, zatopiony w myślach. A może nie myślałem o niczym. Nikt nie dzwonił. Może Miu próbowała dodzwonić się z Aten, ale na tutejsze połączenia nie można było liczyć.

Błękit nieba chwila po chwili ciemniał coraz bardziej, wzeszedł ogromny okrągły księżyc, a garść gwiazd przebiła sklepienie. Nad wzgórzami wiał wiatr, szeleszcząc hibiskusem. Opustoszała latarnia na końcu moła mrugała swym odwiecznym światłem. Ludzie powoli schodzili po zboczach, prowadząc ze sobą osły. Odgłosy ich głośniejszych rozmów przybliżały się, po czym mknęły w oddali. W milczeniu chłonałem to wszystko, tę egzotyczną scenę, która wydawała mi się całkowicie naturalna.

Telefon już nie zadzwonił, a Sumire się nie pojawiła. Czas płynął, cicho i delikatnie, zapadał coraz głębszy wieczór. Wziąłem z jej pokoju kilka kaset i odtworzyłem je na wieży stereo w salonie. Na jednej z nich była kolekcja pieśni Mozarta. Na okładce napisano odręcznie „Elisabeth Schwarzkopf i Walter Gieseking (f)”. Nie znam się zbyt dobrze na muzyce poważnej, lecz jedno przesłuchanie uświadomiło mi, jak piękna to muzyka. Styl śpiewania był nieco archaiczny, lecz kojarzył mi się z lekturą cudownej, niezapomnianej prozy - kazał siedzieć prosto i słuchać uważnie. Wydawało mi się, że wykonawcy stoją tuż przede mną, ich delikatne frazowanie wznosiło się, opadało i znowu wznosiło. Jedną z tych pieśni z pewnością była *Sumire*. Zatonąłem w fotelu, zamknąłem oczy i zaszłuchałem się w muzykę wraz ze swoją zaginioną przyjaciółką. Obudziła mnie muzyka. Muzyka odległa, ledwo słyszalna. Powoli, w tempie, które przypominało wciąganie kotwicy z dna morza, te ciche dźwięki przywracały mi

świadomość. Usiadłem w łóżku, pochyliłem się w stronę otwartego okna i zacząłem uważnie nasłuchiwać. Na zegarku koło łóżka było po pierwszej. Muzyka? O tej porze? Włożyłem spodnie i koszulę, wsunąłem buty i wyszedłem przed dom. Wszystkie światła w okolicznych domach były zgaszone, ulice opustoszałe. Żadnego wiatru ani szumu fal. Tylko światło księżyca, w którym skąpana była ziemia. Stałem, nasłuchując. Co dziwne, muzyka zdawała się płynąć ze szczytu *wzgórz*. Na stromych górach nie znajdowały się żadne wioski, jedynie garstka szałasów pasterskich i klasztorów, gdzie mnisi wiedli swe życie w zamknięciu. Trudno mi było sobie wyobrazić, by ktokolwiek z nich o tej porze nocy zorganizował festiwal muzyczny. Na zewnątrz muzyka stała się wyraźniejsza. Nie rozpoznawałem melodii, lecz rytm niewątpliwie był grecki. Pobrzmiwały w niej nierówne ostre dźwięki muzyki granej na żywo, nie płynącej z głośników. W tamtej chwili już całkiem się rozbudziłem. Letnie nocne powietrze było przyjemne, obdarzone tajemniczą głębią. Gdybym się nie martwił o Sumire, poczułbym się jak na jakiejś uroczystości. Wsparłem dłonie na biodrach, przeciągnąłem się, patrząc w niebo, i wziąłem głęboki oddech. Wniknął we mnie chłód nocy. Nagle uderzyła mnie myśl - może w tym samym momencie Sumire słucha identycznej melodii? Postanowiłem pójść kawałek w stronę, z której dochodziła muzyka. Musiałem *znaleźć* jej źródło, wykonaw-

212

cę. Droga na szczyt wzgórza była tą samą, którą rano szedłem na plażę, więc już ją znałem. Zdecydowałem zejść tak daleko, jak tylko dam radę.

Jasne światło księżyca oświetlało okolicę, ułatwiając mi marsz. Kładło głębokie cienie między klifami, barwiło ziemię na nieprawdopodobne kolory. Za każdym razem, kiedy podeszwy moich butów do joggingu trzeszczały na żwirze, odgłos ten był potęgowany. W miarę jak wspinałem się po zboczu, muzyka stawała się coraz wyraźniejsza. Tak jak przypuszczałem, płynęła ze szczytu wzgórza.

Rozpoznałem coś w rodzaju instrumentu perkusyjnego, buzuki, akordeonu i fletu. Może też gitarę. Poza tym nie słyszałem nic. Żadnego śpiewu, żadnych okrzyków. Tylko tę muzykę, graną bez końca w obojętnym, niemalże monotonnym tempie.

Chciałem zobaczyć, co się dzieje na szczycie góry, lecz jednocześnie pomyślałem, że nie powinienem zbliżyć się za blisko. Nieodparta ciekawość zabarwiona instynktownym lękiem. A jednak musiałem iść do przodu. Czułem się jak we śnie. Brakowało zasady, która dawałaby mi inny wybór. A może zabrakło wyboru, który stwarzałby tę zasadę? Mogłem się domyślać, że parę dni wcześniej ta sama muzyka obudziła Sumire; ciekawość wzięła górę i Sumire w piżamie wdrapała się po zboczu.

Przystanąłem i odwróciłem się. Zbocze skręcało lekko ku miastu niczym ślady olbrzymiego owada. Stojąc w świetle księżyca, podniosłem wzrok na niebo i spojrzałem na

swoją dłoń. Nagle mnie olśniło i zrozumiałem, że to już nie moja dłoń. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale wystarczył mi jeden rzut oka, bym to sobie uświadomił. Moja ręka już nie należała do mnie, a moje nogi już nie były moje. Skapane w bladym świetle księżyca, moje ciało - niczym lalka z gipsu - utraciło całe swe żywe ciepło. Tak jakby czarownik wudu rzucił na mnie urok, wtłaczając me ulotne istnienie w tę bryłę gliny. Zgasła iskra. Moje prawdziwe życie gdzieś zasnęło, a jakiś człowiek bez twarzy upchnął je w walizce, gotów do wyjazdu. Przeszył mnie straszliwy dreszcz i poczułem dławienie w gardle. Ktoś na nowo ułożył moje komórki, rozwiązał nici trzymające mój umysł w całości. Nie mogłem jasno myśleć. Mogłem tylko jak najszybciej wycofać się do swego zwykłego schronienia. Wziąłem potężny oddech, opadając aż na samo dno morza świadomości. Rozgarniając z trudem wodę, szybko zanurkowałem i obiema rękami pochwyciłem wielki kamień. Woda dudniła o moje bębniaki. Mocno zacisnąłem oczy i stawiając jej opór, wstrzymałem oddech. Kiedy już podjąłem decyzję, nie było to takie trudne. Zdażyłem się przyzwyczaić do ciśnienia wody, braku powietrza, lodowatej ciemności, sygnałów emitowanych przez chaos. W dzieciństwie na okrągło opanowywałem tę sztukę. Czas się cofnął, zrobił pętlę i uporządkował się na nowo. Świat rozciągał się w nieskończoność - a jednak był określony i ograniczony. Przez ciemne korytarze, jak meduzy, jak dryfujące dusze, przepływały wyraźne obrazy, i tylko obrazy. Ja jednak zmuszałem się, by nie patrzeć

na nie. Gdybym je do siebie dopuścił chociaż trochę, obrosłyby w znaczenie. Znaczenie było przywiązane do tego, co ziemskie, a to co ziemskie usiłowało wypchnąć mnie na powierzchnię. Szczelnie zamknąłem przed nimi swój umysł, czekając, aż miną.

Nie wiem, jak długo pozostałem w takim stanie. Kiedy wyskoczyłem na powierzchnię, otworzyłem oczy, cicho zaczerpnąłem powietrza; muzyka tymczasem ucichła. Tajemnicze przedstawienie się skończyło. Nasłuchiwałem uważnie, lecz nie słyszałem nic. Absolutnie nic. Żadnej muzyki, żadnych ludzkich głosów czy szumu wiatru. Chciałem sprawdzić, która godzina, lecz nie miałem zegarka. Zostawiłem go przy łóżku.

Niebo było teraz rozgwieżdżone. A może to tylko moja wyobraźnia? Wyglądało, jakby zmieniło się w coś zupełnie innego. Dziwne wrażenie wyobcowania, jakie miałem przedtem, zniknęło. Przeciągnąłem się, zgiąłem ręce i palce. Już nie czułem się jak nie na miejscu. Byłem spocony pod pachami, ale to wszystko.

Podniosłem się z trawy i z powrotem ruszyłem pod górę. Skoro zaszedłem aż tak daleko, to równie dobrze mogłem wdrapać się na sam szczyt. Czy rzeczywiście grała tam muzyka? Musiałem sam się o tym przekonać, choćbym miał znaleźć tylko niewyraźne ślady. W ciągu pięciu minut stanąłem na szczycie. Na południu wzgórze schodziło ku morzu, portowi i uśpionemu miasteczku. Drogę wzdłuż wybrzeża oświetlały rozstawione tu i ówdzie latarnie. Drugą stronę góry spowijała ciemność, nie było

widać ani jednego światełka. Wpatrywałem się uważnie w mrok i w końcu w oddali, w świetle księżyca zamajaczyła linia wzgórz. Za nimi rozpościerał się jeszcze głębszy mrok. A wokół mnie nie znalazłem żadnych oznak, żeby chwilę wcześniej odbywał się tu koncert na żywo.

W mojej głowie nadal odzywało się jego echo, lecz już sam nie byłem pewien, czy rzeczywiście słyszałem muzykę.

W miarę upływu czasu coraz bardziej traciłem tę pewność. Może to było tylko złudzenie, może moje uszy odebrały sygnały z innego czasu i miejsca. Takie rozwiązanie miało sens - a myśl, że o pierwszej w nocy ludzie gromadzili się na szczycie góry, by grać, była nedorzeczna.

Na niebie nad szczytem, nieznośnie nisko, wisiał chropowaty księżyc. Twarda, kamienna kula o skórze nadzartej przez bezlitosny upływ czasu. Złowieszcze cienie na jego powierzchni były ślepyimi rakowatymi komórkami, które wyciągały swe macki ku ciepłu życia. Światło księżyca spowijało wszystkie dźwięki, usuwało wszelkie znaczenie, wprowadzało chaos w każdy umysł. Dzięki niemu Miu ujrzała swoje drugie ja. To ono dokądś zabrało kotka Sumire. To przez nie Sumire zniknęła.

A mnie przywiodło tutaj, w sam środek muzyki, która najprawdopodobniej w ogóle nie istniała. Przede mną rozciągała się bezdenne ciemność, za mną - cały świat bladego światła. Stałem tak na szczycie góry, w obcym kraju, skąpany w świetle księżyca. Może to wszystko od samego początku zostało starannie zaplanowane.

Wróciłem do wioski i wypłem szklaneczkę brandy z zapasów Miu. Próbowałem zasnąć, lecz bez skutku. Nawet nie zmrużyłem oka. Dopóki niebo na wschodzie się nie rozjaśniło, tkwiłem w uścisku księżycy, siły grawitacji i czegoś, co podobnie jak ja nie spało. Wyobrażałem sobie koty umierające z głodu w zamkniętym mieszkaniu. Miękkie, małe zwierzęta mięsożerne. Ja - ten prawdziwy - umarłem, a one żyły, pożerały moje ciało, żuły serce, wysysały krew. Jeżeli bacznie nadstawiłem ucha, słyszałem, jak gdzieś daleko, daleko stąd koty chłopcą mój mózg. Trzy gibkie koty otaczają moją pękniętą głowę, wyjadając ze środka papkowatą, szarą zupę. Czubki ich czerwonych szorstkich języków oblizują miękkie zwoje mojego mózgu. A z każdym liźnięciem mój umysł - niczym rozedrgane gorące powietrze - migocze i znika.

Ostatecznie nigdy się nie dowiedzieliśmy, co się stało z Sumire. Jak to ujęła Miu, rozwiała się jak dym. Dwa dni później Miu wróciła południowym promem na wyspę razem z urzędnikiem z japońskiej ambasady zajmującym się sprawami turystyki. Spotkali się z miejscowymi policjantami, którzy rozpoczęli śledztwo na szeroka skalę, angażując w nie mieszkańców wyspy. Policja wywiesiła plakaty z apelem, a w ogólnokrajowej gazecie wydrukowano powiększone zdjęcie Sumire z paszportu.

Zgłosiło się wiele osób, lecz nic się nie wyjaśniło. Za każdym razem okazywało się, że informacja dotyczy kogoś innego. Na wyspę dotarli też rodzice Sumire. Wyjechałem tuż przed ich przybyciem. Lada dzień miał się rozpocząć nowy semestr, ale przede wszystkim nie mogłem znieść myśli o spotkaniu z nimi. Poza tym środki masowego przekazu w Japonii dowiedziały się o całej sprawie i zaczęły się kontaktować z japońską ambasadą i miejscową policją. Powiedziałem Miu, że już czas, bym wracał do Japonii. Mój dalszy pobyt na wyspie nie pomógłby w odnalezieniu Sumire. Miu pokiwała głową. „Już tyle zrobiłeś - powiedziała. - Naprawdę. Gdybyś nie przyjechał, zupełnie bym się pogubiła. Nie martw się. Wyjaśnię wszystko rodzicom Sumire. I dam sobie radę z reporterami. Zostaw to mnie. Przede wszystkim nie jesteś odpowiedzialny za to, co się stało. W razie potrzeby potrafię się zachować całkiem rzeczowo i samodzielnie”.

Odprowadziła mnie do portu. Wykupiłem bilet na popołudniowy prom na Rodos. Minęło dokładnie dziesięć dni od zniknięcia Sumire. Tuż przed moim wyjazdem Miu mnie przytuliła. W bardzo naturalny sposób. Przez długą chwilę głaskała mnie po plecach. Popołudniowe słońce mocno prażyło, lecz jej skóra wydawała się dziwnie chłodna. Jej ręka usiłowała coś mi powiedzieć. Zamknąłem oczy i słuchałem tych słów. Nie, nie słów, lecz czegoś, czego nie dało się przełożyć na język. W tej ciszy coś między nami przepłynęło.

- Trzymaj się - rzuciła na koniec.
 - Ty też. - Przez chwilę staliśmy przed pomostem wiodącym na prom.
 - Chciałabym, żebyś mi coś powiedział, ale tak szczerze - zagadnęła poważnym tonem, tuż przedtem, zanim wsiadłem na prom. - Myślisz, że Sumire już nie żyje? Pokręciłem głową.
 - Nie mogę tego udowodnić, ale czuję, że żyje. Minęło tyle czasu, ale po prostu nie czuję, że umarła. Miu złożyła opalone ręce i spojrzała na mnie.
 - Prawdę mówiąc, czuję to samo - oświadczyła.
 - Czuję, że Sumire nie umarła. Ale czuję też, że już jej nigdy nie zobaczę. Chociaż również nie mogę tego udowodnić.
- Nie powiedziałem ani słowa. Cisza wplotła się w otaczające nas kształty. Mewy skrzeczały, przecinając bezchmurne niebo, a w kawiarni wiecznie senny kelner niósł kolejną tacę z napojami.
- Miu zacisnęła wargi i pogрузzyła się w myślach.
- Nienawidzisz mnie? - spytała w końcu.
 - Dlatego, że Sumire zniknęła?
 - Tak.
 - Dlaczego miałbym cię nienawidzić?
 - Nie wiem - w jej głosie pobrzmiwało długo tłumione zmęczenie. - Mam takie wrażenie, że i ciebie już nigdy nie zobaczę. Dlatego pytam.
 - Nie nienawidzę cię.
 - Ale kto wie, co będzie później?

- Nie mógłbym kogoś znienawidzić z takiego powodu. Miu zdjęła kapelusz, poprawiła grzywkę i z powrotem włożyła kapelusz. Zerknęła na mnie z ukosa.

- Może dlatego, że niczego od nikogo nie oczekujesz - stwierdziła. - Jej oczy były głębokie i czyste jak zmrok tego dnia, w którym się poznaliśmy. - Ja nie jestem taka. Chciałabym tylko, żebyś wiedział, że cię lubię. Bardzo. Pożegnaliśmy się. Prom wypłynął z portu, śruba okrętowa wzburzyła wodę, gdy zmienił kierunek o sto osiemdziesiąt stopni. Przez cały ten czas Miu stała na nabrzeżu, patrząc, jak odpływam. Miała na sobie obcisłą białą sukienkę i co chwilę podnosiła rękę do kapelusza, żeby nie porwał go wiatr. Stojąc na nabrzeżu na tej małej greckiej wysepce, wyglądała jak postać z innego świata, ulotna, pełna gracji i piękna. Oparłem się o poręcz na pokładzie i obserwowałem ją bardzo długo. Czas zdawał się stać w miejscu, a ta scena już na zawsze wryła się w moją pamięć.

Lecz czas znowu ruszył z miejsca, a Miu robiła się coraz mniejsza, aż w końcu została z niej ledwie niewyraźna kropka, którą wreszcie w całości pochłonęło rozdrżane powietrze. Miasteczko niknęło w oddali, kształt gór stawał się zamazany i w końcu wyspa zlała się w plamę światła, zamigotała i całkiem zniknęła. Na jej miejscu pojawiła się inna i po jakimś czasie podobnie zginęła w oddali. W miarę upływu czasu ogarniało mnie

coraz silniejsze uczucie, że wszystko, co tam po sobie zostawiłem, w ogóle nigdy nie istniało.

Może powinienem był zostać z Miu. I cóż z tego, że zaczynał się nowy semestr? Powinienem dodać jej otuchy, dołożyć wszelkich starań, żeby pomóc w poszukiwaniach, a gdyby wydarzyło się coś strasznego, mógłbym ją utulić, pocieszyć tak, jak tylko bym potrafił. Myślę, że mnie potrzebowała, a w pewnym sensie i ja jej potrzebowałem. Z rzadko spotykaną intensywnością chwyciła mnie za serce.

Uświadomiłem sobie to wszystko po raz pierwszy, stojąc na pokładzie i patrząc, jak znika w oddali. Ogarnęło mnie takie uczucie, jakby drżały we mnie tysiące strun. Była to może nie w pełni ukształtowana miłość romantyczna, lecz coś bardzo do niej zbliżonego. Oszołomiony, usiadłem na ławce, położyłem na kolanach torbę sportową i zagapiłem się na biały kilwater za statkiem. Za promem leciały mewy. Nadal czułem na plecach dotyk małej dłoni Miu, niczym maleńki cień duszy.

Planowałem polecieć prosto do Tokio, lecz z jakiegoś powodu rezerwacja, jaką zrobiłem dzień wcześniej, została odwołana i w końcu wylądowałem na noc w Atenach. Pojechałem do miasta autobusem linii lotnisko-centrum i zatrzymałem się w hotelu polecanym przez linie lotnicze. Był to ładny, przytulny hotel nieopodal dzielnicy Plaka, niestety zatłoczony przez hałaśliwą grupę niemieckich turystów. Nie mając nic innego do roboty, połąziłem po mieście, kupiłem kilka suvenirów dla

nikogo konkretnego, a wieczorem wspiąłem się na szczyt Akropolu. W wieczornej bryzie położyłem się na kamiennej płycie i spojrzałem na białą świątynię wznoszącą się w niebieskawym świetle reflektorów. Cudowny widok jak ze snu.

A jednak czułem do niczego nieporównywalną samotność. Zanim się obejrzałem, cały świat wokół mnie utracił swe barwy. Z surowego szczytu góry, z ruin tych pustych uczuć ujrzałem własne życie w przyszłości. Wyglądało jak ilustracja do powieści science fiction, którą czytałem w dzieciństwie - opustoszała przestrzeń na odludnej planecie. Żadnego śladu życia. Każdy dzień zdawał się ciągnąć w nieskończoność, powietrze albo wrzało, albo zamarało. Statek kosmiczny, który mnie tam zaniósł, zniknął i utknąłem, zmuszony radzić sobie sam.

Raz jeszcze zrozumiałem, jak ważna, jak niezastąpiona była dla mnie -Sumire. Na swój własny, niepowtarzalny sposób łączyła mnie ze światem. Rozmawiając z nią i czytając jej historie, niepostrzeżenie poszerzałem granice swojego umysłu i dostrzegałem rzeczy, których nie widziałem do tej pory. Nawet się nie starając, bardzo się do siebie zbliżyliśmy. Jak para młodych kochanków rozbierających się w swej obecności, Sumire i ja otworzyliśmy przed sobą serca - było to doświadczenie, jakiego nie przeżyłem nigdy wcześniej i z nikim. Ceniliśmy więź, jaka nas łączyła, choć nigdy tego nie ujmowaliśmy w słowa.

Oczywiście bolało mnie, że nigdy nie będziemy uprawiali miłości fizycznej. Bylibyśmy o wiele bardziej szczęśliwi. Ale nasz związek przypominał przyływy i odpływy, pory roku - niezmiennie, niezwruszone przeznaczenie, którego nigdy nie mogliśmy odmienić. Choć tak przemyślnie staraliśmy się ją chronić, nasza delikatna przyjaźń nie mogła trwać wiecznie. Zostaliśmy skazani na utknięcie w martwym punkcie. Było to boleśnie jasne.

Kochałem Sumire bardziej niż kogokolwiek innego i pragnąłem jej ponad wszystko. I nie potrafiłem tak po prostu zapomnieć o tych uczuciach, gdyż nic nie mogło ich zastąpić.

Marzyłem, że pewnego dnia nastąpi nagle wielka transformacja. Nawet jeżeli szansę były marne, to przecież mogłem o tym marzyć, prawda? Wiedziałem jednak, że to się nigdy nie spełni.

Linia brzegu, jak odpływ, cofnęła się, zabierając ze sobą Sumire, i znalazłem się w samotnym, pustym świecie.

W ponurym, zimnym świecie, w którym to, co istniało między nami, już nigdy nie miało się pojawić.

Każdy z nas ma coś wyjątkowego, co może zdobyć tylko w wyjątkowym okresie życia. Coś w rodzaju małego płomyka. Nieliczni uważni i uprzywilejowani pielęgnują ten płomień, dbają o niego, trzymają go niczym pochodnię oświetlającą ich życie. Kiedy jednak ten płomień gaśnie, to już na zawsze. Ja straciłem nie tylko Sumire. Straciłem również ten drogocenny płomień.

Jak jest po tej drugiej stronie? Sumire już tam była; znajdowała się tam także utracona część Miu. Ta Miu z czarnymi włosami i zdrowym apetytem na seks. Może się tam spotkały i teraz się kochają, dając sobie spełnienie. „Robimy rzeczy, których nie można ująć w słowa” - powiedziałaby pewnie Sumire, mimo wszystko ujmując to w słowa. Czy znajdzie się tam dla mnie miejsce? Czy mogę być z nimi? One namiętnie by się kochały, a ja bym sobie usiadł gdzieś w kąciaku i zajął się lekturą *Dzieł zebranych* Balzaka. Potem Sumire wzięłaby prysznic, poszlibyśmy na długi spacer i rozmawiali o przeróżnych rzeczach - i jak zwykle mówiłaby głównie ona. Ale czy nasz związek trwałby wiecznie? Czy to naturalne? „Oczywiście - powiedziałaby Sumire. - Nie ma potrzeby o to pytać. Bo jesteś moim jedynym, prawdziwym przyjacielem!”. Nie miałem jednak pojęcia, jak się dostać do tego świata. Pogłaskałem gładką, twardą ścianę Akropolu. Historia przesączyła się przez jego powierzchnię i została w środku. Czy mi się to podobało, czy nie, tkwiłem w tym upływie czasu. Nie mogłem uciec. Nie - to nie całkiem prawda. Prawda jest taka, że w ogóle nie chciałem uciekać. Jutro wsiądę na pokład samolotu i polecę z powrotem do Tokio. Letnie wakacje już się prawie skończyły i musiałem raz jeszcze wstąpić do tego niewyczerpanego strumienia codzienności. Tam znajdzie się dla mnie

224

miejsce. Tam jest moje mieszkanie, biurko, klasa, moi uczniowie. Czekają mnie spokojne dni, powieści do przeczytania. Romans raz na jakiś czas.

Ale jutro stanę się inną osobą, już nigdy nie będę tym, kim byłem. Oczywiście po moim powrocie do Japonii nikt tego nie zauważy. Na zewnątrz nic się nie zmieni. Jednak w moim wnętrzu coś się wypaliło i zniknęło. Polała się krew i coś ze mnie wyciekło. Głową do przodu, bez słowa to coś wychodzi. Drzwi się otwierają, drzwi się zamykają. Światło gaśnie. To ostatni dzień osoby, jaką jestem teraz. Ostatni taki zmierzch. Kiedy nadejdzie świt, człowieka, którym jestem, już tu nie będzie. Ktoś inny zajmie to ciało. Dlaczego ludzie muszą być tak samotni? Jaki to ma sens? Na tym świecie żyją miliony ludzi; każdy z nich tęskni, szuka spełnienia u innych, a jednak się izoluje. Dlaczego? Czy Ziemia powstała tylko po to, by pielęgnować ludzką samotność?

Odwróciłem się twarzą do góry na skalnej płycie, spojrzałem na niebo i zacząłem myśleć o wszystkich stworzonych przez człowieka satelitach wirujących wokół Ziemi. Horyzont nadal zaznaczała lekka poświata, a na głębokim niebie barwy wina zaczęły mrugać gwiazdy. Wypatrywałem wśród nich świateł satelity, ale było jeszcze za jasno, by je dojrzeć gołym okiem. Nieruchoma sieć gwiazd wyglądała jak przybita gwoździami do miejsca. Zamknąłem oczy i zacząłem uważnie nasłuchiwać potomków sputnika, nawet teraz krążących wokół Ziemi,

związanych z nią jedynie siłą grawitacji. Samotne metalowe dusze w niewzruszonym mroku kosmosu spotykają się, mijają i rozstają, by nie zetknąć się już nigdy więcej. Nie pada między nimi ani jedno słowo. Nie muszą dotrzymywać żadnych obietnic.

Telefon zadzwonił w niedzielne popołudnie, w drugą niedzielę po rozpoczęciu nowego semestru we wrześniu. Właśnie robiłem sobie późny lunch i przed podniesieniem słuchawki musiałem wyłączyć gaz na kuchence. Telefon dzwonił jak na alarm - przynajmniej takie miałem wrażenie. Byłem pewien, że to Miu z informacjami o miejscu pobytu Sumire. Dzwoniła jednak nie Miu, tylko moja dziewczyna.

- Coś się stało - powiedziała, pomijając zwykłe uprzejmości. - Możesz zaraz przyjechać?

Wyglądało na to, że wydarzyło się coś strasznego. Jej mąż się o nas dowiedział? Wziąłem głęboki oddech.

Gdyby ludzie usłyszeli, że śpiam z matką jednego z moich wychowanków, znalazłbym się co najmniej w poważnych tarapatach. W najgorszym wypadku straciłbym pracę. Ale jednocześnie byłem na to przygotowany. Wiedziałem, jakie ryzyko podejmuję.

Wiedziałem, jakie ryzyko podejmuję.

- Gdzie jesteś? - spytałem.

- W supermarkecie.

Pojechałem pociągiem do Tachikawa i o wpół do trzeciej wysiadłem na stacji koło supermarketu. Popołudnie było skwarnej lato wracało ze zdwojoną siłą, lecz ja miałem na sobie białą, elegancką koszulę, krawat i jasnoszary garnitur - prosiła mnie, bym tak się ubrał. „W ten sposób będziesz bardziej wyglądał na nauczyciela - powiedziała - i sprawisz lepsze wrażenie. Niekiedy nadal przypominasz studenta college'u".

Przy wejściu do supermarketu spytałem o biuro ochrony młodego pracownika, który ustawiał wózki sklepowe porzucone przez klientów. Odparł, że znajduje się ono po drugiej stronie ulicy, na trzecim piętrze oficyny. Był to brzydki, mały, trzypiętrowy budynek, nawet bez windy. Hej, nie martw się o nas - zdawały się mówić pęknięcia w betonowych ścianach - pewnego dnia i tak rozbiorą tę rudę. Ruszyłem wąskimi, zniszczonymi schodami, znalazłem biuro z napisem OCHRONA i kilka razy lekko zapukałem. Odpowiedział głęboki męski głos. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem w środku moją dziewczynę z synem. Siedzieli przed biurkiem naprzeciwko umundurowanego ochroniarza w średnim wieku. Znajdowała się tam tylko ta trójka.

Pokój był średniej wielkości, nie za duży, nie za mały. Wzdłuż okna stały trzy biurka, a pod przeciwległą ścianą - stalowa szafa. Na ścianie obok wisiał rozkład dyżurów, a na metalowej półce leżały trzy czapki ochroniarzy. Za drzwiami z matowego szkła na drugim końcu pokoju chyba znajdowało się drugie pomieszczenie, w którym

ochroniarze prawdopodobnie ucinali sobie drzemki. Pokój, w którym przebywaliśmy, był prawie całkowicie pozbawiony elementów ozdobnych. Żadnych kwiatów, obrazów czy choćby kalendarza, tylko ogromny, okrągły zegar na ścianie. Zupełnie pusty pokój, jak odludny zakątek, o którym czas zapomniał. Ponadto unosił się w nim dziwny zapach - dymu z papierosów, zbutwiałych dokumentów i potu, które w ciągu lat zlały się w jeden odór.

i

Ochroniarz pełniący służbę był krępy męczyzną sporo po pięćdziesiątce. Miał grube ręce i wielką głowę pokrytą gęstwiną szorstkich szpakowatych włosów, które przyczesał gładko za pomocą jakiegoś taniego płynu do włosów, pewnie najlepszego, na jaki go było stać za niską pensję ochroniarza. Ze stojącej przed nim popielniczki niemalże wysypywały się niedopałki papierosów marki Seven Star. Kiedy wszedłem do pokoju, zdjął okulary w czarnej oprawce, przetarł je szmatką i założył z powrotem. Może zawsze w ten sposób witał się z nowo poznanymi osobami. Bez okularów jego oczy były zimne jak księżycowe skały. Kiedy znowu je założył, chłód zniknął, a zastąpiło go twarde szkliste spojrzenie. Tak czy siak, nie było ono przyjemne.

W pokoju panował męczący skwar; okno było szeroko otwarte, lecz nie wpadał przezeń nawet najlżejszy podmuch wiatru, a tylko hałas z ulicy. Zaryczały ochryple hamulce pneumatyczne ogromnej ciężarówki stojącej na czerwonym świetle, co mi przywiodło na myśl Bena

Webstera grającego na saksofonie tenorowym. Wszyscy się pociliśmy. Podeszedłem do biurka, przedstawiłem się i podałem mężczyźnie swoją wizytówkę. Ochroniarz wziął ją bez słowa, zacisnął wargi i oglądał ją przez chwilę.

W końcu odłożył ją na biurko> podniósł wzrok i spojrzał na mnie.

- Jest pan dość młody jak na nauczyciela, nie?

- powiedział. - Jak długo pan uczy?

Udawałem, że się zastanawiam, po czym odparłem:

- Trzy lata.

- Hmm - mruknął. Nie dodał nic więcej, lecz milczenie głośno mówiło za niego. Wziął wizytówkę i znowu spojrzał na moje nazwisko, jakby coś ponownie sprawdził. - Nazywam się Nakamura, jestem tu szefem ochrony

- przedstawił się. Nie dał mi własnej wizytówki. - Proszę sobie przysunąć krzesło. Przykro mi, że tak tu gorąco.

Klimatyzacja się zepsuła, a w niedzielę nikt nie chce przyjść, żeby ją naprawić. Nie byli na tyle uprzejmi, żeby mi dać wiatraczek, więc siedzę tu i się morduję. Może pan zdjąć marynarkę, jeśli pan chce. Trochę tu posiedzimy, a już od samego patrzenia na pana robi mi się gorąco.

Zgodnie z jego sugestią przysunąłem sobie krzesło i zdjąłem marynarkę. Przepełniona koszula kleiła mi się do ciała.

- Wie pan, zawsze zazdrościłem nauczycielom - zaczął strażnik. Wokół ust igrał mu lekki uśmiezek, lecz wyraz jego oczu sprawiał, że wyglądał jak drapieżnik z oceanu, patrolujący głębiny w poszukiwaniu najlżejszego ruchu.

Mówił dość uprzejmie, lecz była to tylko zasłona dymna. Słowo „nauczyciel” zabrzmiało jak zniewaga. - Latem macie ponad miesiąc urlopu, nie musicie pracować w niedziele ani nocą, a ludzie ciągle dają wam prezenty. Moim zdaniem to całkiem przyjemne życie. Czasami żałuję, że nie uczyłem się wystarczająco pilnie i że sam nie zostałem nauczycielem. Los tak chciał, że skończyłem jako ochroniarz w supermarkecie. Pewnie nie byłem dość inteligentny. Ale ciągle powtarzam swoim dzieciakom, żeby się kształcili na nauczycieli. Niech ludzie mówią, co chcą, nauczyciel zawsze wyjdzie na swoje. Moja dziewczyna miała na sobie prostą, niebieską sukienkę z rękawami do łokcia. Włosy ściągnęła schludnie na czubku głowy, a w uszy wpięła małe kolczyki. Stroju dopełniały białe sandały na obcasie; na jej kolanach leżała biała torba i kremowa apaszka. Widziałem ją pierwszy raz od powrotu z Grecji. Przenosiła wzrok ze mnie na ochroniarza, oczy miała zapuchnięte od płaczu. Najwyraźniej wiele przeszła. Szybko wymieniliśmy spojrzenia i odwróciłem się do jej syna. Nazywał się Shinlchi Nimura, ale koledzy nadali mu przydomek „Marchewka”. Pasował do jego pociągłej, szczupłej twarzy i burzy potarganych, kręconych włosów. Przeważnie sam zwracałem się do niego w ten sposób. Był spokojnym chłopcem, nieczęsto odzywał się niepytany. Stopnie miał niezłe; rzadko zapominał przy- nieść pracę domową i nigdy nie wymigiwał się od dyżurów. Nigdy nie sprawiał problemów, lecz brakowało

mu inicjatywy i ani razu nie podniósł ręki na lekcji. Koledzy Marchewki nie czuli do niego antypatii, lecz też nie należał do wyjątkowo popularnych uczniów. Jego matce nieszczerze się to podobało, ale z mojego punktu widzenia był dobrym dzieckiem.

- Zakładam, że już pan wie od matki chłopca, co się stało - powiedział ochroniarz.

- Tak, słyszałem - odparłem. - Został przyłapany na kradzieży.

- Zgadza się. - Wziął kartonowe pudło stojące u jego stóp, przeniósł je na stół i pchnął w moją stronę. W środku znajdowało się kilka identycznych małych zszywaczy, jeszcze w opakowaniach. Wziąłem do ręki jeden z nich i obejrzałem go. Na metce było napisane „850 jenów”.

- Osiem zszywaczy - stwierdziłem. - I to wszystko?

- Tak. To wszystko.

Odłożyłem zszywacz do pudełka.

- A więc całość jest warta sześć tysięcy osiemset jenów.

- Zgadza się. Sześć tysięcy osiemset jenów. Pewnie pan sobie myśli: „No dobra, więc dokonał kradzieży. Oczywiście to przestępstwo, ale po co aż tak się denerwować ośmioma zszywaczami? To jeszcze dzieciak”. Mam rację? Nie odpowiedziałem.

- Nie ma nic złego w takim sposobie myślenia. Bo to prawda. Ludzie popełniają o wiele gorsze przestępstwa niż kradzież ośmiu zszywaczy. Zanim zostałem ochroniarzem, byłem policjantem, więc wiem, co mówię.

Strażnik patrzył mi prosto w oczy. Wytrzymałem jego spojrzenie, starając się, by nie odebrał go jako lekceważącego.

- Gdyby to było jego pierwsze wykroczenie, sklep nie robiłby takiej afery. W końcu naszym zadaniem jest obsługa klientów i wolimy nie denerwować się podobnymi drobiazgami. W normalnej sytuacji przyprowadziłbym dzieciaka do tego pokoju i trochę go postraszył. W gorszym wypadku skontaktowalibyśmy się z rodzicami i im pozostawili wybór kary. Nigdy nie powiadamy szkoły. Taka jest polityka naszego sklepu - po cichu załatwiać sprawy kradzieży dokonanych przez dzieci. Ale problem polega na tym, że to nie pierwsza kradzież tego chłopca. Wiemy, że w tym sklepie zrobił to trzy razy. Trzy razy! Wyobraża pan sobie? I, co gorsza, za każdym razem nie chciał nam podać nazwiska ani adresu szkoły. To ja się nim zajmowałem, więc dobrze pamiętam. Ani słowem nie odpowiadał na nasze pytania. Na policji takie zachowanie nazywaliśmy „pójść w zaparte”. Żadnych przeprosin, skruchy, lekceważąca postawa i gęba na kłódkę. Gdyby tym razem nie podał nazwiska, zamierzałem oddać go w ręce policji, ale nawet to nie wywołało w nim żadnej reakcji. Nie wiedziałem, co jeszcze mogę zrobić, więc go zmusiłem do okazania biletu miesięcznego i w ten sposób dowiedziałem się, jak się nazywa. Urwał, czekając, aż jego słowa dotrą do naszej świadomości. Nadal wpatrywał się we mnie, a ja wytrzymałem jego wzrok.

- Inna sprawa to artykuły, które ukradł. Żadne tam bajery. Za pierwszym razem było to piętnaście ołówków automatycznych. Ich wartość wynosiła dziewięć tysięcy siedemset pięćdziesiąt jenów. Za drugim razem ukradł osiem kompasów - w sumie osiem tysięcy jenów. Innymi słowy, za każdym razem przywłaszcza sobie po prostu garść takich samych przedmiotów. Sam ich nie zużyje. Robi to tylko dla zabawy albo zamierza je sprzedać kolegom w szkole.

Próbowałem wyobrazić sobie Marchewkę sprzedającego ukradzione zszywacze kolegom podczas przerwy na lunch. Nie udało mi się to.

- Nie do końca rozumiem - powiedziałem. - Dlaczego kradnie zawsze w tym samym sklepie? Przecież to potęguje szansę na to, że zostanie złapany - i zwiększa karę. Gdyby chciał uniknąć przyłapania, chyba wybierałby różne sklepy?

- Niech mnie pan nie pyta. Może kradł i w innych sklepach. Albo nasz jest jego ulubionym. Może nie podoba mu się moja gęba. Jestem tylko zwykłym ochroniarzem w supermarkecie, więc nie będę tu analizował wszystkich możliwości. Nie płacą mi aż tak dużo. Jeżeli naprawdę chce pan wiedzieć, proszę spytać jego. Przywlokłem go tu trzy godziny temu i od tamtej pory nie pisnął ani słowa. Niesamowite. Dlatego pana tu ściągnąłem. Przykro mi, że musiał pan przyjść w wolny dzień... Ale odkąd pana zobaczyłem, zastanawia mnie jedna rzecz. Jest pan taki opalony. Oczywiście to nieważne, ale czy na wakacje wyjechał pan do jakiegoś egzotycznego kraju?

- Nie, nie byłem w żadnym egzotycznym kraju - odparłem.

Mimo to nadal bacznie przyglądał się mojej twarzy, jakbym stanowił ważny element w układance.

Znowu wziąłem do ręki zszywacz i obejrzałem go szczegółowo. Zwykły, mały zszywacz, jaki można znaleźć w każdym domu czy biurze. Taniutki artykuł biurowy.

Za pomocą zapalniczki Bic ochroniarz zapalił papierosa zwisającego mu z kącika ust, odwrócił głowę i wydmuchnął chmurę dymu.

- Dlaczego właśnie zszywacze? - spytałem łagodnie chłopca.

Marchewka przez cały czas gapił się w podłogę, ale teraz w milczeniu podniósł głowę i spojrzał na mnie. Nic jednak nie powiedział. Po raz pierwszy spostrzegłem, że całkowicie zmienił mu się wyraz twarzy, która teraz była zupełnie pozbawiona emocji, a oczy nie skupiały się na jednym punkcie. Sprawiał wrażenie, jakby spoglądał w próżnię.

- Ktoś cię do tego zmusił?

Wciąż żadnej odpowiedzi. Trudno mi było stwierdzić, czy moje słowa do niego docierają. Poddałem się. W tej chwili wypytywanie chłopca niczego nie da. Zatrzasnął za sobą drzwi i szczelnie zamknął okna.

- I co pan proponuje? - spytał ochroniarz. - Płacą mi za pilnowanie sklepu, obserwowanie monitorów, łapanie złodziei i przyprowadzanie ich do tego pokoju. Co się dzieje potem, to już nie moja sprawa. Sytuacja jest trudna, zwłaszcza jeśli chodzi o ucznia. Co pan proponu-

je? Jestem pewien, że ma pan większą wiedzę w tym zakresie. Czy powinniśmy skierować sprawę na policję? Z pewnością dla mnie tak byłoby łatwiej. Nie marnowałbym czasu, skoro już i tak drepczę w miejscu.

Prawdę mówiąc, w tej chwili myślałem o czymś zupełnie innym. To liche, małe biuro ochrony w supermarkecie skojarzyło mi się z posterunkiem policji na tamtej greckiej wyspie. Co bezpośrednio przypomniało mi o Sumire. I o fakcie, że zaginęła.

Dopiero po paru chwilach zrozumiałem, co usiłuje mi powiedzieć ten człowiek.

- Zawiadomię jego ojca - odezwała się monotonnym głosem matka Marchewki - i wytłumaczę synowi, że okradanie sklepu to przestępstwo. Obiecuję, że już nigdy nie będzie sprawiał państwu kłopotów.

- Inaczej mówiąc, nie chce pani, żeby sprawa trafiła do sądu. W kółko to pani powtarza - powiedział strażnik znudzonym tonem. Postukał papierosem o popielniczkę, strzepując popiół. Znowu odwrócił się do mnie. - Ale z mojego punktu widzenia trzy razy to za dużo. Ktoś musi położyć temu kres. Co pan o tym sądzi?

Wziąłem głęboki wdech i wróciłem myślami do teraźniejszości. Do tych ośmiu zszywaczy i niedzielnego wrześniowego popołudnia.

- Nie mogę nic powiedzieć, dopóki z nim nie porozmawiam - odparłem. - To mądry chłopiec i nigdy wcześniej nie sprawiał żadnych problemów. Nie mam pojęcia, dlaczego zrobił coś tak głupiego, ale zamierzam

poświęcić mu trochę czasu i dotrzeć do samego sedna.

Bardzo przepraszam za całe zamieszanie, jakie wywołał.

- No, ale ja tego po prostu nie mogę zrozumieć

- powiedział strażnik, marszcząc brwi za okularami.

- Ten chłopiec - Shin'ichi Nimura? - jest w pana klasie, tak? I pan go codziennie widuje, zgadza się?

- Zgadza się.

- Chodzi do czwartej klasy, co oznacza, że jest pan jego wychowawcą od roku i czterech miesięcy, mam rację?

- Tak, to prawda. Jestem ich wychowawcą od trzeciej klasy.

- Ilu ma pan uczniów?

- Trzydziestu pięciu.

- A więc ma pan ich wszystkich na oku. Mówi pan, że nigdy przedtem nie było żadnych oznak, że ten chłopiec może sprawiać problemy. W ogóle żadnych?

- Tak jest.

- Chwileczkę, o ile wiemy, okrada sklepy od pół roku.

Zawsze w pojedynkę. Nikt go do tego nie zmusza. I nie robi tego pod wpływem impulsu. Ani dla pieniędzy.

Według jego matki dostaje spore kieszonkowe. Robi to dla samej kradzieży. Czyli chłopak ma problemy. Pan twierdzi, że nic na to nie wskazywało?

- Mówię to jako nauczyciel - odparłem - ale, zwłaszcza u dzieci, nawykowe drobne kradzieże są nie tyle zachowaniami przestępczymi, co rezultatem subtelnej zachwiania równowagi emocjonalnej. Może gdybym poświęcał mu więcej uwagi, coś bym zauważył. Niewątp-

236

**>

liwie nie spełniłem swojego zadania. Ale brak równowagi emocjonalnej u dzieci nie zawsze ogranicza się do tego, co widzimy na zewnątrz. Jeżeli oddzieli się postępki od całej reszty i ukarze dziecko, podstawowy problem nie zostanie rozwiązany. Jeżeli nie znajdzie się głównej przyczyny problemu i jej nie zlikwiduje, będzie on później wypływał na powierzchnię w innej postaci. Kradnąc w sklepach, dzieci często próbują przekazać pewną wiadomość, więc nawet jeżeli to nie najbardziej efektywny sposób załatwienia sprawy, ważne jest, by spokojnie z dzieckiem porozmawiać. Ochroniarz zduł niedopałek i z rozchylonymi ustami długo gapił się na mnie niczym na dziwaczne zwierzę. Jego palce, które opierał o blat biurka, były okropnie grube i wyglądały jak dziesięć włochatych, czarnych stworzeń. Im dłużej na niego patrzyłem, tym trudniej mi było oddychać.

- To tego uczą was w college'u, na pedagogii, czy jak tam to się nazywa?

- Niekoniecznie. To podstawy psychologii, które można znaleźć w każdej książce.

- Które można znaleźć w każdej książce - beznamiętnie powtórzył moje słowa. Wziął ręczniczek i otarł pot z grubego karku. - „Subtelne zachwianie równowagi emocjonalnej” - a cóż to ma znaczyć? Kiedy pracowałem jako policjant, codziennie, od rana do nocy, użerałem się z typkami, które jak najbardziej były nie zrównoważone. Ale nie widziałem w tym żadnej subtelności. Na świecie jest pełno takich ludzi. Na pęczki. Gdybym miał przez cały czas wysłuchiwać wiadomości, jakie wysyłał każdy

z nich, potrzebowałbym jeszcze z dziesięć mózgów. A i to by nie starczyło.

Westchnął i włożył pudełko ze zszywaczami z powrotem pod biurko.

- Okay - ma pan całkowitą rację. Dzieci mają czyste serca. Kary cielesne są czymś złym. Wszyscy ludzie są równi. Nie można oceniać ludzi po stopniach. Może się pan nie śpieszyć i spokojnie znaleźć rozwiązanie. Mnie to nie przeszkadza. Ale myśli pan, że dzięki temu świat stanie się lepszy? A skąd. Jeszcze się pogorszy. Jak wszyscy ludzie mogą być równi? W życiu nie słyszałem czegoś podobnego. Niech pan sam pomyśli - w Japonii rozpycha się łokciami sto dziesięć milionów osób. Niech nagle wszyscy staną się równi. Piekło na ziemi.

Łatwo mówić takie gładkie słówka. Lepiej zamknąć oczy, udawać, że się nie widzi, co się dzieje, i umyć ręczki. Lepiej nie robić afery, zaśpiewać *Auld Lang Syne*¹, wręczyć dzieciakom dyplomy i wszyscy będą żyli długo i szczęśliwie. Kradzieże w sklepie to wiadomość, jaką wysyła dziecko. Nie martw się, co będzie później. To najprostsze rozwiązanie, więc czemu go nie stosować? Ale kto posprząta ten bajzel? Tacy jak ja. Myśli pan, że robimy to, bo lubimy? Patrzycie z miną w rodzaju „hej, a cóż to takiego sześć tysięcy osiemset jenów?”, ale zastanówcie się tylko nad ludźmi, których okradł. Tutaj pracuje sto osób i może mi pan wierzyć, że im zależy na

¹ *Auld Lang Syne* - pieśń śpiewana na powitanie Nowego Roku

każdym jenie. Kiedy podliczają rachunki z kasy i jest manko na sto jenów, pracują po godzinach, żeby je zlikwidować. Wie pan, ile na godzinę zarabiają tu kasjerki? Dlaczego nie uczy pan tego swoich uczniów?

Nic nie odpowiedziałem. Matka Marchewki milczała, tak samo jak jej syn. Ochroniarz zmęczył się mówieniem, więc znowu zamilkł. W drugim pokoju odezwał się telefon i ktoś go odebrał po pierwszym dzwonku.

- Co więc powinniśmy zrobić? - spytał.

- A może podwiesimy go pod sufitem, dopóki nie przeprosi? - zaproponowałem.

- Dobre! Ale oczywiście wie pan, że wtedy obaj wylecielibyśmy z roboty.

- W takim razie możemy tylko spokojnie porozmawiać o problemie. To wszystko, co mam do powiedzenia. Ktoś z drugiego pokoju zapukał i wszedł do środka.

- Panie Nakamura, czy może mi pan pożyczyć klucz do magazynu? - spytał.

Pan Nakamura przez chwilę grzebał w szufladzie, ale nie mógł znaleźć klucza.

- Nie ma - powiedział. - Dziwne. Zawsze go tu trzymam.

- To bardzo ważne - powiedział drugi mężczyzna.

- Jest mi natychmiast potrzebny.

Sposób, w jaki rozmawiali, sugerował, że to niezwykle ważny klucz, którego pewnie w ogóle nie powinno się przechowywać w tej szufladzie. Przetrzęsnęli wszystkie szuflady, ale zostali z pustymi rękoma.

W tym czasie nasza trójka siedziała na swoich miejscach. Matka Marchewki kilka razy spojrzała na mnie błagalnie. Marchewka siedział jak przedtem, z twarzą bez wyrazu i wzrokiem wbitym w podłogę. Przez głowę przemykały mi myśli bezsensowne i przypadkowe. W pokoju panowała duchota.

Mężczyzna, który przyszedł po klucz, w końcu się poddał i wyszedł gderając.

- Wystarczy - powiedział pan Nakamura, odwracając się do nas, po czym podjął bezbarwnym, rzeczowym tonem: - Dziękuję za przyjście. Na tym skończymy. Resztę zostawiam panu i matce chłopca. Ale chciałbym wyjaśnić jedno - jeżeli zrobi to jeszcze raz, nie ujdzie mu to na sucho. Mam nadzieję, że państwo mnie rozumieją? Nie chcę żadnych kłopotów, ale muszę wykonywać swoją pracę.

Matka Marchewki kiwnęła głową, ja uczyniłem to samo. Marchewka sprawiał wrażenie, jakby nie usłyszał ani słowa. Wstałem i oboje powlekli się za mną.

- Jeszcze tylko jedno - powiedział ochroniarz, nadal siedząc. Podniósł głowę i spojrzał na mnie. - Wiem, że to niegrzeczne z mojej strony, ale mimo wszystko to powiem. Odkąd pana zobaczyłem, coś mi się tu nie podoba. Jest pan młody, wysoki, atrakcyjny, ładnie opalony, inteligentny. Każde pańskie słowo jest absolutnie logiczne. Jestem pewien, że rodzice pańskich uczniów bardzo pana lubią. Nie bardzo umiem to wyjaśnić, ale odkąd pana zobaczyłem, coś mnie męczy. Nie potrafię tego

sprecyzować. To nie osobistego, więc proszę się nie obrażać. Coś mnie tu niepokoi. Ale co to takiego może być?

- Czy mógłbym zadać panu osobiste pytanie? - rzuciłem zamiast odpowiedzi.

- Proszę.

- Gdyby ludzie nie byli równi, to gdzie byłoby pana miejsce?

Pan Nakamura głęboko zaciągnął się papierosem, pokręcił głową i wypuścił dym tak wolno, jakby chciał kogoś do czegoś zmusić.

- Nie wiem - odparł. - Ale niech się pan nie przejmuje.

Na pewno byśmy się nie znaleźli na tym samym poziomie.

Zostawiła swoją czerwoną toyotę celicę na parkingu supermarketu. Poprosiłem ją na bok, by nas nie słyszał Marchewka, i powiedziałem, żeby pojechała do domu sama, gdyż muszę przez chwilę porozmawiać z jej synem na osobności. Później odprowadzę go do domu. Kiwnęła głową. Już miała się odezwać, ale zrezygnowała, wsiadła do samochodu, wyjęła z torebki okulary przeciwsłoneczne i uruchomiła silnik.

Kiedy odjechała, zabrałem Marchewkę do miłej kawiarenki, którą zauważyłem nieopodal. W chłodzie klimatyzacji rozluźniłem się nieco, zamówiłem mrożoną herbatę dla siebie i lody dla chłopca. Odpiąłem górny guzik koszuli, zdjąłem krawat i wsunąłem go do kieszeni marynarki. Marchewka nadal milczał jak zakłęty. Wyraz

jego twarzy i oczu nie zmienił się od naszego pobytu w biurze ochrony. Wyglądał na zupełnie obojętnego i sprawiał wrażenie, jakby miało tak zostać przez jakiś czas. Z pochyloną głową i z małymi dłońmi schludnie ułożonymi na kolanach patrzył w podłogę. Wypiłem swoją herbatę, lecz on nawet nie tknął deseru, który powoli roztopiał się w pucharku; Marchewka jednak najwyraźniej nawet tego nie zauważył. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie niczym para małżonków, między którymi zapadło krępujące milczenie. Zatrzymując się przy naszym stoliku, kelnerka za każdym razem sprawiała wrażenie spiętej.

- Takie rzeczy się zdarzają - odezwałem się w końcu. Nie próbowałem przełamać lodów. Słowa same popłynęły. Marchewka powoli podniósł głowę i spojrzał na mnie. Nie odezwał się. Zamknąłem oczy, westchnąłem i przez jakiś czas milczałem.

- Jeszcze nikomu o tym nie mówiłem, ale podczas wakacji pojechałem do Grecji. Wiesz, gdzie leży Greqa, prawda? Na lekcji z wiedzy o społeczeństwie oglądaliśmy film na wideo, pamiętasz? Jest położona w południowej Europie, nad Morzem Śródziemnym. Znajduje się tam mnóstwo wysp, a mieszkańcy uprawiają oliwki. Pięćset lat przed naszą erą Grecja przeżywała szczytowy okres rozwoju. Ateny były kolebką demokracji; Sokrates zażył truciznę i umarł. Tam właśnie się udałem. To piękne miejsce, ale nie znalazłem się tam po to, żeby się dobrze bawić. Na greckiej wysepce zaginęła moja przyjaciółka, a ja pojechałem tam,

żeby pomóc w poszukiwaniach. Ale jej nie znaleźliśmy.
Moja przyjaciółka po prostu zniknęła. Rozwiała się jak dym.
Marchewka lekko rozchylił usta i popatrzył na mnie.
Nadal miał twardy i martwy wyraz twarzy, lecz w jego oczach pojawiła się iskierka życia. Dotarłem do niego.
- Naprawdę lubiłem tę dziewczynę. Bardzo, bardzo.
Była dla mnie najważniejszym człowiekiem na świecie.
Wsiadłem więc na pokład samolotu i poleciałem do Grecji, żeby pomóc w poszukiwaniach. To jednak nic nie dało. Nie wpadliśmy na jej trop. Odkąd ją utraciłem, nie mam już przyjaciół. Ani jednego.
Mówiłem nie tyle do Marchewki, co do siebie samego. Głośno myślałem.
- Wiesz, na co teraz mam największą ochotę? Chciałbym się wspiąć gdzieś bardzo wysoko, na przykład na piramidy. Na najwyższe miejsce, jakie mógłbym znaleźć. Tam, skąd widać cały świat. Stałbym na samym szczycie, rozejrzał się dokoła, przeszukał wzrokiem każdy zakątek i na własne oczy bym zobaczył, co zaginęło na całym świecie. Sam nie wiem. Może tak naprawdę wcale nie chcę tego zobaczyć. Może już nic nie chcę widzieć.
Podeszła kelnerka, wzięła pucharek z roztopionymi lodami Marchewki i zostawiła rachunek.
- Czuję się tak, jakbym od samego dzieciństwa był zupełnie sam. Miałem rodziców i starszą siostrę, ale nie potrafiłem się z nimi dogadać. Nie mogłem się

porozumieć z nikim z mojej rodziny, więc często wyobrażałem sobie, że zostałem adoptowany. Jakiś daleki krewny z pewnego powodu oddał mnie mojej rodzinie. A może wzięli mnie z domu dziecka. Teraz widzę, jakie to było głupie. Moi rodzice nigdy by nie adoptowali bezradnej sieroty. Tak czy siak, nie potrafiłem zaakceptować faktu, że łączą mnie z nimi więzy krwi. Łatwiej mi było wierzyć, że to zupełnie obcy ludzie.

Wyobrażałem sobie miasto daleko, daleko stąd. Stał tam dom, gdzie mieszkała moja rodzina. Zwykły, skromny domek, ale pełen ciepła i przytulny. Wszyscy tam się rozumieli, mówili, co czują. Wieczorami słyszałem, jak mama krząta się w kuchni, szykując kolację, wszędzie unosił się ciepły apetyczny zapach. To tam było moje miejsce. Ciągle wyobrażałem sobie ten dom, a częścią tego obrazu byłem ja sam.

W prawdziwym życiu moja rodzina miała psa i była to jedyna istota, z którą potrafiłem się dogadać. Był kundelkiem, ale całkiem mądrym. Jak się go czegoś nauczyło, nigdy już tego nie zapominał. Codziennie wyprowadzałem go na spacer, chodziliśmy do parku. Siadałem na ławce i opowiadałem mu o różnych rzeczach. Doskonale się rozumieliśmy. Były to najszczęśliwsze chwile mojego dzieciństwa. Kiedy poszedłem do piątej klasy, mój piesek wpadł pod ciężarówkę koło naszego domu i zginął. Rodzice nie pozwolili mi wziąć następnego. Mówili, że psy są zbyt wścibskie i brudne, sprawiają za dużo kłopotów.

Po śmierci psa dużo czasu spędzałem w swoim pokoju, czytając książki. Przedstawiony tam świat wydawał mi się o wiele bardziej żywy niż ten istniejący naprawdę. Odkrywałem rzeczy, których nie widziałem nigdy wcześniej. Książki i muzyka stały się moimi najlepszymi przyjaciółmi. W szkole miałem kilku dobrych kolegów, ale nigdy nie poznałem nikogo, przed kim mógłbym otworzyć serce. Rozmawialiśmy tylko o błahostkach, graliśmy w piłkę nożną. Kiedy coś mnie martwiło, nikomu się z tego nie zwierzałem. Sam wszystko rozwiązywałem, dochodziłem do pewnego wniosku i samodzielnie podejmowałem działanie. Nie chodzi o to, że czułem się samotny. Uważałem, że tak to już jest. W ostatecznym rozrachunku istoty ludzkie muszą sobie radzić same.

Kiedy dostałem się do college'u, zaprzyjaźniłem się z dziewczyną - tą, o której ci mówiłem - i mój sposób myślenia zaczął się zmieniać. Zrozumiałem, że rozmyślanie w samotności przez tak długi czas hamuje mnie, prowadzi tylko do jednego punktu widzenia. I poczułem, że życie w samotności to straszna rzecz.

Samotność przypomina uczucie, które ci towarzyszy,
"*-■ kiedy w deszczowy wieczór stajesz przy ujściu ogromnej rzeki i patrzysz, jak wpada do morza. Zrobiłeś kiedyś coś takiego? Stałeś przy ujściu ogromnej rzeki i patrzyłeś, jak wpada do morza?

Marchewka nie odpowiedział.

- Ja tak - kontynuowałem.

Marchewka popatrzył na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Sam nie wiem, dlaczego patrzenie, jak rzeka łączy się z morską wodą, wywołuje takie uczucie osamotnienia. Ale tak się naprawdę dzieje. Powinieneś kiedyś spróbować.

Wziąłem marynarkę i rachunek i powoli wstałem. Położyłem rękę na ramieniu Marchewki, który też się podniósł. Zapłaciłem i wyszliśmy.

Odprowadzenie go do domu zajęło mi jakieś pół godziny. Po drodze nie odezwałem się ani słowem. Nieopodal jego domu płynęła mała rzeczka, której brzegi łączył betonowy mostek. Był to zwykły potoczek, bardziej poszerzony kanał ściekowy niż rzeka. Kiedy wokół jeszcze znajdowały się pola, z pewnością wykorzystywano ją do nawadniania. Teraz jednak woda była mętna i bił z niej lekki zapach detergentów. W korycie kiełkowała letnia trawa, a na powierzchni unosił się otwarty komiks. Marchewka raptownie przystanął na środku mostu, przechylił się przez poręcz i spojrzał w dół. Stałem koło niego i też spojrzałem w dół. Staliśmy tak bardzo długo. Pewnie nie chciał wracać do domu. Doskonale to rozumiałem.

Marchewka włożył rękę do kieszeni spodni, wyjął klucz i podał mi go. Zwykły klucz z dużą czerwoną etykietką. Było na niej napisane MAGAZYN 3. Był to

klucz, którego szukał ochroniarz Nakamura. Marchewka pewnie na chwilę został sam w pokoju, znalazł ten klucz w szufladzie i włożył go do kieszeni. Umysł tego chłopca stanowił większą tajemnicę, niż mi się wydawało. Był przedziwnym dzieckiem.

Wziąłem klucz do ręki i poczułem ciężar niezliczonych osób, który weń wniknął. Wydał mi się ohydny, brudny i małostkowy. Po chwili oszołomienia w końcu cisnąłem go do rzeki. Uderzył o wodę z cichym pluskiem. Rzeka nie była zbyt głęboka, lecz mętna i klucz zniknął nam z oczu. Marchewka i ja, stojąc bok przy boku na moście, przez jakiś czas spoglądaliśmy w wodę. Z jakiegoś powodu zrobiło mi się weselej, moje ciało stało się jakby lżejsze.

- Już za późno, żeby go oddawać - powiedziałem bardziej do siebie niż do niego. - Na pewno mają zapasowy. W końcu to niezwykle ważny magazyn.

Wyciągnąłem rękę i Marchewka delikatnie ujął moją dłoń. Poczułem jego szczupłe, małe paluszki. Już gdzieś, dawno, dawno temu, doświadczyłem tego uczucia - gdzie to mogło być? Trzymając się za ręce, ruszyliśmy do jego domu.

Kiedy znaleźliśmy się na miejscu, jego matka czekała na nas. Przebrała się w skromną białą bluzeczkę bez rękawów i plisowaną spódnicę. Oczy miała czerwone i spuchnięte. Pewnie od powrotu do domu przez cały czas płakała w samotności. Jej mąż prowadził w mieście agencję nieruchomości i w niedzielę był albo w pracy, albo na polu golfowym. Zabrała Marchewkę do jego

pokoju na piętrze, a mnie zaprowadziła nie do salonu, tylko do kuchni, gdzie usiedliśmy przy stole. Może tam było jej łatwiej ze mną porozmawiać. Pośrodku kuchni stała ogromna lodówka w kolorze awokado, która wyglądała tam jak wyspa, a rozświetlone okno wychodziło na wschód.

- Wygląda trochę lepiej niż przedtem - powiedziała słabym głosem. - Kiedy go zobaczyłam w biurze ochrony, nie wiedziałam, co robić. Jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie. Zupełnie jakby przebywał w innym świecie.

- Nie ma powodów do zmartwienia. Daj mu trochę czasu, a na pewno wróci do normalności. Lepiej, żebyś przez jakiś czas się do niego nie odzywała. Zostaw go w spokoju.

- Co robiliście, kiedy odjechałam?

- Rozmawialiśmy.

- O czym?

- O niczym szczególnym. Właściwie to ja mówiłem.

O niczym takim, naprawdę.

- Napijesz się czegoś zimnego?

Pokręciłem głową.

- Już nie mam pojęcia, jak z nim rozmawiać - powiedziała. - Coraz gorzej to znoszę.

- Nie ma potrzeby zmuszać się do rozmowy z nim.

Dzieci mieszkają we własnym świecie. Kiedy będzie chciał pogadać, to sam zacznie.

- Ale on prawie wcale się nie odzywa.

Siedząc naprzeciwko siebie przy kuchennym stole, uważaliśmy, żeby się nie dotknąć. Rozmawialiśmy sztyw-

no jak nauczyciel i matka dyskutujący o problemach jej dziecka. Matka Marchewki mówiąc, bawiła się rękami, wykręcała palce i je prostowała, splatała dłonie. Pomyślałem o tym, co te dłonie robiły ze mną w łóżku.

Powiedziałem jej, że nie powiadomię szkoły o tym, co się stało. Poważnie z nim porozmawiam, a jeżeli pojawią się problemy, zajmę się nimi. Nie musi się więc martwić. To mądry chłopiec, dobre dziecko. Jeżeli da mu się trochę czasu, na pewno się ustatkuje. Po prostu przechodzi pewien etap rozwoju. Najważniejsze to zachować spokój. Powoli i łagodnie na okrągło jej to powtarzałem, by się oswoiła z tą myślą. Chyba poczuła się lepiej.

Zaproponowała, że odwiezie mnie do mojego mieszkania w Kunitachi.

- Myślisz, że mój syn wyczuwa, co się dzieje? - spytała mnie, kiedy stanęliśmy na światłach. Oczywiście miała na myśli to, co się dzieje między nami.

Pokręciłem głową.

- Dlaczego pytasz?

- Przyszło mi to do głowy, kiedy byłam sama w domu i czekałam na wasz powrót. Nic mnie na to nie naprowadziło, miałam tylko takie wrażenie. On ma dużą intuicję i na pewno zdążył się zorientować, że między mną a mężem nie układa się zbyt dobrze.

Milczałem. Nie odezwała się już ani słowem.

Zatrzymała samochód na parkingu tuż za skrzyżowaniem, gdzie stał mój blok. Zaciągnęła hamulec ręczny i zgasiła silnik. Silnik parsknął i w samochodzie zapadła niezręczna cisza, zakłócana jedynie przez szum klimatyzacji. Wiedziałem, że chciała, bym wziął ją w ramiona. Pomyślałem o jej uległym ciele pod bluzką i zaschło mi w ustach.

- Myślę, że lepiej będzie, jeżeli przestaniemy się spotykać - wyrzuciłem z siebie.

Nic nie odpowiedziała. Z rękoma na kierownicy patrzyła w stronę wskaźnika oleju. Jej twarz była niemalże całkowicie pozbawiona wyrazu.

- Dużo o tym myślałem - podjąłem. - Sądzę, że to nie w porządku, iż przyczyniam się do waszych problemów. Nie mogę doprowadzić do rozwiązania, jeżeli stwarzam problemy. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

- Dla wszystkich?

- Zwłaszcza dla twojego syna.

- Dla ciebie też?

- Tak, oczywiście.

- A co ze mną? Czy „wszyscy” to również ja?

Tak, chciałem powiedzieć, lecz nie mogłem wykrztusić ani słowa. Zdjęła ciemnozielone okulary przeciwsłoneczne, po czym z powrotem je założyła.

- Nielatwo mi się do tego przyznać - podjęła - ale będzie mi bardzo ciężko, jeżeli przestaniemy się spotykać.

- Mnie też będzie ciężko. Żałuję, że musimy z tym skończyć, ale nie można tak dalej.

Wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze.

- A co można? Wyjaśnisz mi? Ja naprawdę nie wiem, co można. Wiem, czego nie można, ale co można?

Nie znałem dobrej odpowiedzi.

Wyglądała tak, jakby lada chwila miała się rozpłakać albo zacząć krzyczeć, ale jakoś zapanowała nad sobą.

Mocno uchwyciła kierownicę; wierzch jej dłoni lekko poczerwieniał.

- Kiedy byłem młodsza, rozmawiali ze mną przeróżni ludzie - kontynuowała po chwili przerwy. - Mówili mi rozmaite rzeczy. Opowiadali fascynujące historie, piękne, dziwne historie. Ale w pewnym momencie przestali ze mną rozmawiać. Nikt już do mnie się nie odzywał: ani mąż, ani moje dziecko, ani przyjaciele... nikt. Zupełnie jakby na świecie nie zostało już nic, o czym można pogadać. Czasami mam wrażenie, że moje ciało staje się przezroczyste i że widać mnie na wskroś.

Podniosła rękę z kierownicy i wyciągnęła je przed siebie.

- Oczywiście nie rozumiesz, o czym mówię.

Szukałem odpowiednich słów, ale nic mi nie przyszło do głowy.

- Bardzo ci dziękuję za wszystko, co dzisiaj zrobiłeś - powiedziała, biorąc się w garść. Jej głos brzmiał już prawie normalnie, spokojnie jak zwykle. - Sama chyba bym sobie z tym nie poradziła. To dla mnie bardzo trudna sytuacja. Twoja obecność bardzo mi pomogła.

251

Jestem ci wdzięczna. Na pewno będziesz wspaniałym nauczycielem. Już prawie nim jesteś.

Czy to miała być ironiczna uwaga? Pewnie tak. Nie

- z pewnością taka była.

- Jeszcze nie - odrzekłem. Uśmiechnęła się leciutko.

I na tym nasza rozmowa się skończyła.

Otworzyłem drzwi samochodu i wysiadłem. Letnie światło niedzielnego popołudnia znacznie przygasło.

Oddychałem z trudem, miałem wrażenie, że stoję na

obcych nogach. Silnik celiki zaryczał i już na zawsze

odjechała z mojego życia. Opuściła szybę w oknie i lekko

do mnie pomachała, a ja w odpowiedzi uniosłem dłoń.

Po powrocie do mieszkania zdjąłem przepoconą koszu-

lę i wrzuciłem ją do pralki, wziąłem prysznic i umyłem

głowę. Poszedłem do kuchni, skończyłem przygotowywać

posiłek, który przyrządziłem przed wyjściem, a następnie

go zjadłem. Potem opadłem na kanapę i zabrałem się do

lektury książki, którą niedawno zacząłem. Ale nie przeczy-

tałem nawet pięciu stron. Poddałem się, zamknąłem

książkę i przez jakiś czas myślałem o Sumire. I o kluczu

do magazynu, który wyrzuciłem do brudnej rzeki. I o dło-

niach mojej dziewczyny, ściskających kierownicę. To był

długi dzień, lecz wreszcie minął, pozostawiając zaledwie

urywki wspomnień. I chociaż wcześniej wziąłem przyjem-

ny, długi prysznic, moje ciało nadal było przesiąknięte

zapachem tytoniu, a w dłoni nadal czułem ostry ból

- jakbym wycisnął z czegoś życie.

Czy zrobiłem wszystko, co można?

Nie sądzę. Zrobiłem tylko to, co sam musiałem. To ogromna różnica. „Dla wszystkich? - spytała. - Czy «wszyscy» to również ja?”.

Szczerze mówiąc, w tamtym okresie nie myślałem o nikim. Myślałem tylko o Sumire. Nie o nich wszystkich tam czy o nas wszystkich tutaj.

Tylko o Sumire, której nie było nigdzie.

Od dnia naszego pożegnania w porcie od Miu nie przyszły żadne wiadomości. Wydawało mi się to dziwne, gdyż obiecała skontaktować się ze mną niezależnie od tego, czy będzie miała jakieś informacje na temat Sumire.

Nie chciało mi się wierzyć, że o mnie zapomniała; nie należała do osób, które składają obietnice, jeśli nie zamierzają ich dotrzymać. Coś musiało jej przeszkadzać w dotarciu do mnie. Zastanawiałem się natRrelefonem do niej, ale nawet nie znałem jej prawdziwego imienia.

Ani nazwy czy siedziby jej firmy. Sumire nie zostawiła mi żadnych konkretnych informacji na temat Miu.

Na automatycznej sekretarce Sumire nadal była ta sama wiadomość, lecz wkrótce telefon został odłączony.

Chciałem zadzwonić do jej rodziny, ale nie znałem numeru, chociaż nietrudno byłoby odnaleźć klinikę

dentystyczną jej ojca w książce telefonicznej Yokohamy. A jednak nie potrafiłem tego zrobić. Poszedłem natomiast do biblioteki i przejrzałem sierpniowe gazety. Znalazłem mały artykuł o Sumire, o podróżującej po Grecji dwudziestodwuletniej Japonce, która zaginęła. Miejscowe władze prowadzą dochodzenie, szukają jej, lecz do tej pory nie wpadły na żaden trop. I to wszystko. Nic, czego bym już wcześniej nie wiedział. Najwyraźniej znika wiele osób wyjeżdżających za granicę. A Sumire była tylko jedną z nich.

Zrezygnowałem ze śledzenia wiadomości. Niezależnie od powodów jej zniknięcia i postępów w śledztwie, jedno było pewne: gdyby Sumire miała wrócić, dałaby znać. I tylko to się liczyło.

Wrzesień przyszedł i minął, zanim się obejrzałem, skończyła się jesień i zaczęła zima. Siódmego listopada wypadały dwudzieste trzecie urodziny Sumire, a dziewiątego grudnia - moje dwudzieste piąte. Przyszedł nowy rok i skończył się rok szkolny. Marchewka już nie sprawiał więcej problemów i dostał się do następnej, piątej, klasy. Po tamtym dniu już nigdy nie rozmawiałem z nim o kradzieżach. Za każdym razem, kiedy go widziałem, uświadamiałem sobie, że nie jest to konieczne. Ponieważ teraz miał nowego nauczyciela, rzadziej wpadałem na moją byłą dziewczynę. Sprawa została zamknięta. Niekiedy jednak wracało do mnie nostalgiczne wspomnienie ciepła jej skóry i wtedy już prawie łapałem za słuchawkę. Powstrzymywała mnie myśl o tamtym

kluczu od magazynu w supermarkecie. O tamtym letnim popołudniu i małej łapce Marchewki w mojej dłoni. Za każdym razem, kiedy w szkole natykałem się na Marchewkę, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że to przedziwne dziecko. Nie miałem pojęcia, jakie uczucia skrywa jego szczupła spokojna twarz, lecz pod obojętną maską z pewnością coś się działo. W sytuacji podbramkowej dysponował środkami niezbędnymi do podjęcia działania. Wyczuwałem w nim pewną głębię. Uważałem, że odsłonięcie przed nim własnych skrywanych uczuć było właściwym posunięciem. Być może tylko dla mnie. Trochę to dziwnie zabrzmiało, ale wtedy mnie zrozumiał, zaakceptował, a nawet wybaczył. Przynajmniej do pewnego stopnia. Jakie dni - pozornie niekończące się dni młodości - będą w okresie dojrzewania przeżywać dzieci takie jak Marchewka? Nie obędzie się bez problemów. Trudne chwile zdominują łatwe. Opierając się na własnym doświadczeniu, mogłem przewidzieć, jaki kształt przybierze ich cierpienie. Czy Marchewka w kimś się zakocha i czy ta osoba odwzajemni jego uczucie? Moje rozmyślenia oczywiście nie miały tu żadnego znaczenia. Kiedy skończy podstawówkę, odejdzie i już nigdy go nie zobaczę. A miałem własne problemy do rozwiązania. Poszedłem do sklepu muzycznego, kupiłem płytę z pieśniami Mozarta w wykonaniu Elisabeth Schwarzkopf i zacząłem jej słuchać na okrągło. Bardzo mi się podobał

piękny spokój tych utworów. Zamknąłem oczy i muzyka zabrała mnie z powrotem do tamtej nocy na greckiej wysepce.

Poza pewnymi bardzo żywymi wspomnieniami, łącznie z przytłaczającym pożądaniem, jakie do niej poczułem w dniu przeprowadzki, po Sumire zostało mi kilka długich listów i dyskietka. Te listy i dokumenty czytałem już wielokrotnie i prawie znałem je na pamięć. Za każdą kolejną lekturą miałem wrażenie, że znowu jesteśmy razem, a nasze serca stanowią jedność. Dodawały mi otuchy bardziej niż cokolwiek innego. Zupełnie jakbym nocą jechał pociągiem przez rozległą równinę i nagle dostrzegł światło w oknie wiejskiego domu. W jednej chwili znowu tonęło w mroku za mną i zniknęło. Ale kiedy zamykałem oczy, ten jasny punkcik pozostawał, choć ledwo widoczny, jeszcze przez parę chwil. Budzę się w środku nocy i wstaję z łóżka (i tak już nie zasną), kładę się na kanapie i słuchając Schwarzkopf, na nowo przeżywam wydarzenia z greckiej wysepki. Przypominam sobie każdą chwilę, cicho przewracam strony pamięci. Cudowna, pusta plaża, kawiarenka na świeżym powietrzu w porcie. Mokra od potu koszula kelnera. Wdzięczny profil Miu i blask Morza Śródziemnego widziany z werandy. Biedny, nabity na pal bohater na rynku. I grecka muzyka, którą słyszałem tamtej nocy na szczycie góry. Dobrze pamiętam czarodziejskie światło księżycy, wspaniałe echo muzyki i wrażenie wyobcowania

nia, jakiego doświadczyłem, gdy mnie przebudziła. Ten bezkształtny ból o północy, jak gdyby i moje ciało było cicho, okrutnie nabijane na pal.

Leżąc tak, na jakiś czas zamykam oczy, po czym je otwieram. Cicho wciągam powietrze i je wypuszczam. W moim umyśle zaczyna powstawać myśl, ale w końcu całkowicie przestaję myśleć. Między myśleniem a niemyśleniem istnieje niewielka różnica. Już nie potrafię odróżnić jednego od drugiego, tego, co istniało, od tego, co nie istniało. Wyglądam przez okno, aż niebo staje się białe, zaczynają płynąć chmury, rozspiewują się ptaki i z trudem wstaje nowy dzień, budząc senne umysły ludzi, którzy zamieszkują tę planetę.

Kiedyś w centrum Tokio mignęła mi przed oczami Miu. Było to jakieś pół roku po zaginięciu Sumire, ciepła niedziela w środku marca. Niebo pokrywały nisko wiszące chmury, lada chwila mógł lunąć deszcz. Wszyscy nieśli parasole. Jechałem do krewnego, który mieszkał w śródmieściu, i zatrzymałem się na światłach na Hiroo, na skrzyżowaniu nieopodal sklepu Meidi-ya, kiedy nagle dostrzegłem granatowego jaguara, centymetr po centymetrze wlokącego się w korku. Siedziałem w taksówce, a jaguar znajdował się na ulicy po mojej lewej stronie. Zwróciłem uwagę na ten samochód, bo za kierownicą siedziała kobieta z oszalamiającą burzą siwych włosów. Z oddali te siwe włosy wyraźnie odbijały się na tle nieskazitelnego granatowego samochodu. Zawsze widywałem ją tylko z czarnymi włosami, więc sporo czasu zajęło

mi skojarzenie jej z tą Miu, którą znałem, ale niewątpliwie była to ona. Równie piękna, jak ją zapamiętałem, wyrafinowana w rzadko spotykany, cudowny sposób. Jej zapierające dech w piersiach siwe włosy trzymały ludzi na dystans i miały w sobie coś stanowczego, niemalże mitycznego.

A jednak ta Miu przede mną nie była kobietą, do której machałem na pożegnanie w porcie na greckiej wysepce. Minęło dopiero pół roku, a już wyglądała jak zupełnie inny człowiek. Oczywiście zmienił się jej kolor włosów. Ale nie tylko.

Pusta skorupa. Były to pierwsze słowa, które przyszły mi do głowy. Miu wyglądała jak pusty pokój, z którego wszyscy wyszli. Na dobre wyparowało z niej coś niewiarygodnie istotnego - to samo, co niczym tornado wciągnęło Sumire, to, co wstrząsnęło moim sercem, gdy stałem na pokładzie promu. Zostawiło po sobie nie życie, lecz nieobecność. Nie ciepło czegoś żywego, lecz ciszę pamięci. Jej siwiuteńkie włosy nieuchronnie przywodziły mi na myśl kolor ludzkich kości wybielonych przez upływ czasu. Przez długą chwilę nie mogłem wypuścić powietrza z płuc. Jaguar, którego prowadziła, niekiedy wyprzedzał moją taksówkę, niekiedy zostawał w tyle, lecz Miu nie zauważyła, że się jej przyglądam. Nie mogłem do niej zawołać. Nie wiedziałem, co powiedzieć, a nawet gdybym to uczynił, to okna jej samochodu i tak były szczelnie zamknięte. Siedziała wyprostowana, z obiema dłońmi na kierownicy, skupiona na obserwowaniu drogi przed sobą.

Być może intensywnie o czymś rozmyślała. A może słuchała *Kunst der Fuge* Bacha na samochodowym sprzęcie stereo. Przez cały czas jej lodowaty, twardy wyraz twarzy nie zmienił się ani na jotę, prawie nie mrugała oczami. Wreszcie zapaliło się zielone światło i jaguar popędził w stronę Aoyama, zostawiając w tyle moją taksówkę, która czekała na swoją kolej na zakręcie.

A więc to tak wygląda nasze życie. Nieważne, jak ogromna i straszna była strata, jak ważna rzecz, którą nam skradziono - wyrwano wprost z rąk - nawet jeżeli nas to całkowicie zmieniło, jeżeli pozostała z nas tylko wierzchnia warstwa skóry, nadal żyjemy tak samo - w milczeniu. Coraz bardziej zbliżamy się do kresu czasu, żegnamy z życiem, które zostaje w tyle za nami. Powtarzamy, często dość pomysłowo, niekończące się codzienne czynności. Za nami jest już tylko uczucie niezmierzonej pustki.

Miu co prawda wróciła do Japonii, lecz z jakiegoś powodu nie mogła się ze mną skontaktować. Zachowywała milczenie, kurczowo czepiała się swych wspomnień, szukając odległego miejsca bez nazwy, które mogłoby ją wchłonąć. Przynajmniej tak to sobie wyobrażałem. Nie zamierzałem jej obwiniać. Już nie wspominając o nienawiści.

Obrazem, który w tamtej chwili pojawił się w moim umyśle, był widok pomnika z brązu ojca Miu w małej górskiej wiosce na północy Korei. Wyobraziłem sobie

małeńki rynek, domy zawieszane na zboczach i zakurzony pomnik. Zawsze wieje tam silny wiatr, który wykręca drzewa w surrealistyczne kształty. Nie wiem dlaczego, ale ten pomnik i Miu, z dłońmi na kierownicy jaguara, w moim umyśle zlały się w jedno.

Może w jakimś odległym miejscu przebywa wszystko to, co stracone. A przynajmniej istnieje taki cichy zakątek, gdzie odchodzą wszelkie zaginione rzeczy, nakładają się na siebie, tworząc jeden kształt. W miarę upływu lat odkrywamy skrawki utraconego życia, przyciągając do siebie cienkie nici, do których są przywiązane. Zamknąłem oczy i próbowałem przywołać w pamięci tyle pięknych, utraconych rzeczy, ile tylko potrafiłem. Przyciągałem je bliżej do siebie, wiedząc przez cały czas, że ich życie jest przemijające.

Marzę. Niekiedy wydaje mi się, że to jedyna właściwa rzecz. Marzyć, żyć w świecie marzeń - jak mówiła Sumire. Ale to nie trwa wiecznie. Zawsze przychodzi jawa i przywraca mnie rzeczywistości.

Budzę się o trzeciej nad ranem, zapalam światło i spoglądam na telefon przy łóżku. Wyobrażam sobie Sumire w budce: zapala papierosa i wciska cyfry mojego numeru telefonu. Ma potargane włosy; włożyła męski, o wiele numerów za duży płaszcz w jodełkę i skarpetki nie do pary. Marszczy czoło, lekko krztusząc się dymem. Sporo czasu zajmuje jej prawidłowe wystukanie całego numeru. Głowę ma nabitą rzeczami, które chce mi

260

powiedzieć. Może będzie mówić aż do rana, kto wie? Na przykład o różnicach pomiędzy symbolami a znakami. Mój telefon wygląda tak, jakby lada chwila miał zadzwonić. Kładę się i patrzę na milczący aparat.

Ale któregoś razu rzeczywiście zadzwonił. Tuż przede mną, naprawdę zadzwonił. Aż zadrżało powietrze świata rzeczywistego. Złapałem słuchawkę.

- Halo?

- Cześć, wróciłam - powiedziała Sumire. Bardzo zwyczajnie. Bardzo prawdziwie. - Nie było to łatwe, ale jakoś mi się udało. Zupełnie jak streszczenie *Odysei* Homera w pięćdziesięciu słowach.

- To dobrze - powiedziałem. Nadal nie mogłem uwierzyć w to, że słyszę jej głos, że to się dzieje naprawdę.

- To dobrze? - powtórzyła Sumire i niemal usłyszałem, jak marszczy brwi. - Co ty sobie, do cholery, wyobrażasz? Musisz wiedzieć, że przeszłam piekło. Pokonałam tyle przeszkód - całe miliony, nigdy bym nie skończyła, gdybym próbowała to opisać - wszystko po to, żeby wrócić, a ty masz mi tyle do powiedzenia? Chyba się rozplaczę. Pewnie, że dobrze, że wróciłam. „To dobrze”. Nie mogę w to uwierzyć! Zostaw sobie takie serdeczne, bystre uwagi dla swoich uczniów - kiedy w końcu nauczą się tabliczki mnożenia!

- Gdzie jesteś?

- Gdzie jestem? A jak ci się wydaje? W naszej starej, dobrej budce telefonicznej, W tej ciasnej, kwadratowej budce poobklejanej w środku ogłoszeniami pokątnych

lombardów i agencji ochrony. Na niebie wisi księżyc koloru pleśni; podłoga jest zaśmiecona petami. Jak okiem sięgnąć, nie widać nic, od czego by ci się zrobiło ciepło na sercu. Niczym się nie wyróżniająca, całkowicie semiotyczna budka telefoniczna. Gdzie to może być? Nie jestem pewna. Wszystko jest zbyt semiotyczne - a znasz mnie, prawda? Przez połowę czasu nie wiem, gdzie się znajduję. Mylą mi się kierunki. Taksówkarze ciągle na mnie wrzeszczą: „Hej, paniusiu, to w końcu gdzie, do jasnej cholery, chce pani jechać?”. Chyba jestem niezbyt daleko. Może nawet całkiem blisko.

- Przyjdę po ciebie.

- Bardzo proszę. Dowiem się, gdzie jestem, i odzwonię. Zresztą i tak kończą mi się monety. Poczekaj chwilę, okay?

- Tak bardzo chciałem cię zobaczyć - powiedziałem.

- Ja ciebie też. Zrozumiałam to, kiedy już nie mogłam się z tobą spotkać. Stało się to tak jasne, jakby nagle, na moich oczach, wszystkie planety ustawiły się w jednym rzędzie. Bardzo cię potrzebuję. Jesteś częścią mnie, a ja jestem częścią ciebie. Wiesz, myślę, że gdzieś - choć wcale nie jestem pewna gdzie - poderżnęłam komuś gardło. Z kamiennym sercem naostrzyłam nóż. Symbolicznie, jak budowanie tych bram w Chinach. Rozumiesz, o czym mówię?

- Chyba tak.

- To przyjdź po

Nagle połączenie zostaje przerwane. Nadal ściskając słuchawkę, długo patrzę na aparat. Zupełnie jakby sam telefon był żywą wiadomością, a jego kształt i kolor zawierały ukryte znaczenie. Po chwili namysłu odkładam słuchawkę. Siadam w łóżku i czekam na kolejny dzwonek. Opieram się o ścianę, wbijam wzrok w jeden punkt w przestrzeni przed sobą i oddycham powoli, bezgłośnie. Sprawdzam złącza spajające jedną chwilę z następną. Telefon nie dzwoni. W powietrzu wisi bezwarunkowa cisza. Ale mi się nie śpieszy. Nie ma pośpiechu. Jestem gotowy. Mogę iść dokądkolwiek.

Jasne?

Jasne!

Wstaję z łóżka. Odciągam starą, spłowiałą zasłonę i otwieram okno. Wystawiam głowę na zewnątrz i spoglądam w górę na niebo. A jakże, wisi na nim półksiężyc barwy pleśni. Dobrze. Oboje patrzymy na ten sam księżyc, w tym samym świetle. Tą samą nicią jesteśmy połączeni z rzeczywistością. Muszę tylko po cichu przyciągnąć ją do siebie.

Rozkładam palce i patrzę na obie dłoń, szukając plam krwi. Nie ma ani jednej. Żadnego zapachu krwi, żadnego śladu. Zapewne już cicho wsiąknięta.